RYDERYK NIETZSCHE

POZA DOBREM I ZŁEM

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW WYRZYKOWSKI



Cyfrowa reedycja młodopolskiego wydania *Dzieł* Fryderyka Nietz
z zachowaniem paginacji i układu graficznego.

Nietzsche Seminarium, Łódź-Wrocław 2010

Redakcja: Jakub Wroński, Tymoteusz Słowiński



http://nietzsche.org.pl/

Nietzsche Seminarium – projekt zrzeszający polskich badaczy f
Fryderyka Nietzschego poprzez:

– powołany przez Cezarego Wodzińskiego, Bogdana Banasiaka i
Pieniążka cykl dorocznych konferencji filozoficznych.

– stronę internetową **nietzsche.org.pl.** Na stronie:

Bibliografia polskich odniesień do Nietzschego

- do 1918 (Marta Kopij)
- z lat 1919-1939 (Grzegorz Kowal)
- z lat 1939-1989 (Jadwiga Sucharzewska)
- po 1989 (Jakub Wroński)

e-Mortkowicz - Cyfrowa reedycja młodopolskiego wydania *Dzieł* Fry
Nietzschego z zachowaniem paginacji i układu graficznego.

Teksty archiwalne – baza przedwojennych artykułów polskich na
Nietzschego

Wieści ze świata Nietzschego: konferencje, seminaria, obronione prace

DZIEŁA FRYD. NIETZSCHEGO

W PRZEKŁADZIE WACŁAWA BERENTA, KONRADA DRZEWIECKIEGO, LEOPOLDA STAFFA I STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO WYDAŁ JAKÓB MORTKOWICZ.



WARSZAWA — KRAKÓW MCMXII

FRYDERYK NIETZSCHE

POZA DOBREM I ZŁEM

PRZEŁOŻYŁ

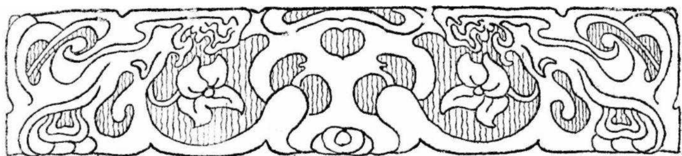
STANISŁAW WYRZYKOWSKI



NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA

WYDANIE TRZECIE.
OZDOBY DO KSIĄŻKI
RYS. FR. SIEDLECKI.

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



PRZEDMOWA.

Dajmy na to, iż prawda jest kobietą — jakto? nie jest że uzasadnionem podejrzenie, iż wszyscy filozofowie, o ile byli dogmatykami, źle się znali na kobietach? iż straszliwa powaga, niezdarne natręctwo, z jakiem ku prawdzie zmierzać dotychczas zwykli niewłaściwymi były i nieprzystojnymi środkami, by właśnie zjednać sobie białogłowę? To pewna, iż zjednać się nie dała: — a dogmatyka wszelkiego rodzaju dzisiaj w postawie żałosnej i bezsilnej stoi. *Jeśli* jeszcze wogóle stoi! Gdyż niebrak szyderców, którzy utrzymują, iż upadła, iż wszelka dogmatyka leży powalona, ba nawet, iż wszelka dogmatyka już dogorywa. Mówiąc poważnie, można mieć uzasadnioną nadzieję, iż wszelkie dogmatyzowanie we filozofii, lubo poczynało sobie tak uroczyście, tak ostatecznie i nieodwołalnie, było snadź tylko szlachetnem dziecińczęsto i początkowaniem; i czas może już nader bliski, gdy coraz dokładniej pojmować się zacznie, co właściwie już wystarczało, by utworzyć węgły do takich wzniosłych i bezwzględnych budowli filozoficznych, jakie dotychczas piętrzyli dogmatycy: —

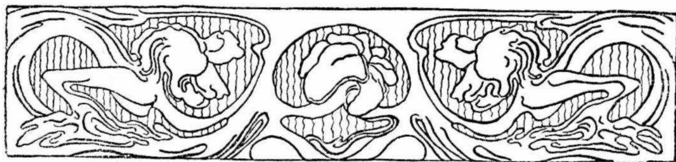
jakiś przesąd ludowy z niepamiętnych czasów (jak przesąd o duszy, który jako przesąd o subjekcie i jaźni po dziś dzień jeszcze bruździć nie zaprzestał), jakaś gra słów może, jakieś pokuszenie ze strony gramatyki lub zuchwałe uogólnienie faktów nader ciasnych, nader osobistych, nader ludzkich, arcyludzkich. Filozofia dogmatyków była snadź przyrzeczeniem jeno, danem z góry poprzez lat tysiące, jak za jeszcze dawniejszych czasów była astrologia, na usługi której spotrzebowano snadź więcej pracy, pieniędzy, bystrości i cierpliwości, niźli dotychczas dla którejkolwiek rzeczywistej wiedzy: — jej to oraz jej »nadziemskim« uroszczeniom zawdzięczamy w Azyi i Egipcie wielki styl budowniczy. Zda się, iż wszystkie wielkie rzeczy, by wiekuistem dążeniem wpisać się w serce ludzkości, jako potworne i przerażające straszydła musiały pierwej nawiedzić ziemię: takiem straszydłem była dogmatyczna filozofia, naprzykład nauka Vedanty w Azyi, platonizm w Europie. Nie bądźmy względem niej niewdzięczni, acz niewątpliwie przyznać też należy, iż najgorszym, najuporczywszym i najniebezpieczniejszym ze wszystkich dotychczasowych błędów był błąd dogmatyków, mianowicie platoński wynalazek czystego Ducha oraz Dobra samego w sobie. Teraz atoli, gdy ten przezwyciężony, gdy Europa po tej zmorze oddycha i co najmniej zdrowszego — snu zażywać może, jesteśmy my, *których zadaniem czuwanie jest jedynie*, spadkobiercami wszystkiej tej siły, którą walka przeciw błędowi temu wyhodowała. Jużcić, mówić w ten sposób o Duchu i o Dobrem, jak to czynił Plato, znaczyło to wywrócić prawdę na nice, zaprzeczyć *perspektywiczności* nawet, temu

zasadniczemu warunkowi wszelkiego życia: zaś, jako lekarz, spytać owszem się godzi: »skąd taka choroba u najpiękniejszej rośliny starożytności, u Platona? zepsuł-że go zły Sokrates istotnie? psuł-że Sokrates młodzież naprawdę? i zasłużył zatem na swą cykutę?« — Atoli walka przeciw Platonowi, lub, mówiąc przystępniej i »popularniej«, walka przeciw tysiącletniemu naciskowi chrześcijańsko-kościelnemu — gdyż chrześcijaństwo jest platonizmem dla »ludu« — wytworzyła w Europie wspaniałe napięcie ducha, jakiego na ziemi jeszcze nie było: z tak napiętego łuku do najdalszych można strzelać teraz celów. Wprawdzie europejczyk odczuwa napięcie to jako niedolę i dwukrotnie już były usiłowania w wielkim stylu, by łuku zwolnić, raz przez jezuityzm, następnie przez demokratyczne oświecenie; — to ostatnie przy pomocy wolności prasy tudzież czytania dzienników mogłoby stotnie dokazać, iż duch nie tak już łatwo będzie odczuwał siebie jako »niedolę«. (Niemcy wynaleźli proch — całe uznanie! ale skwitowali się znowu — wynalazłszy prasę). My wszakże, którzy nie jesteśmy ani jezuitami, ani demokratami, ani niedość Niemcami nawet, my dobrzy europejczycy i wolne, bardzo wolne duchy — my mamy ją jeszcze, tę całą. niedolę ducha i całe łuku jego napięcie! A może także strzałę, zadanie, kto wie? cel...

Sils-Maria, Engadyn Wyżni,
w czerwcu 1885 r.

ROZDZIAŁ I.

O PRZESĄDACH FILOZOFÓW



1.

Wola prawdy, co do niejednego skusi nas jeszcze porywu, owa słynna prawdziwość, o której z czcią wyrażali się dotychczas wszyscy filozofowie: co za pytania stawiała nam już ta wola prawdy! Jakie dziwaczne niedobre zagadkowe pytania! Długa to już historya, — a jednak, czyż się nie zdaje, iż zaledwie się rozpoczęła? Cóż dziwnego, gdy wkońcu nabieramy nieufności, tracimy cierpliwość, niecierpliwie się odwracamy? Iż i my także od tego Sfinksa pytać się uczymy? Kto to właściwie stawia nam w tym wypadku pytania? Co właściwie dąży w nas »ku prawdzie«? Jakoż zastanawialiśmy się długo nad pytaniem co do przyczyny tej woli, — aż wreszcie, nad jeszcze gruntowniejszem zatrzymaliśmy się już całkiem pytaniem. Pytaliśmy o wartość tej woli. Przypuśćmy, iż chcemy prawdy: czemuż nie nieprawdy raczej? I niepewności? Niewiedzy nawet? — Problemat wartości prawdy stanął przed nami, — lub może to my przed tym stanęliśmy problematem? Kto z nas jest tu Edypem? Kto Sfinksem? Jest to, jak się zdaje, schadzka pytań i pytajników. — I da-li kto temu wiarę, iż marzy się nam ostatecznie, jakoby ten problemat nigdy jeszcze dotychczas poruszony nie był, —

akobyśmy po raz pierwszy go dostrzegli, zauważyli, pierwsi nań się porwali? Gdyż wchodzi tu w grę poryw i niemasz może większego nadeń.

2.

»Jak coś z własnego mogłoby powstać przeciwieństwa? Naprzykład, prawda z błędu? Lub wola prawdy z woli złudzenia? Lub czyn bezinteresowny ze sobkowstwa? Albo czysta słoneczna zaduma mędrca z pożądliwości? Takowe powstanie jest niemożliwe; kto o niem marzy, jest głupcem, czemś gorszem jeszcze; rzeczy najwyższej wagi muszą mieć inny, własny początek, — z tego znikomego, zwodniczego, złudnego, poziomego świata, z tego odmętu urojeń i żądzy wywieść się nie dają! Raczej w łonie Bytu, w Nieznikomości, w utajonem Bóstwie, w »Rzeczy samej w sobie« — tam musi być ich przyczyna, poza tem nigdzie!« — Ten sposób wnioskowania stanowi typowy przesąd, po którym dają się poznać metafizycy wszystkich czasów; ten sposób oceniania wartości widnieje w głębi ich wszystkich procedur logicznych: z tej swojej »wiary« dążą oni ku swej »wiedzy«, ku czemuś, co ostatecznie jako »prawda« uroczyście ochrzczone zostaje. Zasadniczą metafizyków wiarą jest wiara w przeciwieństwo wartości. Najprzezorniejszym z pośród nich nie przyszło na myśl wątpić u samego już progu, gdzie wątpienie było snadź najpotrzebniejsze: tym nawet, którzy chełpili się *de omnibus dubitandum*. Wątpić bowiem należy po pierwsze, czy przeciwieństwa wogóle istnieją, po wtóre zaś, czy owe popularne wartości

oceny tudzież wartości przeciwieństwa, na których metafizycy pieczęć swą wycisnęli, nie są snadź powierzchownemi jeno ocenami, tymczasowemi jeno perspektywami, do tego jeszcze widzianemi może z jakiegoś kąta, może z dołu ku górze, żabiemi jakoby perspektywami, by posłużyć się wyrażeniem, utartem u malarzy? Nie odmawiając bynajmniej wartości temu, co prawdziwe, rzetelne, bezinteresowne: byłoby jednakże rzeczą możliwą, iż pozorowi, woli złudzenia, sobkowstwu i żądzy należałoby przyznać wartość dla całego życia wyższą i bardziej zasadniczą. A nawet byłoby jeszcze możliwem, że to, co wartość owych dobrych i czcigodnych rzeczy stanowi, na tem właśnie polega, iż są one zdradliwie spowinowacone, skojarzone, zadzierzgnięte, może nawet w istocie swej jednakowe z owemi złemi, pozornie wręcz sprzecznemi rzeczami. Może! — Kto ma wszakże ochotę troszczyć się o takie niebezpieczne *może*! Trzeba z tem się wstrzymać do przybycia nowej odmiany filozofów, co będą mieli jakiś inny, sprzeczny smak i pociąg od dotychczasowych, — filozofów, niebezpiecznego *może* w każdem rozumieniu. — I mówię zupełnie poważnie: widzę, iż tacy nowi filozofowie już się ukazują.

3.

Napatrzywszy się dość długo między wiersze i na palce filozofów, powiadam sobie: przeważną część świadomego myślenia trzeba jeszcze zaliczyć do czynności instynktowych, nawet gdy chodzi o myślenie filozoficzne: trzeba pod tym względem zmienić

zdanie, jak się je zmieniło co do dziedziczności i »wrodzonego«. Podobnie jak akt narodzin na cały przedwstępny i rozwojowy przebieg dziedziczności zgoła nie wpływa: tak samo »świadomość« nie jest bynajmniej w stanowczem jakiemś znaczeniu instynktowemu przeciwna, — przeważną częścią świadomego myślenia filozofa kierują potajemnie jego instynkty i na określone wprowadzają je tory. Poza wszelką logiką oraz jej pozornie własną świetnością ruchu kryją się także oceny wartości, mówiąc wyraźniej, fizyologiczne postulaty, określony rodzaj życia mające na celu. Naprzykład, iż określone większą ma wartość niż nieokreślone, że pozór mniej jest wart od »prawdy«: takowe oceny, mimo całej swej regulatywnej ważności dla nas, mogłyby wszakże li pierwszoplanowemi być ocenami, określonym rodzajem *niaiserie,* wręcz snadź potrzebnej do utrzymania istot, jakiemi my jesteśmy. O ile przyjmiemy mianowicie, iż człowiek niekoniecznie jest »miarą rzeczy « …

4.

Fałszywość jakiegoś sądu nie jest jeszcze dla nas przeciw sądowi temu zarzutem; w tem nowość mowy naszej brzmi snadź najniezwyklej. Chodzi o to, o ile wpływa on na wzmożenie życia, na utrzymanie życia, na utrzymanie gatunku, może nawet na chów gatunku; i zasadniczo skłaniamy się do twierdzenia, iż najfałszywsze sądy (do których należą syntetyczne sądy *a priori)* są dla nas najniezbędniejsze, iż odmawiając znaczenia fikcyom logicznym, nie mierząc rzeczywistości miarą li zmyślonego świata Absolutu,

Równego-sobie-samemu, nie fałszując liczbą nieustannie świata, człowiek nie mógłby żyć, — że wyrzeczenie się fałszywych sądów byłoby wyrzeczeniem się życia, zaprzeczeniem życia. Uznać nieprawdę warunkiem życia: znaczy to wprawdzie w niebezpieczny sposób stanąć okoniem przeciwko nawykowym względem wartości uczuciom; zaś filozofia, która na to się odważy, staje już tem samem poza dobrem i złem.

5.

To, co nas do napoły nieufnego, napoły szyderczego patrzenia na wszystkich pobudza filozofów, nie pochodzi stąd, iż raz wraz dostrzegamy, jacy oni niewinni, — jak często i jak łatwo mylą się i błądzą, krótko mówiąc, ich naiwność i dzieciństwo, — lecz stąd, iż niedość rzetelnie sobie poczynają: wszyscy bowiem razem podnoszą wielki i cnotliwy hałas, skoro problemat prawdziwości bodaj tylko z daleka poruszony bywa. Wszyscy udają, jakoby właściwe swe mniemania odkryli i osiągnęli drogą samoistnego rozwijania zimnej, czystej, bosko pogodnej dyalektyki (tem różnią się od mistyków wszelkiego pokroju, którzy są od nich uczciwsi i tępsi — ci mówią o »natchnieniu« —): w istocie zaś rzeczy dodatkowo wyszukiwanymi argumentami bronią z góry powziętego zdania, pomysłu, »podszeptu«, abstrakcyjnie urobionego i przesianego serdecznego życzenia: — wszyscy są adwokatami, co do tego przyznać się nie chcą, i to najczęściej wykrętnymi nawet rzecznikami swych przesądów, które »prawdami« zowią, — bardzo zaś im daleko do tej dzielności sumienia, która to, to właśnie przed sobą wyznaje, bardzo daleko do tego

dobrego dzielności smaku, która pozwala także tego się dorozumieć, bądź to by ostrzedz wroga lub przyjaciela, bądź też ze swawoli i gwoli naigrawaniu się ze siebie samej. Niemniej sztywna jak obyczajna tartufferya starego Kanta, z jaką wabi on nas na dyalektyczne manowce, ku jego »kategorycznemu imperatywowi« wiodące, słuszniej mówiąc, zwodzące — nam wybrednym widowisko to uśmiech wywołuje na usta, bawimy się bowiem niezgorzej, przyglądając się pomysłowym kruczkom starych moralistów i moralności kaznodziejów. Albo te czarnoksięskie praktyki z matematyczną formą, w którą Spinoza swą filozofię — finalnie »miłość swej mądrości«, by słowo to trafnie i właściwie wyłożyć — ni to w spiż zakuł i zamaskował, aby w ten sposób zachwiać już z góry odwagę napastnika, co ośmieliłby się podnieść oczy na tę niezwyciężoną dziewicę i Pallas Atenę: — ileż znamiennej lękliwości i nieodporności w tej maskaradzie chorego pustelnika!

6.

Wyjaśniło mi się zwolna, czem była dotychczas każda wielka filozofia: oto spowiedzią swego twórcy oraz rodzajem mimowolnych, a jako takie nie zaznaczonych *memoarów;* tudzież że moralne (lub niemoralne) dążności w każdej filozofii właściwy stanowiły zarodek, z którego każdorazowo cała rozwinęła się roślina. W rzeczy samej, czyni się dobrze (i roztropnie), gdy, szukając wyjaśnienia, jak utworzyły się właściwie najodleglejsze metafizyczne twierdzenia jakiegoś filozofa, pyta się zawsze przedewszystkiem: ku jakiemu morałowi to zmierza (on zmierza —)? Nie

wierzę zatem, iż »popęd ku poznaniu« jest ojcem filozofii, lecz że jakiś inny popęd i w tym wypadku po znaniem (i niepoznaniem!) jeno jako swem posłużył się narzędziem. Kto wszakże zasadnicze popędy człowieka z tego rozpatruje stanowiska, o ile one tu właśnie jako inspirujące geniusze (lub demony i koboldy —) wpływ swój wywierać mogły, ten się przekona, iż wszystkie uprawiały już kiedyś filozofię, — i że każdy z osobna radby właśnie siebie przed stawić jako ostateczny cel istnienia i jako uprawnionego władcę wszystkich innych popędów. Gdyż każdy popęd żądny jest władzy: i jako taki próbuje filozofować. — Wprawdzie u uczonych, u właściwych przedstawicieli wiedzy, może być inaczej — gdy kto chce, »lepiej« —, u nich może zdarzać się istotnie coś jak gdyby pęd ku poznaniu, jakiś drobny, niezależny mechanizm zegarkowy, co, dobrze nakręcony, pracuje dzielnie w tym kierunku bez istotnego współudziału wszystkich innych uczonego popędów. Właściwe »interesy« uczonego zwracają się przeto zazwyczaj całkiem gdzieindziej, ku rodzinie naprzykład, ku polityce lub zarobkowaniu; a nawet jest to niemal obojętne, czy na tem lub owem miejscu wiedzy jego małą ustawi się machinę i czy »obiecujący« młody pracownik uczyni ze siebie dobrego filologa, chemika lub znawcę grzybów: — nie znamionuje go to, iż tem lub owem zostanie. Odwrotnie, u filozofa niema zgoła nic nieosobistego; zwłaszcza morał jego daje niezbite i rozstrzygające świadectwo, kim on jest — to znaczy, wedle jakiej hierarchii dostojeństwa układają się względem siebie najwnętrzniejsze popędy jego natury.

7.

Jak złośliwymi potrafią być filozofowie! Nie znam nic jadowitszego od żartu, na jaki pozwolił sobie Epikur względem Platona i platoników: nazwał ich Dionysokolakes. Dosłownie i w pierwszym rzędzie znaczy to »pochlebcy Dionyzosa«, a więc zausznicy i lizusy tyrana; zarazem ma to jeszcze znaczyć »wszystko to komedyanci, niema w tem nic szczerego« (gdyż *Dionysokolax* było popularnem nazwaniem aktora). I to ostatnie jest złośliwością wymierzoną przez Epikura przeciwko Platonowi: gniewała go wspaniała maniera oraz zdolność inscenizowania się, którą Plato wraz z uczniami swoimi posiadał, — a której Ekipur nie posiadał! on, stary bakałarz ze Samos, co siedział ukryty w swym ogródku w Atenach i pisał trzysta ksiąg, kto wie? może z ambicyi i pasyi przeciw Platonowi? — Trzeba było lat stu, zanim Grecya odgadła, kim był ten bożek ogrodowy Epikur. — Czy odgadła?—

8.

W każdej filozofii bywa punkt, w którym »przekonanie« filozofa jawi się na widowni: czyli mówiąc językiem starodawnego misteryum:

adventavit asinus
pulcher et fortissimus

9.

»Wedle przyrody« żyć chcecie? Oh, wy szlachetni stoicy, jakież słów szalbierstwo! Pomyślcie sobie

istotę, jaką jest przyroda, rozrzutną bez miary, obojętną bez miary, pozbawioną zamiarów i względów, próżną sprawiedliwości i zmiłowania, płodną i jałową i niepewną zarazem — pomyślcie sobie indyferencyę samą jako potęgę — wedle tej indyferencyi jakżebyście żyć mogli? Życie — nie polegaż ono właśnie na dążeniu, by być od tej przyrody innym? Nie jest-że życie ocenianiem, wybieraniem, dążeniem, by być niesprawiedliwym, ograniczonym, dyferentnym? Jeżeli zaś przyjmiemy, że imperatyw wasz »żyć wedle natury« znaczy w istocie rzeczy to samo, co »żyć wedle życia« — jakżebyście tego uczynić nie mogli? Pocóż tworzyć zasadę z tego, czem jesteście i być musicie? — Po prawdzie przedstawia się to całkiem inaczej: udając, iż kanon swego prawa z zachwytem wyczytujecie z przyrody, pragniecie czegoś przeciwnego, wy cudaczni komedyanci i samo-oszuści! Duma wasza chce przyrodzie, przyrodzie nawet, przypisać wasz morał, wcielić w nią wasz ideał, żądacie, aby ona »wedle Stoi« była przyrodą i chcielibyście, iżby całe istnienie jeno na wasz własny istniało obraz — jako olbrzymie wiekuiste uświetnienie i uogólnienie stoicyzmu! Z całą swą miłością prawdy zmuszacie siebie tak długo, tak zawzięcie, z takiem hypnotycznem odrętwieniem widzieć przyrodę fałszywie, mianowicie stoicznie, aż już jej inaczej widzieć nie możecie, — a jakaś hardość niezgłębiona napawa was ponadto jeszcze szaleńczą nadzieją, iż przyroda da się także tyranizować, ponieważ siebie samych tyranizować umiecie — stoicyzm bowiem jest tyranią siebie samego—: nie jest-że stoik — cząstką przyrody?... Prastara to wszakże, wiekuista historya: co działo się niegdyś ze stoikami, to dzieje się po

dziś dzień jeszcze, skoro tylko jakaś filozofia wierzyć w siebie samą poczyna. Stwarza ona zawsze świat na swój obraz i inaczej nie może; filozofia jest po prostu tyrańskim tym popędem, najbardziej uduchowioną wolą mocy, dążeniem do »stworzenia świata«, do *causa prima*.

10.

Zapał i subtelność, rzekłbym nawet: przebiegłość, z jaką wszędzie w Europie pracuje się obecnie nad problematem »o świecie rzeczywistym, i pozornym«, dają do myślenia i do słuchania; i kto tu w głębi jeno »wolę prawdy« i nic nadto nie słyszy, ten na pewno zbyt bystrym nie jest obdarzony słuchem. W poszczególnych i rzadkich wypadkach może istotnie współdziałać taka wola prawdy, jakowaś wybujała i awanturnicza odwaga, metafizyczna ambicya zgubionej czaty, co woli ostatecznie bodaj garść »pewników« od całego wozu pięknych możliwości; snadź bywają nawet purytańscy fanatycy sumienia, co wolą— konać na pewnem NIC, niż na niepewnem COŚ. Aliści jest to nihilizm i oznaka zrozpaczonej, śmiertelnie znużonej duszy, mimo całej pozornej dzielności gestów takiej cnoty. U krzepszych wszakże, żywotniejszych, żądnych jeszcze życia myślicieli jest snadź inaczej: oświadczając się przeciwko pozorowi i słowo »perspektywicznie« z dumą już wymawiając; wiarogodność własnego swego ciała ceniąc niewyżej od wiarogodności chwili, co powiada »ziemia na miejscu stoi«, z pozornym humorem wyzbywając się przeto najpewniejszej własności (gdyż co pewniejszem od własnego zdaje się dziś ciała?) — kto wie, czy w isto-

cie rzeczy nie chcą oni odzyskać czegoś, co jeszcze pewniej posiadano ongi, jakowejś cząstki starodawnej włości minionej wiary, może »nieśmiertelnej duszy«, może »dawnego Boga«, słowem, idej, z któremi żyło się lepiej, mianowicie krzepcej i weselej, niźli z nowoczesnemi ideami«? Tkwi w tem nieufność do tych nowoczesnych idej, jest to niewiara w to wszystko, co budowano wczoraj i dzisiaj; jest w tem snadź domieszka lekkiego przesytu i szyderstwa, co już nie może znieść dłużej tego *bric-à-brac*'u pojęć najprzeróżniejszego pochodzenia, jakim jest obnoszony dzisiaj po targach tak zwany pozytywizm, odraza wybredniejszego smaku do jarmarcznej pstrocizny i lichoty wszystkich tych pseudofilozofów rzeczywistości, u których niema nic nowego i szczerego okrom tej pstrocizny, Pod tym względem, jak mi się zdaje, trzeba przyznać słuszność tym dzisiejszym sceptycznym przeciwnikom rzeczywistości i mikroskopikom poznania: instynkt, co z nowoczesnej wygania ich rzeczywistości, jest nieodparty, — co nam do ich wstecznych manowców! Istotnem w nich nie jest to, iż dążą »wstecz«; lecz że — dążą precz. Nieco więcej siły, lotności, odwagi, artyzmu: a dążyliby w dal — nie wstecz! —

11.

Zdaje mi się, iż wszędzie czyni się dziś starania, by odwrócić uwagę od właściwego wpływu, jaki Kant na niemiecką wywarł filozofię, zaś zwłaszcza co do wartości, jaką sobie samemu przyznał, zręcznie się prześliznąć. Najpierw i przedewszystkiem Kant

był dumny ze swej tablicy kategoryj, z tablicą tą w ręku powiadał: »oto najważniejsze, co kiedykolwiek gwoli metafizyce przedsięwziąć było można«. Zrozumiejmyż to »było można«! był dumny z tego, iż odkrył w człowieku nową zdolność, zdolność do syntetycznych sądów *a priori*. Przypuśćmy, iż pod tym względem oszukiwał siebie samego: atoli rozwój oraz szybki rozkwit niemieckiej filozofii zależy od tej dumy i od współzawodnictwa wszystkich młodszych, by, o ile możności, odkryć jeszcze coś dumniejszego — w każdym zaś razie »nową zdolność«! — Opamiętajmy się wszakże: czas już. Jak są możliwe syntetyczne sądy *a priori?* pytał się Kant, — i co odrzekł właściwie? Mocą jakiejś mocy: niestety wszakże, nie trzema słowami, lecz tak obszernie, czcigodnie i z takim nakładem głębokości oraz bałamutności niemieckiej, iż niedosłyszano wesołej *niaiserie allemande,* w tej odpowiedzi ukrytej. Zachwycano się nawet nową tą zdolnością, a radość dosięgnęła szczytu, gdy Kant ponadto jeszcze zdolność moralną odkrył w człowieku: — gdyż Niemcy byli podówczas jeszcze moralni i zgoła nie hołdowali jeszcze »polityce realnej«. Nastał miodowy miesiąc filozofii niemieckiej; wszyscy młodzi teologowie instytutu tybińskiego wyruszyli wnet w pole, — wszyscy szukali »mocy». I czegóż nie znaleziono — w owym niewinnym, bogatym, młodocianym jeszcze niemieckiego ducha okresie, rozdmuchiwanym i rozśpiewywanym przez złośliwą czarodziejkę romantykę, kiedy to »znaleść« od »wynaleść« odróżniać nie umiano jeszcze! Przedewszystkiem zdolność »nadzmysłową«: Schelling ochrzcił ją poglądem intelektualnym i uprzedził w ten sposób najserdeczniejsze chętki swych w istocie rzeczy skłonnych

do pobożności Niemców. Całemu temu swawolnemu i marzycielskiemu ruchowi, który był młodością, acz tak śmiało w szare i zgrzybiałe przebierał się pojęcia, nie można większej wyrządzić krzywdy, niźli biorąc go poważnie lub z moralnem nawet sądząc oburzeniem; dość, przyszedł wiek dojrzalszy — sen pierzchnął. Poczęto z czasem trzeć sobie czoło: trze się je dziś jeszcze. Marzyło się: najpierw i przedewszystkiem — staremu Kantowi. »Mocą jakiejś mocy« — rzekł on, lub co najmniej miał na myśli. Ale jest-że to odpowiedzią? Wyjaśnieniem? Nie jest-że to raczej jeno powtórzeniem pytania? W jakiż to sposób usypia opium? »Mocą jakiejś mocy«, mianowicie *virtutis dormitivae* — odpowiada u Molière'a ów lekarz,

> *quia es in eo virtus dormitiva,*
> *cuius est natura sensus assoupire,*

Ale tego rodzaju odpowiedzi przystoją w komedyi, i czas wreszcie, by kantowskie pytanie »jak są możliwe syntetyczne sądy *a priori?*« innem zastąpić pytaniem »dlaczego wiara w takie sądy jest potrzebna?« — by pojąć mianowicie, iż, celem utrzymania istot naszego rodzaju, w prawdziwość takich sądów wierzyć się musi; co, naturalnie, jeszcze nie wyklucza, iż mogłyby fałszywymi być sądami! Czyli, mówiąc wyraźniej, gruntownie i po prostu: syntetyczne sądy *a priori* bynajmniej nie muszą »być możliwymi«: nie mamy do nich prawa, w naszych ustach są to wyłącznie fałszywe sądy. Jeno wiara w ich prawdziwość jużcić jest potrzebna, jako wiara przedniego tła i oczywistość nieodłączna od perspektywicznej optyki życiowej. — Naostatek, by wspomnieć jeszcze o olbrzymim wpływie, jaki »filo-

zofia niemiecka« — czytelnik, mam nadzieję, rozumie jej prawa do gęsich łapek? — w całej wywarła Europie, wątpić nie należy, iż przyczyniła się do niego jakowaś *virtus dormitiva:* zachwycano się w kołach szlachetnych próżniaków, cnotliwców, mistyków, artystów, w trzech czwartych chrześcijan oraz politycznych obskurantów wszystkich narodowości, iż, dzięki filozofii niemieckiej, znalazło się antidotum przeciwko przepotężnemu jeszcze sensualizmowi, co z ubiegłego stulecia przelewał się w dzisiejsze, słowem — *sensus assoupire...*

12.

Co do atomistyki materyalistycznej: to należy ona do najgruntowniej obalonych rzeczy, jakie istnieją; i snadź niema już dzisiaj w Europie pośród uczonych takiego nieuka, który, poza wygodnym użytkiem podręcznym i osobistym (jako skrócenie w wypowiadaniu się mianowicie), przypisywałby jej jeszcze rzetelne znaczenie — dzięki w pierwszym rzędzie owemu Polakowi Boscovich'owi, co wraz z Polakiem Kopernikiem, największym był dotychczas i najbardziej zwycięskim oczywistości przeciwnikiem. Za namową Kopernika uwierzyliśmy bowiem wbrew wszystkim zmysłom, iż ziemia nie stoi na miejscu, nauka Boscovicha'a zaś dokazała, że wyrzekliśmy się wiary w ostatek »stałości« ziemi, wiary w »pierwiastek«, w »materyę», w atom cząsteczkowy i drobinowy: był to największy nad zmysłami tryumf, jaki dotychczas odniesiono na ziemi. — Musimy atoli pójść jeszcze dalej i wypowiedzieć wojnę, nieubłaganą wojnę na noże, także »potrzebie atomistycznej«, co, jak owa

słynniejsza »potrzeba metafizyczna«, szkodliwy żywot pośmiertny wiedzie wciąż jeszcze w dziedzinach, w których nikt jej nie przeczuwa: — musimy najpierw obalić także ową inną i fatalniejszą atomistykę, której najdłużej i najlepiej uczyło chrześcijaństwo, atomistykę duszy. Tem słowem niechaj mi będzie wolno określić ową wiarę, co uważa duszę za coś niezniszczalnego, wiekuistego, niepodzielnego, jako monadę, jako *atomon:* wiarę tę trzeba z nauki wyświecić. Mówiąc między nami, nie jest to bynajmniej rzeczą konieczną wyzbywać się przytem »duszy» samej, i jednej z najstarszych, najczcigodniejszych wyrzekać się hypotez: jak to, dla ich niezręczności, bywa z przyrodnikami, którzy zaraz tracą »duszę«, skoro jej tylko tkną się. Ale droga do nowych ujęć i wysubtelnień hypotezy o duszy stoi otworem: zaś pojęcia, jak »dusza śmiertelna« i »dusza jako wielość subjektu« i »dusza jako ustrój społeczny popędów i afektów« mogłyby uzyskać odtąd w nauce prawo obywatelstwa. Nowy psycholog, kładąc kres przesądowi, z podzwrotnikową niemal bujnością krzewiącemu się dotychczas dokoła wyobrażenia o duszy, wygania wprawdzie siebie samego ni to w nowe pustkowie i nową nieufność — być może, iż dawniejszym psychologom było wygodniej i weselej — : atoli czuje on ostatecznie, iż dlatego właśnie skazany jest wynajdywać — i, kto wie? może znałeść. —

13.

Fizyologowie niechaj baczą by popędu samozachowawczego nie uznawali za popęd kardynalny

istoty organicznej. Twór żyjący pragnie przedewszystkiem siłom swym dać upust — życie samo jest wolą mocy—: samozachowawczość zaś jest li jednem z pośrednich i najczęstszych jej następstw. — Słowem, tu jak wszędzie, baczność przed zbytecznemi zasadami teologicznemi! — a do nich należy popęd samozachowawczy (zawdzięczamy go niekonsekwencyi Spinozy —). Tak bowiem nakazuje metoda, która z założenia musi być oszczędnością zasad.

14.

Świta snadź obecnie w pięciu, sześciu głowach, iż fizyka jest także jeno wykładem i układem świata)wedle nas! za pozwoleniem), a nie świata objaśnieniem: atoli, dopóki opiera się na wierze w zmysły, uchodzi za coś więcej i długo jeszcze za coś więcej, mianowicie za objaśnienie, uchodzić musi. Ma po swej stronie oczy i palce, ma po swej stronie oczywistość i namacalność: to epokę o zasadniczo gminnym smaku czaruje, zjednywa, przekonywa, — toć podąża ona instynktownie za kanonem prawdy wiekuiście popularnego sensualizmu. Co jest jasne, co »objaśnione«? To najpierw, co da się ujrzeć i namacać — każdy problemat aż potąd badać należy. Nadwrót: ze sprzeciwiania się ułomności zmysłów wynikał właśnie czar platońskiego sposobu myślenia, który był dostojnym myślenia sposobem, — do tego może śród ludzi, co silniejsze nawet i bardziej wymagające posiadali zmysły, niźli je mają ludzie współcześni, ale umieli wyższego doznawać tryumfu w zachowaniu władzy nad zmysłami tymi: i to przy pomocy bladej, zimnej, szarej sieci pojęć,

zarzucanej na pstre rojowisko zmysłów — na tłuszczę zmysłów — jak mawiał Plato. To przezwyciężenie świata oraz wykład świata według maniery Platona innym były rodzajem użycia od tego, jakim nas raczą dzisiejsi fizycy tudzież z pośród wyrobników fizyologicznych darwiniści i antiteleologowie ze swą zasadą »możliwie najmniejszej siły i możliwie największej głupoty. »Gdzie człowiek niczego już dojrzeć ni dotknąć nie może, tam niema też już czego szukać« —inny to, co prawda, od platońskiego imperatyw, aliści snadź właśnie odpowiedni dla prostaczego pracowitego pokolenia maszynistów i budowniczych mostów przyszłości, co wyłącznie grubej dokonać mają roboty.

15.

By fizyologię z czystem uprawiać sumieniem, trzeba trzymać się zasady, iż narządy zmysłowe nie są zjawiskami w sensie filizofii idealistycznej: toć jako takie nie mogłyby być przyczynami! Sensualizm zatem jako hypoteza regulatywna co najmniej, by nie rzec, jako zasada heurystyczna. — Jakto? a inni mówią nawet, jakoby świat zewnętrzny był dziełem naszych narządów? Ależ w takim razie ciało nasze, jako cząstka tegoż zewnętrznego świata, byłoby dziełem naszych narządów! Ależ w takim razie nawet narządy nasze byłyby — dziełem naszych narządów! Jest to, jak mi się zdaje, gruntowna *reductio ad absurdum:* o ile przyjmiemy, że pojęcie *causa sui* jest czemś gruntownie niedorzecznem. Zatem świat zewnętrzny nie jest dziełem naszych narządów — ?

16.

Zdarzają się wciąż jeszcze naiwni samo-spostrzegacze, którzy wierzą w istnienie »bezpośrednich pewników«, naprzykład »ja myślę«, lub, co było przesądem Schopenhauera, »ja chcę«: jak gdyby poznanie ogarniało w tym razie swój przedmiot czysto i wyłącznie jako »rzecz samą w sobie« i jak gdyby nie zachodziło fałszerstwo ze strony subjektu, ni ze strony objektu. Nie przestanę atoli powtarzać po stokroć, iż »bezpośredni pewnik« zawiera w sobie tak samo *contradictio in adjecto,* jak »absolutne poznanie« i »rzecz sama w sobie«: należałoby wyłamać się wkońcu z pod zaklęcia słów! Niechaj lud mniema, iż poznanie jest rozpoznaniem do końca, filozof musi rzec sobie: rozkładając proces, wyrażony w zdaniu »ja myślę«, otrzymuję szereg zuchwałych twierdzeń, których uzasadnienie jest trudne, może niemożliwe, — naprzykład, że to j a jestem, który myślę, że wogóle musi coś istnieć, co myśli, iż myślenie jest działalnością i skutkiem jakiejś istoty, pomyślanej jako przyczyna, iż »ja« istnieje, wkońcu, iż jest to już rzeczą pewną, co myśleniem zwać należy, — że wiem, czem jest myślenie. Gdyż nie rozważywszy sobie tego pierwej, czemże mam sprawdzić, iż to, co właśnie się dzieje, nie jest raczej »chceniem« lub »czuciem«? Dość, owo »ja myślę« wychodzi z zwożenia, iż chwilowy stan mój z innymi porównywam stanami, które poznałem u siebie, by ustalić w ten sposób, czem on jest: z powodu tej zależności od ubocznego »wiedzenia« nie jest on bądź co bądź dla mnie »pewnikiem bezpośrednim«. — Zamiast owego »bezpośredniego pewnika«, w który lud w danym razie niechaj sobie

wierzy, otrzymuje w ten sposób filozof szereg pytań metafizycznych, najistotniejszych pytań sumienia intelektualnego, które brzmią: Skąd biorę pojęcie myślenia? Dlaczego wierzę w przyczynę i skutek? Co daje mi prawo mówić o jaźni i to o jaźni jako przyczynie, a wreszcie jeszcze o jaźni, jako o przyczynie myśli?« Kto, powołując się na jakowąś intuicyę poznania, czuje się na siłach niezwłocznie na te pytania odpowiedzieć, jak to czyni człowiek, który powiada: »myślę i wiem, że to przynajmniej jest prawdziwe, pewne, rzeczywiste« — ten spotka się dziś u filozofa z uśmiechem i dwoma znakami zapytania. »Mój panie, da mu snadź filozof do poznania, jest to nieprawdopodobne, byś się nie mylił: jednakże dlaczego ma to być prawdą?«

17.

Co do przesądu logików: to niestrudzenie będę wciąż podkreślał maluczki drobny fakcik, którego ci przesądni stwierdzać nie lubią, — mianowicie, iż myśl przychodzi, gdy »ona« chce, nie gdy »ja« chcę; jest to zatem fałszerstwem istotnego stanu rzeczy, gdy się powiada: podmiot »ja« jest warunkiem orzeczenia »myślę«. Myśli się: lecz że to »się« jest właśnie owem dawnem słynnem »ja«, jest to, łagodnie mówiąc, jeno przypuszczeniem, twierdzeniem, żadną zaś miarą »bezpośrednim pewnikiem«. Wkońcu nawet tem »myśli się« powiedziano za wiele: już owo »się« zawiera wyjaśnienie procesu i do samego procesu nie należy. Wnioskuje się w tym wypadku na gramatyczną modłę »myślenie jest czynnością, do

każdej czynności potrzebny jest ktoś, kto czyni, a więc« —. Mniej więcej wedle tego samego schematu szukała dawniejsza atomistyka do »siły«, która działa, jeszcze owej drobiny materyi, w której ta siła tkwi, z której działa, atomu; ściślejsze umysły nauczyły się obywać wkońcu bez tej »resztki ziemi«, snadź więc logicy przyzwyczają się też z czasem obywać bez tego malutkiego »się« (w które rozwiała się dawna rzetelna jaźń).

18.

Nie najpośledniejszym zaiste, urokiem jakiejś teoryi jest to, iż daje się ona obalić: tem właśnie subtelniejsze mózgi pociąga ona ku sobie. Zda się, iż stokrotnie obalona teorya »wolnej woli« temu jeno urokowi swe trwanie jeszcze zawdzięcza: — wciąż jawi się ktoś, co czuje się na siłach ją obalić.

19.

Filozofowie zwykli mówić o woli ni to o najlepiej znanej rzeczy pod słońcem; toć Schopenhauer pozwalał się dorozumiewać, iż jedynie wola jest nam właściwie znana, całkowicie znana, bez uszczerbku i dodatku znana. Lecz wciąż mi coś się zdaje, iż Schopenhauer i w tym także wypadku uczynił jeno to co zazwyczaj czynią filozofowie: że przejął i rozdął *przesąd ludowy*. Wola zda mi się przedewszystkiem czemś *bardziej złożonem*, czemś, co tylko jako słowo jest jednością, — i właśnie

w tem jednem słowie tkwi przesąd ludowy, co zapanował nad niedostateczną po wszystkie czasy przezornością filozofów. Bądźmyż przeto wreszcie przezorniejsi, bądźmy »niefilozoficzni«, — powiedzmy: w każdem chceniu jest po pierwsze więcej poczuć, mianowicie poczucie stanu: od tego precz, poczucie stanu: ku temu dąż, poczucie samegoż »precz« i »dąż«, następnie jeszcze towarzyszące poczucie mięśniowe, które wraz z naszem »chceniem« grę swą poczyna w takich nawet razach, gdy »rąk i nóg« w ruch nie wprawiamy. Jak zatem czucie, i to wielorakie czucie, uznać należy za ingredyencyę woli, tak też, powtóre, włączyć w nią trzeba jeszcze myślenie: w każdym akcie woli istnieje myśl rządząca; — i niechaj nikt nie mniema, jakoby, oddzieliwszy myśl tę od »chcenia«, jako pozostałość otrzymywało się jeszcze wolę! Po trzecie, wola jest nie tylko kompleksem uczucia i myślenia, lecz przedewszystkiem afektem jeszcze: mianowicie owym afektem rozkazu. To, co zowie się »wolnością woli«, jest w istocie swej afektem wyższości w stosunku do tego, który musi być posłusznym: »jam wolny, »on« musi słuchać« — świadomość ta w każdej kryje się woli, jakoteż owo napięcie uwagi, ów prosty wzrok, co widzi wyłącznie jedno, owa bezwzględna wartości ocena »teraz tego potrzeba, nie zaś czegoś innego«, owa wewnętrzna pewność, iż zostanie się usłuchanym, wreszcie to wszystko, co do stanu rozkazodawcy jeszcze należy. Człowiek, który chce, — rozkazuje w sobie czemuś, co mu jest posłuszne, lub o czem mniema, iż mu jest posłuszne. Zważmy teraz jednakże, co w woli, — w tej tak różnorodnej rzeczy, dla której lud ma jedno tylko słowo, — jest najdziwniejsze: ponieważ w danym wy-

padku rozkazy wydajemy i razem jesteśmy im posłuszni, będąc zaś im posłuszni, znamy uczucia przymusu, naporu, ucisku, odporu i ruchu, niezwłocznie poczynające się zazwyczaj po akcie woli; ponieważ, przy pomocy syntetycznego pojęcia »jaźni«, nawykliśmy z drugiej strony na dwoistość tę nie zważać, co do niej się łudzić; przeto do chcenia uwiązał się jeszcze cały łańcuch błędnych wniosków, oraz z nich wynikających fałszywych ocen samejże woli — skutkiem czego chcący w dobrej mniema wierze, jakoby chcenie wystarczało do czynu. A że w przeważnej ilości wypadków chcemy tylko wtedy, gdy można mieć nadzieję, iż skutek rozkazu, a więc posłuszeństwo, a więc akcya nastąpi, przez pozór przedzierzgnął się w uczucie, jakoby w tym wypadku istniała konieczność skutku; słowem, chcący do pewnego stopnia ma przeświadczenie, iż wola i akcya są jednem niejako, — zalicza powodzenie, wykonanie chcenia do samejże woli i doznaje przytem przyrostu owego poczucia mocy, które idzie w parze z wszelkiem powodzeniem. »Wolność woli« — oto słowo na określenie owego różnorodnego stanu rozkoszy człowieka chcącego, co rozkazuje i z wykonawcą w jedno zespala się zarazem, — co uczestniczy jako taki w tryumfie nad przeszkodami, w duszy zaś mniema, iż to li wola jego pokonywa właściwie przeszkody. Chcący kojarzy tym sposobem uczucia rozkoszy, doznawane przez zwycięskie narzędzia wykonawcze, przez służebne »wole niższe« lub dusze niższe — toć nasz organizm jest jeno ustrojem społecznym wielu dusz — z uczuciem rozkoszy, odczuwanem przezeń w roli rozkazodawcy. *L'effet c'est moi:* dzieje się tu podobnie, jak w każdym dobrze skonstruowanym

i szczęśliwym ustroju gminnym, iż klasa rządząca identyfikuje się z powodzeniami gminy. Przy wszelkiem chceniu chodzi bądź co bądź o rozkazywanie i posłuch, na podstawie, jak powiedziano, ustroju społecznego wielu »dusz«: dlatego filozof może sobie rościć prawo, by chcenie samo w sobie wolno mu było rozpatrywać ze stanowiska morału: morału pojętego mianowicie jako nauka o stosunkach władczych, od których zależy powstanie zjawiska, zwanego »życiem«.

20.

Iż poszczególne pojęcia filozoficzne nie są czemś dowolnem, czemś, co samo dla siebie rośnie, lecz że wzrastają we wzajemnej zależności i pokrewieństwie; iż lubo jawią się na pozór tak nagle i kapryśnie w historyi myślenia, to jednak, jak wszystkie okazy fauny jakiejś części ziemi, do jednego należą systemu: przejawia się to ostatecznie i w tem jeszcze, jak pewnie wypełniają wciąż najrozmaitsi filozofowie jakowyś zasadniczy schemat *możliwych* filozofij. Niewidzialne jakieś zaklęcie wciąż każe im bieżeć na nowo po tej samej linii kolistej, choćby czuli się nie wiedzieć jak niezależnymi od siebie w swej woli krytycznej lub systematycznej; coś w nich samych prowadzi ich, coś jednego za drugim w określonym żenie porządku, a jest niem właśnie owa wrodzona systematyka i pokrewieństwo pojęć. Myślenie ich jest w rzeczywistości o wiele mniej odkrywaniem, niźli zapoznawaniem się na nowo, przypominaniem, nawrotem i powrotem do jakiegoś dalekiego praodwiecznego zbornego bytowania duszy, z którego wy-

rosły ongi owe pojęcia — filozofowanie jest zatem do pewnego stopnia rodzajem atawizmu najwyższego rzędu. Dziwne podobieństwo rodzinne wszelkiego filozofowania indyjskiego, greckiego, niemieckiego dość prosto się tłómaczy. Tam właśnie, gdzie istnieje powinowactwo językowe, wprost uniknąć niepodobna, by dzięki wspólnej filozofii gramatyki — mniemam, dzięki nieświadomemu władaniu i kierownictwu jednakich funkcyj gramatycznych — nie było wszystko przygotowane z góry do jednakowego rozwoju oraz następstwa systemów filozoficznych: tak samo, jak do jakowychś innych możliwości wytłómaczenia świata droga zda się gdyby zamknięta. Filozofowie z dziedziny językowej uralsko-ałtajskiej (gdzie pojęcie subjektu najgorzej jest rozwinięte) nader prawdopodob nie patrzą »na świat« inaczej i na innych znajdują się torach niźli indogermani lub muzułmani: wpływ określonych funkcyj gramatycznych jest w ostatnim rzędzie wpływem f i z y o l o g i c z n e g o osądu wartości tudzież warunków rasowych. — Tyle na odparcie powierzchowności Locke'a w sprawie pochodzenia idej.

21.

Causa sui jest najdoskonalszą samo-sprzecznością, jaką wymyślono dotychczas, rodzajem logicznego gwałtu i zwyrodnienia: atoli wybujała duma człowieka głęboko i straszliwie w tę właśnie niedorzeczność zdołała się zawikłać. Pragnienie »wolności woli« w owem superlatywnem znaczeniu metafizycznem, co wciąż jeszcze, niestety, w nawpół uświadomionych panuje

głowach, pragnienie, by całkowitą i ostateczną za swe uczynki odpowiedzialność wziąć na siebie i uwolnić od niej bóstwo, świat, swych przodków, przypadek i społeczeństwo, nie jest bowiem niczem pośledniejszem, niż by być właśnie ową *causa sui* i, z więcej niźli münchhausen'owską śmiałością, wyciągnąć siebie samego za włosy z bagna nicości na wybrzeże bytu. Jeżeli komuś przeniknąć się uda prostaczą naiwność owego słynnego pojęcia »wolnej woli« i z niego się otrząśnie, to go poproszę, by swe »oświecenie« posunął jeszcze o krok dalej i otrząsnął się także z odwrócenia owej niedorzeczności »wolnej woli«: mam na myśli »niewolną wolę«, która przedstawia się jako nadużycie przyczyny i skutku. Nie należy urzeczowiać wadliwie »przyczyny« i »skutku«, jak to czynią przyrodnicy (oraz ci, co na ich podobieństwo myślenie po przyrodniczemu dziś uprawiają —) zgodnie z rozpanoszonem głuptactwem mechanistycznem, które każe przyczynę naciskać i popychać aż do »skutku«; »przyczyną« i »skutkiem« należy się posługiwać tylko jako czystemi pojęciami, to znaczy jako konwencyonalnemi fikcyami, celem określenia, porozumiewania się, nie zaś objaśnienia. W »samem sobie« niema »węzłów przyczynowych«, niema »konieczności«, niema »niewoli psychologicznej«, tam »skutek« nie »następuje po przyczynie«, tam żadne »prawo« nie włada. To my sami wymyśliliśmy przyczyny, kolejność, mimobieżność, względność, przymus, liczbę, prawo, wolność, powód, cel; kiedy zaś ten świat znaków jako »samo w sobie« rzeczom przypisujemy, w rzeczy mieszamy, poczynamy sobie jeszcze raz tak samo, jak poczynaliśmy zawsze, mianowicie mitologicznie. »Niewolna

wola« jest mitologią; w życiu rzeczywistem chodzi tylko o silną i słabą wolę. — Jest to niemal zawsze oznaką, na czem mianowicie jemu samemu zbywa, gdy myśliciel we wszelkiej »łączności przyczynowej« i konieczności psychologicznej« wyczuwa zaraz ni to przymus, potrzebę, konieczność ulegania, ucisk, niewolę; rzecz to zdradziecka czuć w ten właśnie sposób, — zdradza się człowiek. I wogóle, o ile spostrzeżenia mnie nie mylą, »niewola woli« jako problemat z dwóch wręcz przeciwległych stron rozważana bywa, lecz zawsze w nader osobisty sposób: jedni nie chcą wyrzec się za żadną cenę swej odpowiedzialności«, wiary w siebie, praw osobistych do swej zasługi (do tej zaliczają się rasy próżne —); inni naodwrót, żadnej odpowiedzialności, żadnej winy na siebie brać nie chcą i, z głębi jakiejś wnętrznej samo-pogardy, radziby zepchnąć siebie samych gdziekolwiek. Ci ostatni, o ile piszą książki, zwykli ujmować się dziś za zbrodniarzami; jakoweś socyalistyczne współczucie najulubieńszem jest ich przebraniem. Istotnie, zdumiewająco upiększa się fatalizm ludzi słabej woli, skoro umie zalecać siebie jako *»la religion de la souffrance humaine«:* to jego »dobry smak«.

22.

Jako staremu filologowi wybaczyć mi proszę, iż nie mogę powstrzymać się, od złośliwego wytykania palcem nieudolnych sztuczek interpretacyjnych: jednakże owa »prawidłowość przyrody«, o której wy, fizycy, z taką dumą mówicie, jak gdyby — — istnieje

jeno dzięki waszemu wykładaniu i lichej »filologii«, — bynajmniej zaś nie jest istotnym stanem rzeczy, nie jest »tekstem«, raczej jeno naiwnie humanitarnem nagięciem i wypaczeniem sensu, któremi demokratycznym instynktom nowoczesnej duszy czynicie zadość! »Wszędzie równość przed prawem — pod tym względem z przyrodą nie dzieje się inaczej ni od nas lepiej«: sprytna myśl uboczna, w której tai się ponadto jeszcze gminna wrogość względem wszystkiego uprzywiliowanego i z siebie świetność swą czerpiącego, tudzież wtóry i subtelniejszy ateizm. »*Ni dieu, ni maître*« — oto, czego i wy chcecie: i dlatego »wiwat prawo przyrody!« — nieprawdaż? Atoli, jak powiedziano, jest to interpretacya, nie tekst; i mógłby przyjść ktoś, co mając wręcz odmienne poglądy oraz sztukę interpretacyi, umiałby z tejże samej przyrody i ze względu na też same zjawiska wyczytać właśnie tyrańsko bezwzględną i nieubłaganą przewagę uroszczeń mocy — jakiś interpretator, który bezwyjątkowość i bezwarunkowość wszelkiej »woli mocy« przedstawiłby wam w ten sposób, iż każde niemal słowo, nawet słowo »tyrania«, wydałoby się — jako zbyt ludzkie — ostatecznie niepotrzebnem lub osłabiającą jeno i łagodzącą metaforą; a zakończyłby jednakże tem, iż utrzymywałby o tym świecie to samo, co wy utrzymujecie, mianowicie, że przebieg jego jest »konieczny« i »obliczalny«, ale nie dlatego, ponieważ rządzą nim prawa, lecz że praw absolutnie niema, a każda moc ostatnią swą konsekwencyę w każdem wysnuwa okamgnieniu. Dajmy na to, iż jest to także tylko interpretacya — toć nie zaniedbalibyście uczynić tego zarzutu? — no, to tem lepiej. —

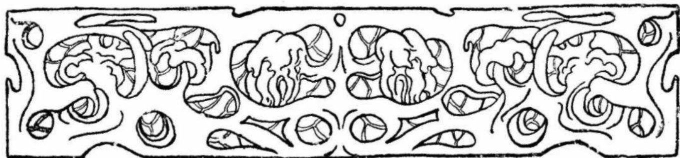
23.

Cała psychologia dotychczasowa uwięzła na moralnych przesądach i obawach: nie odważyła się sięgnąć w głąb. Pojąć ją jako morfologię oraz naukę o rozwoju woli mocy, jak ja pojmuję, — nikomu jeszcze na myśl nawet nie przyszło: o ile mianowicie się godzi to, co dotychczas napisano, uważać za objaw tego, co dotychczas przemilczano. Potęga przesądów moralnych wtargnęła głęboko w świat najbardziej uduchowiony, pozornie najchłodniejszy i wszelkich założeń próżen — a wtargnęła, jak rozumie się samo przez się, szkodząc, wstrzymując, olśniewając, pacząc. Fizyo-psychologia właściwa walczyć musi z nieświadomymi oporami w sercu badacza, ma »serce« przeciwko sobie: nauka o wzajemnem uwarunkowaniu »dobrych« i»złych« popędów, jako subtelniejsza immoralność, sprawia już przykrość i odrazę krzepkiemu jeszcze i odważnemu sumieniu, — zaś więcej jeszcze nauka, iż wszystkie dobre popędy ze złych wywieść się dają. Przypuśćmy atoli, iż ktoś uzna nawet afekty nienawiści, zazdrości, skąpstwa, żądzy władania za afekty, warunkujące życie, jako coś, co w zbiorowem włodarstwie życia zasadniczo i istotnie znajdować się musi, a więc musi być jeszcze wzmożone, jeżeli życie ma być jeszcze wzmożone, — ten na taki kierunek swych sądów ni to na morską będzie cierpiał chorobę. A jednak i ta hypoteza w przybliżeniu nawet nie jest najprzykrzejsza i najniezwyklejsza w tej przeolbrzymiej, nieomal nowej jeszcze, niebezpiecznych poglądów dziedzinie: — i, w rzeczy samej, możnaby przytoczyć setki powodów, by każdy, kto — może, omijał ją zdaleka. Z dru-

giej zaś strony: czyj okręt zaniosły już tam fale, hej! dalejże! teraz mocno zacisnąć zęby! rozewrzeć oczy! krzepko ująć ster w dłonie! — ważąc żeglugę w te strony, najeżdżamy wprost na morał, przyczem zgniatamy i miażdżymy snadź własnej moralności szczątek, ale cóż po nas! Nigdy jeszcze głębszy świat poglądów nie otwierał się przed zuchwałymi podróżnikami i awanturnikami: a psychologowi, który w ten sposób »ofiarę czyni« — nie jest to bynajmniej *sacrificio del intelletto,* wręcz przeciwnie! — wzamian co najmniej domagać się wolno, by psychologia została znów uznana za królowę nauk, na usługi której i do której przygotowaniem wszystkie inne są nauki. Gdyż psychologia znów jest odtąd drogą do problematów zasadniczych.

ROZDZIAŁ II.

WOLNY DUCH



24.

O sancta simplicitas! W jakiem-że dziwnem uproszczeniu i fałszerstwie żyje człowiek! Nie można dość się nadziwić temu, gdy na cud ten patrzeć nauczyło się wreszcie! Jakże jasnem i wolnem i łatwem i prostem uczyniliśmy dokoła nas wszystko! jak potrafiliśmy zmysłom naszym puścić wodze co do wszystkiego powierzchownego, myślenie nasze boską wyposażyć żądzą swawolnych skoków i pomyłek! — jak od samego początku umieliśmy zachować sobie swą nieświadomość, by wprost niepojętą swobodą, nierozwagą, nieprzezornością, wielkodusznością, weselem rozkoszować się życia, by rozkoszować się życiem! I dopiero na tych już utwierdzonych i granitowych nieświadomości węgłach wolno było dotychczasowej budować się wiedzy, wolno było woli wiedzy na podstawie o wiele potężniejszej dźwigać się woli, woli niewiedzy, niepewności, nieprawdziwości! Nie jako przeciwieństwo tejże, lecz — jako jej wysubtelnienie! Jużcić j ę z y k tu, jak gdzieindziej, poza swą nieudolność wyniść snadż nie może i dalej mówić będzie o przeciwieństwach, gdzie istnieją jeno stopnie oraz rozliczne stopniowania subtelności, jużcić

zakorzeniona tartuferya morału, co stała się obecnie nieodłączną naszą »krwią i ciałem«, nawet nam wiedzącym wypacza snadź w uściech słowa: tu i ówdzie my to pojmujem i śmiejemy się, że właśnie najlepsza jeszcze wiedza chce nas najsnadniej uwięzić w tym uproszczonym, sztucznym aż do rdzenia, pozmyślanym i pofałszowanym świecie, że i ona, chcąc-niechcąc, błąd także miłuje, gdyż i ona także, ta żyjąca, miłuje życie!

25.

Po tak wesołym wstępie niechaj poważne słowo nie przejdzie mimo uszu: zwrócone ono do najpoważniejszych. Miejcie się na baczności, filozofowie i przyjaciele poznania, i wystrzegajcie się męczeństwa! Cierpienia »za prawdę!« Nawet obrony własnej! Odbiera to waszemu sumieniu całą jego niewinność oraz subtelną neutralność, to was przeciw zarzutom i czerwonym chustom zapamiętałymi czyni, to ogłupia, zezwierzęca i zbydlęca, gdy w walce z niebezpieczeństwem, zelżywością, podejrzliwością, wyświecaniem oraz jeszcze dotkliwszemi wrogości następstwami, musicie ostatecznie występować aż jako obrońcy prawdy na ziemi: — jak gdyby »prawda« była do tyla bezbronną i nieporadną istotą, by potrzebowała obrońców! I to was właśnie, wy rycerze najsmutniejszej postaci, wy moi panowie, snujący po kątach pajęczynę ducha! Toć ostatecznie dobrze wam wiadomo, iż zgoła chodzić o to nie powinno, czy to wy właśnie słuszność mieć będziecie, jakoteż, iż żaden jeszcze filozof nie miał dotychczas słuszności,

i że cenniejsza rzetelność kryć się może w każdym drobnym pytajniku, który stawiacie po najwłaśniejszych słowach i ulubionych naukach (a przy sposobności po sobie samych), niźli we wszystkich uroczystych gestach i argumentach wobec oskarżycieli i sądów! Usuńcie się raczej na bok! Ukryjcie się! A miejcie maskę oraz subtelność, by was brano za kogoś innego! Lub obawiano się nieco! A nie zapominajcież mi ogrojca, ze złotą kratą ogrojca! I miejcie ludzie wokół siebie, co są gdyby ogród, — lub ni to muzyka nad wodami o wieczornej porze, gdy dzień staje się już wspomnieniem: — wybierzcie dobrą samotność, samotność lekką, swobodną, swawolną, co da wam także prawo pozostać nawet w jakowemś znaczeniu jeszcze dobrymi! Jakże jadowitym, jak chytrym, jak lichym czyni człowieka każda długa wojna, której otwarcie prowadzić nie może! Jak osobistym długa czyni trwoga, długie baczenie na nieprzyjaciół, na możliwych nieprzyjaciół! Ci odtrąceni przez społeczeństwo, ci wiecznie prześladowani, srodze szczuci, — oraz przymusowi pustelnicy w rodzaju Spinozów i Giordanów Brunów — stają się zawsze wkońcu, bodaj pod maską najwyższego uduchowienia i sami snadź o tem nie wiedząc, wyrafinowanie mściwymi trucicielami (rozgrzebmyż wreszcie podłoże etyki i teologii Spinozy!) — nie mówiąc już o idyotyzmie moralnego oburzenia, które u filozofa niezawodną jest oznaką, iż filozoficzny humor go odbieżał. W męczeństwie filozofa, w jego »poświęceniu się za prawdę« przejawia się, do jakiego stopnia był on agitatorem i komedyantem; w stosunku do niejednego filozofa, o ile był dotychczas przedmiotem jeno artystycznej ciekawości, można jużcić niebezpieczne

zrozumieć życzenie, by ujrzeć go także w stanie zwyrodnienia (przedzierzgniętego w »męczennika«, w krzykacza ze sceny i trybuny). Mając atoli życzenie takie, trzeba jasno zdawać sobie sprawę, co mianowicie się zobaczy: — jeno krotochwilę satyryczną, jeno farsę epilogową, jeno nieustający dowód, iż właściwa długa tragedya ku końcowi się ma: o ile wyjdziemy z założenia, iż każda filozofia była w swem powstaniu długą tragedyą.

26.

Każdy wyborowy człowiek szuka instynktownie swego przebytku i ustronia, co go wybawia od tłumu, od gawiedzi, od pospólstwa, gdzie, wyjątkiem z niej będąc, może zapomnieć o regule »człowiek«: — okrom tego jedynego wypadku, gdy jeszcze silniejszy instynkt prze go wprost ku tej regule, jako myśliciela w wielkiem i nadzwyczajnem znaczeniu. Kto przy zetknięciu z ludźmi nie mienił się niekiedy wszystkiemi barwami udręki, kto nie popielał i nie zieleniał ze wstrętu, odrazy, współczucia, zasępienia, osamotnienia, ten napewno nie jest człowiekiem szlachetniejszego smaku. Przypuśćmy atoli, iż nie bierze on całego tego brzemienia i przykrości dobrowolnie na siebie, że zawżdy ich unika i, jak powiedziano, w swym przebytku cicho się skrywa i dumnie, no, to rzecz pewna: do poznania nie jest on stworzony ni przeznaczony. Gdyż, jako taki pewnego dnia musiałby rzec sobie: »bierz dyabli mój dobry smak! toć reguła więcej jest zajmująca niż wyjątek, — niźli ja, wyjątek!« — i zstąpiłby w dół, przedewszystkiem

»w głąb«. Studyowanie zwyczajnego człowieka, długie, poważne, zaś w tym celu wiele maskarad, przezwyciężenia siebie samego, poufałości, złego towarzystwa — każde towarzystwo jest złe okrom towarzystwa sobie równych — stanowi nieodzowną cząstkę żywota każdego filozofa, cząstkę snadź najnieprzyjemniejszą, najniewonniejszą, w rozczarowania najobfitszą. Kiedy atoli sprzyja mu szczęście, jak to szczęśliwemu dziecięciu poznania się godzi, spotyka odpowiednich skrócicieli i ułatwicieli swego zadania, — mam na myśli tak zwanych cyników, czyli ludzi, którzy po prostu uznają w sobie zwierzę, pospolitość, »regułę«, stoją zaś przytem na takim stopniu wrażliwości i uduchowienia, iż czują potrzebę mówić wobec świadków o sobie i o równych sobie: — niekiedy tarzają się nawet w książkach niby na własnym swym gnoju. Cynizm jest to jedyna forma, w której pospolite dusze tem zatrącają, co jest prawością; zaś człowiek wyższy przy każdym grubszym i subtelniejszym cynizmie winien nadstawić uszu i za każdym razem być zadowolonym, gdy bezwstydny sowizdrzał lub uczony satyr głos w obecności jego zabiorą. Bywają nawet wypadki, iż ze wstrętem oczarowanie się łączy; wtedy mianowicie, gdy takiego niedyskretnego kozła i małpę kaprys przyrody wyposaży geniuszem, jak *abbe'go* Galiani, najgłębszego, najbystrzejszego i snadź najbrudniejszego także swego stulecia człowieka — był on o wiele głębszy od Woltera a co zatem idzie, o wiele więcej milczący. Częściej już się zdarza, iż myśląca głowa na małpiem bywa osadzona ciele, niezwyczajnej bystrości rozum na pospolitej duszy, — pośród lekarzy mianowicie, oraz fizyologów morału

wypadek to bynajmniej nie rzadki. I gdzie jeno ktoś, nie gorycząc się, pogodnie raczej mówi o człowieku, jako o brzuchu z dwojakiemi potrzebami i o głowie z jedną; wszędy, gdzie ktoś głód tylko, popęd płciowy i próżność zawsze widzi, szuka i chce widzieć, jak gdyby były jedynemi i wyłącznemi czynów ludzkich pobudkami; słowem, gdzie już nie źle, lecz »licho« mówi się o człowieku, — tam miłośnik poznania bacznie i pilnie nadsłuchiwać powinien, wogóle winien nadstawiać tam uszu, gdzie bez oburzenia się mówi. Gdyż człowiek oburzony, i kto tylko siebie samego, (lub wzamian, czy to świat, czy bóstwo, czy społeczeństwo) własnymi swymi zębami rozdziera i kaleczy, ten stoi snadź, moralnie rzecz ważąc, wyżej od uśmiechniętego i zadowolonego ze siebie satyra, w każdem atoli innem znaczeniu jest wypadkiem zwyklejszym, obojętniejszym, mniej pouczającym. I nikt nie kłamie tyle, co człowiek oburzony.

27.

Trudna to rzecz, być zrozumianym: zwłaszcza jeśli się myśli i żyje *gangasrotogati,* jedynie śród ludzi, którzy myślą i żyją inaczej, mianowicie *kurmagati,* lub w najlepszym razie »trybem żaby« *mandeikagati* — czyż nie czynię wszystkiego, by sam być »do zrozumienia trudnym«? — i wypada już być serdecznie wdzięcznym nawet za dobrą wolę, w niejakiej subtelności interpretacyi okazaną. Co się zaś tyczy »dobrych przyjaciół«, którzy są zawsze nazbyt wygodni i właśnie jako przyjaciele do wygody roszczą sobie prawo, to najlepiej przyznać im z góry do nie-

porozumień luz i arenę: — toć uśmiać się jeszcze można; — lub całkiem ich się pozbyć, tych dobrych przyjaciół, — i także śmiać się!

28.

Najtrudniejszem do przełożenia z jednego języka na drugi jest *tempo* stylu tegoż języka: ile że ma ono uzasadnienie w charakterze rasy, fizyologiczniej mówiąc, w zwyczajnem *tempie* jej »przemiany materyi«. Bywają w dobrej wierze tłómaczenia, które są niemal fałszerstwami, jako mimowolne spospolitowania oryginału, jedynie dlatego, iż nie udało się przełożyć jego dziarskiego i wesołego *tempa,* które ponosi i przesadza wszelkie niebezpieczeństwa w rzeczach i słowach. Niemiec do *presto* jest w swym języku niemal niezdolny; zatem, jak słusznie wnioskować się godzi, do wielu także najkrotochwilniejszych i najzuchwalszych *nuances* wolnej, niezależnej myśli. O ile z ciała i duszy jest mu obcy sowizdrzał i satyr, o tyle Arystofanesa i Petroniusza przełożyć on niezdolen. Wszelka stateczność, posuwistość, pompatyczność, wszystkie zawiłe i nudne rodzaje stylu w nieprzebranej u Niemców rozwinęły się rozmaitości, — niechaj mi wolno będzie zauważyć, że nawet proza Goethego, wdzięcząca się i sztywna zarazem, bynajmniej nie tworzy wyjątku jako odzwierciedlenie »dawnych dobrych czasów«, do których należy, i jako wyraz niemieckiego smaku z tej epoki, gdy istniał jeszcze »smak niemiecki«, rokokowym będący smakiem *in moribus et artibus.* Lessing jest wyjątkiem dzięki swej naturze aktorskiej, co wiele ro-

zumiała i wiele ogarniała: niedarmo przekładał Bayle'a i pierzchał chętnie w pobliże Diderota i Woltera, a jeszcze chętniej między komedyopisarzy rzymskich: — Lessing i w *tempie* lubił wolnomyślność, ucieczkę z Niemiec. Lecz mógłżeby niemiecki język, bodaj nawet w prozie takiego Lessinga, naśladować *tempo* Macchiavell'a, który w swym *Principe* każe nam oddechać suchem subtelnem powietrzem florenckiem i pohamować się nie może, by o najpoważniejszych sprawach nie rozprawiać w nieokiełznanem *allegrissimo:* nie bez złośliwego snadź poczucia artysty, na jaką sprzeczność się waży, — myśli, długie ciężkie, surowe, groźne, *tempo* zaś cwału i przewybornego przeswawolnego humoru. A dopiero któżby się odważył na niemiecki przekład Petroniusza, co w wyższym stopniu, niźli którykolwiek dotychczasowy wielki muzyk, w pomysłach, powiedzeniach, słowach mistrzem był *presta:* i cóż ostatecznie znaczą wszystkie kałuże chorego lichego świata, »starożytnego« bodaj »świata«, gdy się ma, jak on, stopy wichru, wiew jego i tchnienie, wyzwalające szyderstwo wichru, co wszystko uzdrawia, zniewalając wszystko do biegu! Co zaś dotyczy Arystofanesa, tego opromieniającego, koronującego ducha, dla którego przebacza się całemu światu helleńskiemu, iż istniał ongi, oczywiście, jeśli zrozumiało się do głębi, jak w nim wszystko potrzebowało przebaczenia i opromienienia: — to nie znam niczego, coby mnie pogrążyło w głębszą zadumę nad skrytością i sfinksowością natury Platona, niźli ów szczęśliwie zachowany *petit fait:* iż pod poduszką łoża, na którem umarł, nie znaleziono żadnej »biblii«, nic egipskiego, pitagorejskiego, platońskiego — lecz

Arystofanesa. Jakżeby nawet Plato podołał życiu — greckiemu życiu, któremu przeczył, — bez Arystofanesa!

29.

Być niezależnym, to rzecz najnieliczniejszych: — jest to przywilej silnych. Kto zaś porywa się na to, mając najsłuszniejsze bodaj prawo, lecz nie będąc zmuszonym do tego, ten dowodzi, iż jest prawdopodobnie nie tylko silny, lecz aż do szaleństwa zuchwały. Wchodzi w labirynt, stysiąckrotnia niebezpieczeństwa, w które życie już samo przez się obfituje; nie najpośledniejsze z nich to, iż nie dojrzy oko niczyje, jak i gdzie się zabłąka, wysamotni i przez jakiego jaskiniowego minotaura sumienia na ćwierci rozdarty zostanie. Kiedy zaś człowiek taki ginie, dzieje się to tak daleko od zrozumienia ludzkiego, iż nikt tego nie czuje, nikt z nim nie współczuje: — a on powrócić już nie może! do współczucia ludzkiego wrócić nie może już! — —

30.

Najszczytniejsze poglądy nasze muszą — i winny! — brzmieć jak szaleństwa, zależnie od okoliczności, jak występki, gdy w niedozwolony obiją się sposób o uszy ludzi, do nich niestworzonych i nieprzeznaczonych. Egzoteryczność i esoteryczność, jak to rozróżniano ongi śród filozofów, u Indów jak u Greków, Persów i Muzułmanów, słowem wszędzie, gdzie istniała wiara w hierarchię dostojeństwa, nie zaś w równość i równe

prawa, — pojęcia te nie tylko tem wyodrębniają się od siebie, iż egzoteryk stoi na zewnątrz i od zewnątrz nie zaś od wewnątrz, widzi, ocenia, mierzy i sądzi: istotniejszem jest to, że widzi rzeczy od dołu ku górze, — esoteryk natomiast z *góry* na *dół*! Istnieją wyżyny ducha, z których tragedya nawet przestaje wydawać się tragiczną; i gdyby się dało zespolić w jedno wszystek ból świata, to któż śmiałby orzec, czy *koniecznem* widoku tego następstwem byłoby współczucie, a tem samem zdwojenie bólu?... Co dla wyższej odmiany człowieka bywa pożywieniem lub pokrzepieniem, to dla całkiem odrębnej i pośledniejszej odmiany jest niemal trucizną. Cnoty pospolitego człowieka równałyby się snadź u filozofa występkowi i słabości; być może, iż człowiek wysoce rozwinięty, o ile uległby zwyrodnieniu i znikczemnieniu, dopiero tą drogą osiągnąłby właściwości, które w świecie bardziej poziomym, dokądby się stoczył, budziłyby dlań odtąd cześć gdyby dla jakiegoś świętego. Bywają książki, które dla duszy i zdrowia wręcz odmienną posiadają wartość, zależnie od tego, czy działają na duszę pospolitszą, na pośledniejszą energię życiową, czy też na szczytniejszą i możniejszą: w pierwszym razie są to książki niebezpieczne, podrywające, rozkładające, w drugim zaś okrzyki herolda, co najwaleczniejszych nawoływają do męstwa. Książki, które cały świat czyta, są to zawsze cuchnące książki: przywarł do nich wyziew maluczkich ludzi. Gdzie lud je i pije, nawet gdzie uwielbia, tam cuchnąć zwykło. Nie należy bywać w świątyniach, jeśli chce się *czystem* oddechać powietrzem.

31.

Za młodu czci się i gardzi, nie znając jeszcze owej sztuki *nuance*'owania, która stanowi najcenniejszy nabytek życia, i zasłużenie srogo pokutować trzeba, iż swem tak i nie napastowało się w ten sposób rzeczy i ludzi. Wszystko tak się składa, by najgorszy ze smaków, smak bezwzględności został okrutnie wydrwiony i nadużyty, aż człowiek się nauczy kłaść nieco sztuki w swe uczucia i przy pomocy sztuczności próbować raczej szczęścia: jak to czynią prawdziwi artyści życia. Właściwa młodości porywczość i pokora nie zazna snadź spokoju, dopóki nie pofałszuje tak rzeczy i ludzi, aż nad nimi napastwić się może: — młodość sama przez się jest czemś obłędnem i zwodniczem. Później, gdy młoda dusza rozczarowań udręczona nadmiarem, zwróci się wreszcie podejrzliwie przeciwko sobie samej, wciąż jeszcze gorąca i zapamiętała, nawet w swej podejrzliwości i rozterce sumienia: jakżeż miota się w gniewie, jak niecierpliwie szarpie siebie samą, jak mści się za swe długie zaślepienie, jak gdyby dobrowolną było ono ślepotą! W tym okresie przejściowym karze się siebie samego nieufnością względem swego uczucia; zachwyty swe udręcza się wątpieniem, nawet w spokoju sumienia wyczuwa się niebezpieczeństwo i ni to świadome przyciszenie i wyczerpanie subtelniejszej prawości; a przedewszystkiem staje się zasadniczo po stronie przeciwników »młodości«. — Minie lat dziesięć: i przychodzi się do przekonania, że i to wszystko było jeszcze — młodością!

32.

W najdłuższym dziejów ludzkich okresie — przedhistorycznym zwie go się okresem — o wartości dodatniej lub ujemnej jakiegoś czynu wnioskowano z jego skutków: czynu samego w sobie równie dobrze jak jego pochodzenia nie brano przytem pod rozwagę, lecz mniej więcej, jak po dziś dzień jeszcze odznaczenie lub hańba przechodzi w Chinach z dziecka na rodziców, tak samo wstecz działająca siła powodzenia lub niepowodzenia powodowała człowiekiem, iż myślał o jakimś czynie źle lub dobrze. Nazwijmy ten okres przedmoralnym ludzkości okresem: imperatyw »poznaj siebie samego!« podówczas był jeszcze nieznany. W ostatnich natomiast lat dziesięciu tysiącach na kilku wielkich połaciach ziemi doszło zwolna do tego, iż już nie skutki lecz pochodzenie czynu jęło rozstrzygać o jego wartości: wielkie w całości zdarzenie, znamienite wysubtelnienie miary i wzroku, nieświadome oddziaływanie panowania wartości arystokratycznych oraz wiary w »pochodzenie«, oznaka okresu, który w ściślejszem znaczeniu nazwać by można okresem moralnym: dokonano tem pierwszej próby poznania siebie samego. Zamiast następstw, pochodzenie: co za odwrócenie perspektywy! I niewątpliwie dopiero po długich walkach i wahaniach osiągnięte odwrócenie! Rozpanoszył się, co prawda, skutkiem tego właśnie fatalny nowy przesąd, osobliwsza interpretacyi ciasnota: pochodzenie czynu interpretowano z największą pewnością jako pochodzenie z zamiaru, uwierzono jednomyślnie, iż wartość czynu polega na wartości jego zamiaru. Zamiar jako całkowite pochodzenie oraz uprze-

dnie dzieje czynu: pod brzemieniem przesądu tego do najnowszych nieomal czasów moralnie chwalono, ganiono, wyrokowano, a i filozofowano także na ziemi. Nie zachodziż atoli dziś potrzeba, byśmy się porozumieli ponownie co do odwrócenia oraz zasadniczego wartości przesunięcia, dzięki ponownemu samoopamiętaniu i pogłębieniu się człowieka, — nie stoimyż u progu nowego okresu, który najpierw jako pozamoralny negatywnie określić by należało: dziś gdy, śród nas immoralistów przynajmniej, budzi się podejrzenie, iż rozstrzygająca wartość jakiegoś czynu na tem właśnie polega, co w nim niezamierzone, i że cała rozmyślność tegoż, wszystko, co w nim widzianem, wiedzianem, »świadomem«, być może, należy jeszcze do jego powierzchni i naskórka, — który, jak każdy naskórek, coś niecoś zdradza, lecz jeszcze więcej ukrywa? Słowem, mniemamy, iż zamiar jest tylko znakiem i objawem, potrzebującym dopiero wytłómaczenia, przytem znakiem, który za wiele, a więc sam przez się nic prawie nie oznacza, — że morał w dotychczasowem znaczeniu, czyli morał zamiarów był snadź przesądem, przedwczesnością, przedwstępnością, rzeczą mniej więcej tej samej wagi co astrologia i alchemia, w każdym atoli razie czemś, co przezwyciężyć potrzeba. Przezwyciężenie morału, w pewnem rozumieniu nawet samo-przezwyciężenie morału: niechaj to będzie nazwaniem dla owej długiej tajemnej pracy, zachowanej dla najsubtelniejszych i najrzetelniejszych, a i najzłośliwszych także sumień dzisiejszych jako dla żywych kamieni probierczych duszy.

33.

Niema rady: trzeba uczucia oddania się, poświęcenia się dla bliźnich, cały morał zaparcia się siebie samego pociągnąć bezlitośnie do odpowiedzialności i zapozwać przed sąd: tak samo estetykę »bezinteresownego poglądu«, którą usprawiedliwiać się zwykło dokonywające się obecnie zniewieścienie sztuki. Za wiele jest czaru i słodyczy w owych uczuciach »to dla innych«, »to nie dla mnie«, by nie zachodziła potrzeba, stać się w tym względzie podwójnie nieufnym i nie zapytać: »nie sąż to snadź — wabiki?« — Iż się podobają —temu, kto je posiada, oraz temu, kto ich owoce pożywa, a także obojętnemu widzowi, bynajmniej nie jest to jeszcze argumentem na ich poparcie, raczej nawoływa właśnie do przezorności. Bądźmyż tedy przezorni!

34.

Bez względu na stanowisko, jakie zajmie się dziś we filozofii: z każdej rozpatrywana strony omylność świata, w którym domniemanie żyjemy, jest rzeczą najpewniejszą i najniewzruszeńszą, na jaką stać jeszcze oko nasze: — znajdujemy dowody za dowodami na to, które nęcą nas do przypuszczeń o omylnej zasadzie w »istocie rzeczy«. Kto wszakże samo myślenie nasze, a więc »ducha« za fałszywość świata odpowiedzialnością obarcza — chwalebny wybieg, którym się posługuje każdy świadomy lub nieświadomy *advocatus dei* —; czyjem zdaniem świat ten wraz z przestrzenią, czasem, kształtem i ruchem

tłómaczono fałszywie: ten ma chyba niezłą sposobność sam stać się wreszcie względem wszelkiego myślenia nieufnym: nie płatałoż nam ono dytychczas najkapitalniejszych figlów? i jakaż jest rękojmia, iż nie będzie nadal postępowało tak samo, jak postępowało dotychczas zawsze? Mówiąc poważnie: niewinność myślicieli ma w sobie coś wzruszającego i czcią napawającego, dzięki czemu dziś jeszcze zanoszą oni do świadomości prośby, aby rzetelne dawała im odpowiedzi: naprzykład na pytanie, czy jest »realna«, lub dlaczego tak stanowczo nie chce mieć nic wspólnego z światem zewnętrznym, oraz na tym podobne. Wiara w »bezpośrednie pewniki« jest moralną naiwnością, zaszczyt nam filozofom przynoszącą: jednakże powinniśmy być już wreszcie nie »tylko moralnymi« ludźmi! Poza morałem, wiara owa jest niedorzecznością, która nam zgoła nie przynosi zaszczytu! Niechaj wiecznie czujna nieufność uchodzi sobie w życiu towarzyskiem za oznakę »złego charakteru« i niechaj tem samem do nieroztropności się zalicza: tu, między nami, poza rubieżą towarzyskiego świata oraz jego twierdzeń i przeczeń — cóż nam przeszkadza zaprzeć się roztropności i rzec: toć filozof ma właśnie prawo do złego »charakteru«, jako istota, którą dotychczas najsnadniej zawsze okpiwano na ziemi, — dziś jest on zobowiązany do nieufności, dziś winien zezować złośliwie z wszelkich podejrzeń otchłani. Żem w żart obrócił tę posępną maszkarę, wybaczyć mi proszę: gdyż ja to właśnie nauczyłem się oddawna inaczej myśleć, inaczej oceniać oszukiwanie, oraz co to znaczy być oszukiwanym, i conajmniej parę szturchańców mam w pogotowiu dla ślepej pasyi, w jaką filozofowie wpadają na myśl,

iż oszukanymi być mogą. Dlaczegożby nie? Jest to tylko moralny przesąd, iż prawda więcej jest warta niż złudzenie; jest to nawet najgorzej uzasadnione przypuszczenie, jakie istnieje na świecie. Wyznajmyż przed sobą tyle: iż zgoła nie istniałoby życie, gdyby nie było perspektywicznych ocen i pozorności; i gdybyśmy z cnotliwym zapałem i bezmyślnością niektórych filozofów zechcieli usunąć całkiem »świat pozorny«, no, dajmy na to, iż dokazalibyście tego, — to conajmniej i z waszej »prawdy« nie ocalałoby nic! Niedość-że przyjąć stopnie pozorności oraz ni to jaśniejsze i ciemniejsze cienie i zasadnicze tony pozoru, — rozmaite *valeurs,* mówiąc językiem malarzy? Czemużby świat, który nas obchodzi, nie mógł być fikcyą? Gdy zaś kto zagadnie: »ależ do fikcyi potrzeba sprawcy?« — nie możnaż odrzec mu po prostu: Dlaczego? Czyż to »potrzeba« nie wchodzi snadź w zakres fikcyi? Czyż niewolno względem podmiotu oraz względem orzeczenia i przedmiotu być nieco ironicznym? Czyż filozof nie powinien wznieść się ponad wiarę w gramatykę? Cześć guwernantkom: ale czyż nie czas, by filozofia wyrzekła się wiary guwernantek?

35.

Oh, Wolterze! Oh, humanitarności! Oh, idyotyzmie! Z »prawdą«, z szukaniem prawdy dzieje się coś dziwnego; i gdy człowiek poczyna sobie przytem nazbyt po ludzku — »*il ne cherche le vrai que pour faire le bien*«. — idę o zakład, że nic nie znajdzie!

36.

Przypuśćmy, iż nie mamy żadnych innych realnych »danych« okrom naszego świata żądz i namiętności, że do żadnej innej »rzeczywistości« znijść czy wznieść się nie możemy niźli do realności popędów naszych — gdyż myślenie jest tylko wzajemnym stosunkiem tych popędów —: niewolnoż zatem spróbować i pytania postawić, czy nie wystarczają owe »dane«, by na podstawie im podobnych dojść do zrozumienia także tak zwanego mechanistycznego (czyli »materyalnego«) świata? Nie chodzi mi tu o zrozumienie świata w znaczeniu złudy, »pozoru«, »wyobrażenia« (w znaczeniu berkeley'owskiem i schopenhauerowskiem), lecz jako czegoś, co nie ustępuje w realności samemuż afektowi naszemu, — jako pierwotniejszej świata afektów formy, w której, zwarte w potężną jedność, znajduje się jeszcze to wszystko, co w procesie organicznym następnie się rozgałęzia i wykształca (a także, rzecz prosta, wydelikaca i osłabia), jako jakiejś odmiany życia popędowego, w którem wszystkie funkcye organiczne wraz z samo regulacyą, asymilacyą, odżywianiem, wydzielaniem, przemianą materyi wzajem kojarzą się jeszcze syntetycznie, jako jakieś p r a f o r m y życia. Ostatecznie próba ta nietylko jest dozwolona: w imię sumienności metody jest ona nakazana. Nie przyjmować kilku rodzajów przyczynowości, dopóki usiłowań, by obyć się wyłącznie jednym, do ostatecznych nie doprowadzi się kresów (do niedorzeczności, jeśli tak rzec przystoi): oto morał metody, której dziś pominąć nie można; — wynika to »z jej definicyi«, jakby się wyraził matematyk. Ostatecznie chodzi o to, czy

uznajemy istotnie wolę jako coś działającego, czy wierzymy w przyczynowość woli: jeśli tak — a w istocie rzeczy wiara ta jest właśnie naszą wiarą w przyczynowość samą —, to musimy próbować, by przyczynowość woli przyjąć hypotetycznie jako przyczynowość jedyną. »Wola« może oczywiście oddziaływać tylko na »wolę« — nie zaś na »materyę« (nie na »nerwy« naprzykład —): słowem trzeba odważyć się na hypotezę, czy wszędzie, gdzie rozpoznajemy »działania«, nie oddziaływa wola na wolę — i czy wszelki przejaw mechaniczny, o ile działa w nim jakaś siła, nie jest właśnie siłą woli, skutkiem woli. Przypuśćmy wreszcie, iżby się powiodło ogół naszego życia popędowego wyjaśnić jako ukształtowanie i rozgałęzienie jednej zasadniczej formy woli — mianowicie woli mocy jak moje głosi twierdzenie — ; przypuśćmy dalej, iż wszystkie funkcye organiczne dałoby się sprowadzić do tejże woli mocy i że znalazłoby się w niej także rozwiązanie problematu płodzenia i odżywiania — jest to jeden problemat, — to uzyskałoby się przez to prawo do jednoznacznego określenia wszelkiej siły działającej, do nazwania jej: wolą mocy. Świat widziany od wewnątrz, świat określany i oznaczany ze względu na swój »charakter inteligibilny« — świat ten byłby właśnie »wolą mocy« i ponadto niczem. —

37.

»Jakto? Nie znaczyż to, mówiąc popularnie: Bóg obalony, dyabeł zaś nie — ?« Wręcz przeciwnie! Wręcz

przeciwnie, przyjaciele moi! I, do dyabła, któż was zmusza mówić popularnie!

38.

Jak to niedawno jeszcze, w pełnej nowszych czasów jasności, miało miejsce z rewolucyą francuską, z tą okropną i, z pobliża sądząc, zbyteczną krotochwilą, pod którą jednakże szlachetni i marzycielscy widzowie z całej Europy tak długo i tak namiętnie podkładali z daleka własne swe oburzenie i zachwyty, aż tekst zanikł pod interpretacyą: tak samo jakaś szlachetna potomność mogłaby jeszcze raz niezrozumieć całej ubiegłej przeszłości i snadź skutkiem tej pomyłki widok jej dopiero znośnym uczynić. A raczej: czy to już się nie stało? nie byliżeśmy sami — tą »szlachetną potomnością«? I czyż to teraz właśnie, o ile zdajemy sobie z tego sprawę, — nie przeminęło już?

39.

Nikt nauki jakiejś jedynie przeto, iż uszczęśliwia lub cnotliwym czyni, nie uzna tak łacno za prawdziwą: z wyjątkiem snadź lubych »idealistów«, zachwycających się dobrem, prawdą, pięknem i stawy swe zarybiających bez wyboru wszystkimi rodzajami pstrych, niemrawych i dobrodusznych zachcianek. Szczęście i cnota argumentami nie są zgoła. Zapomina się wszakże łacno, nawet po stronie umysłów rozważniejszych, iż psucie i unieszczęśliwianie również

przeciw-argumentami nie są. Coś prawdziwem być winno: chociażby było zarazem w najwyższym stopniu szkodliwe i niebezpieczne; ba, mogłoby to stanowić nawet zasadniczą właściwość bytu, iż doskonałe poznanie niosłoby zagładę temu, ktoby je posiadł, przeto o dzielności jakiegoś ducha wnioskowałoby się z tego, ile »prawdy« znieść on jeszcze może, mówiąc wyraźniej, do jakiego stopnia należałoby mu ją rozcieńczyć, osłodzić, przysłonić, przytłumić, pofałszować. To pewna, iż do odkrycia niektórych części prawdy źli i nieszczęśliwi w korzystniejszych znajdują się warunkach i większe posiadają prawdopodobieństwo powodzenia; nie mówiąc już o złych, którzy są szczęśliwi, — *species,* przemilczana przez moralistów. Być może, iż srogość i podstęp sprzyjają więcej powstaniu krzepkiego, niezależnego ducha i filozofa, niżli owa miękka, delikatna, potulna dobroć i sztuka lekkiego brania, którą się ceni u uczonego i ceni się słusznie. O ile się wyjdzie z założenia, o którem już wspomniano, iż pojęcia »filozof« nie zacieśnia się do filozofa piszącego książki — lub nawet swą filozofię zamykającego w książkach! Stendhal obrazu wolnomyślnego filozofa dopełnia jeszcze rysem, którego gwoli smakowi niemieckiemu podkreślić nie zaniedbam: — gdyż z niemieckim nie zgadza się on smakiem. »*Pour être bon philosophe*«, powiada ostatni ten wielki psycholog, »*il faut être sec, clair, sans illusion. Un banquier, qui a fait fortune, a une partie du caractère requis pour faire des découvertes en philosophie, c'est-à-dire pour voir clair dans ce qui est*«.

40.

Wszystko, co głębokie, lubi maskę; rzeczy zaś najgłębsze nienawidzą nawet obrazu i przypowieści. Nie byłożby p r z e c i w i e ń s t w o właściwem dopiero przebraniem, pod którem skrywałby się wstyd jakiegoś boga? Zagadkowe pytanie: byłoby dziwnem, gdyby który z mistyków nie potrącił już gdzieś zuchwale o nie. Bywają zdarzenia tak dalece subtelne, iż najlepiej zagrześć je dla niepoznaki pod grubiaństwem jakiem; bywają objawy miłości i rozkiełznanej wspaniałomyślności, po których nie pozostaje nic innego, jak wziąć kij i wygrzmocić widza: mąci się tem pamięć jego. Niejeden umie znęcać i pastwić się nad własną swą pamięcią, by bodaj na tym jednym wywrzeć swą zemstę świadku: — wstyd jest pomysłowy. Nie najgorsze to rzeczy, których wstydzimy się najbardziej: nie tylko złość tai się za maską, — ileż to dobroci bywa w podstępie! Mógłbym wyobrazić sobie człowieka, który, mając do ukrycia coś drogocennego i delikatnego, toczyłby się przez życie gruby i okrągły, gdyby stary pozieleniały ciężko kowany antał z winem; tak chciałaby subtelność jego wstydu. Człowieka o głębokim wstydzie spotykają także jego przeznaczenia oraz subtelne przejrzenia na drogach mało komu dostępnych, o których istnieniu jego najbliżsi i najzaufańsi nic wiedzieć niepowinni: groza jego życia tajna jest ich oczom i zarówno jego znów odzyskana równowaga życiowa. Taki człowiek skryty, który instynktownie posługuje się mową gwoli milczeniu i przemilczaniu i niewyczerpany jest w wybiegach przed zwierzeniami, c h c e i wymaga tego, by w głowach i w sercach przyjaciół zamiast niego

samego tułała się jego maska; a jeżeli nawet tego nie chce, to jednak otworzą mu się pewnego dnia oczy, iż mimo wszystko maska jego istnieje tamże, — i że tak jest dobrze. Każdemu głębokiemu duchowi potrzeba maski: co więcej, dokoła każdego głębokiego ducha tworzy się nieustannie maska, dzięki zawsze fałszywemu, mianowicie płytkiemu tłómaczeniu każdego słowa, każdego postępku, każdego jego znaku życia. —

41.

Należy doświadczać siebie samego, czy jest się przeznaczonym do niezależności i rozkazywania; i to we właściwej porze. Nie trzeba swym próbom schodzić z drogi, acz są one najniebezpieczniejszą snadź igraszką, w jaką wdać się można, i ostatecznie jeno próbami dokonywanemi wobec nas samych jako świadków, nie zaś przed żadnym innym sędzią. Nie przywiązywać się do żadnego człowieka: chociażby najmilszego, — każdy człowiek jest więzieniem i cieśnią. Nie przywiązywać się do ojczyzny: chociażby najnieszczęśliwszej i najbardziej pomocy potrzebującej, — nie tak już ciężko oderwać się sercem od ojczyzny zwycięskiej. Nie przywiązywać się do żadnego współczucia: chociażby ogarniało człowieka wyższego, w którego niezwyczajną beznadziejność i mękę przypadkiem zajrzeć nam dano. Nie przywiązywać się do żadnej wiedzy: chociażby kusiła najdrogocenniejszymi, pozornie dla nas właśnie nagromadzonymi skarbami. Nie przywiązywać się do wyzwolenia swojego, do owej rozkosznej dali i obczyzny ptaka, co coraz

dalej wzlata, by coraz więcej widzieć pod sobą: — niebezpieczeństwo latającego. Nie przywiązywać się do własnych cnót, całości swej nie składać w ofierze jakowejś swej cząstce, na przykład »gościnności« swojej: najgroźniejsze to niebezpieczeństwo dusz wyszczytnionych i bogatych, które szafarzą sobą rozrzutnie, obojętnie niemal, i szczodrości swej cnotę posuwają aż do występku. Trzeba umieć zachować siebie: oto najtrudniejsza niezależności próba.

42.

Wyłania się nowy rodzaj filozofów: poważam się niezbyt bezpiecznem ochrzcić ich mianem. O ile ich odgaduję, o ile odgadnąć się dają — gdyż jest to ich znamieniem, iż do pewnego stopnia chcą pozostać zagadkami, — rościliby snadź sobie ci filozofowie przyszłości prawo, a może także bezprawie do tego, by zwano ich kusicielami. Ostatecznie, nawet to miano jest jeno zakusem, a jeśli kto woli, pokuszeniem.

43.

Czyż są nowymi przyjaciółmi »prawdy«, ci nadchodzący filozofowie? Nader prawdopodobnie: gdyż wszyscy filozofowie lubili dotychczas swe prawdy. To jednakże pewna, iż nie będą oni dogmatykami. Byłoby to wbrew ich dumie, a także wbrew smakowi, gdyby ich prawda dla byle kogo miała być prawdą: acz było to dotychczas tajnem życzeniem i ubocznym

sensem wszystkich dążeń dogmatycznych. »Mój sąd jest moim sądem: kto inny niełacno ma do niego prawo — rzecze snadź taki filozof przyszłości. Trzeba się otrząsnąć ze złego smaku, by zgadzać się z wieloma. »Dobro« już nie jest dobre, gdy przejdzie w usta sąsiada. A dopieroż »dobro wspólne« jakżeby istnieć mogło! Słowo to przeczy sobie samemu: co wspólnem być może, to zawsze niewiele warto. Ostatecznie musi być tak, jak jest i jak było zawsze: rzeczy wielkie zachowano dla wielkich, bezdnie dla głębokich, pieściwości i drżenia dla subtelnych, zaś, ogółem i zwięźle, wszystko niezwyczajne dla niezwyczajnych«. —

44.

Mam-li po tem wszystkiem nadmieniać jeszcze osobno, iż wolnymi będą także, bardzo wolnymi duchami ci filozofowie przyszłości, — i nie tylko wolnymi duchami, lecz napewno także czemś więcej, czemś groźniejszem, większem i zasadniczo innem, co niepoznawanem i za co innego branem być nie chce? Lecz, mówiąc to, w równym niemal stopniu względem nich samych, jak względem nas, heroldów ich i zwiastunów, nas wolnych duchów! — poczuwam się do powinności rozwiać wokół nas wszystkich stary głupi przesąd i nieporozumienie, co gdyby mgła jaka, mąciły już z dawien dawna przeźrocz pojęcia »wolnego ducha«. We wszystkich krajach europejskich, a także w Ameryce, istnieje obecnie coś, co miana tego nadużywa, nader ciasny, niewolny, w łańcuchy zakuty rodzaj duchów, które chcą mniej więcej

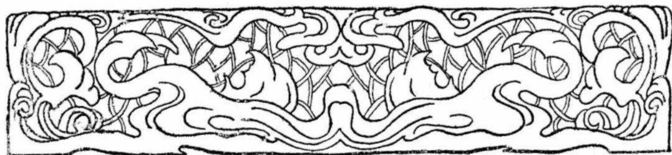
tego, co wręcz jest przeciwne zamiarom i instynktom naszym, — nie wspominając już o tem, iż względem owych nadchodzących filozofów dopieroż będą istnemi zamknionemi oknami i zapartemi wrotami! Słowem, do niwelatorów należą, niestety, te rzekome »wolne duchy« — są bowiem wymownymi i bazgrzącymi sprawnie piórem niewolnikami demokratycznego smaku tudzież swych »nowoczesnych idej«: pospołu ludzie próżni samotności, własnej próżni samotności, niemrawi poczciwcy, którym odwagi ni szanowności odmówić nie można, jeno iż są tacy niewolni i do śmieszności powierzchowni, przedewszystkiem dla swej zasadniczej skłonności, by w dotychczasowym ustroju dawnego społeczeństwa dopatrywać się poniekąd przyczyny wszystkiej niedoli i niepowodzeń ludzkich: przyczem oczywiście wywraca się prawdę na nice! Powszechna szczęśliwość trzody na zielonych pastwiskach, z zapewnieniem, bezpieczeństwem, wygodą, ulżeniem życia dla każdego: oto, co wszystkiemi siłami osiągnąć by radzi; obie ich do przesytu powtarzane pieśni i nauki brzmią: »równość praw« oraz »współczucie dla wszystkiego cierpiącego«, — zaś cierpienie samo uważają za coś, co precz usunąć należy. My od nich różni, przejrzawszy okiem i sumieniem zagadnienie, gdzie i jak roślina »człowiek« pieniła się dotychczas najbujniej, mniemamy, że każdorazowo miało to miejsce w wręcz odmiennych warunkach, że gwoli temu groza jego położenia wzmódz się dopiero musiała przeolbrzymio, jego wynalazczość i zmyślność (»duch« jego —) pod długotrwałym naciskiem i przymusem się rozzuchwalić i wysubtelnić, zaś jego wola życiowa aż do bezwzględnej wydźwignąć się woli mocy: — mniemamy,

iż srogość, przemoc, niewolnictwo, niebezpieczeństwo w sercu i na ulicy, skrytość, stoicyzm, kusicielstwo oraz dyabelstwo wszelkiego rodzaju, że wszystko złe, straszliwe, drapieżne i wężowe w duszy ludzkiej równie dobrze służy do wywyższenia *species* »człowiek«, jak tegoż przeciwieństwo: — mówiąc tylko tyle, nie wypowiadamy się nawet w zupełności, lecz w słowach naszych i milczeniu naszem po tej wszelako stajemy stronie, na przeciwległym biegunie wszelkich nowoczesnych idej i zachcianek stada ludzkiego: jako jego antypodzi zapewne? Cóż w tem dziwnego, że my »wolne duchy« niezbyt zwierzać się lubimy? że z niejednego objawić nie chcemy względu, z czego duch wyzwolić się nie może i dokąd potem snadź uniesion zostanie? Co zaś dotyczy niebezpiecznej formuły »poza dobrem i złem«, którą zapobiegamy przynajmniej, iż nie biorą nas za kogoś innego: to jesteśmy czemś innem, niźli *»libres-penseurs«, liberi pensatori«, »Freidenker«* i jak tam tym wszystkim przezacnym rzecznikom »nowoczesnych idej« nazywać się podoba. W wielu przebytkach ducha domownicy, goście conajmniej: wieczni zbiegowie z dusznych miłych zakątków, w których upodobania i uprzedzenia, młodość, pochodzenie, przypadkowe zetknięcie się z ludźmi i książkami, lub same-li trudy pielgrzymki więzić nas się zdawały; pełni niechęci do wabików zależności, skrywających się w zaszczytach, pieniądzach, stanowiskach lub upojeniach zmysłowych; wdzięczni nawet względem niedoli i obfitującej w rozmaitość choroby, gdyż odrywała zawsze nas od jakowejś reguły oraz »przesądu« tejże; wdzięczni względem boga, dyabła, owcy i robaka w duszach własnych; ciekawi aż do występku; badacze aż

do okrucieństwa; o niepowściągliwych palcach wobec niepochwytnego; o zębach i żołądkach, co najniestrawniejsze trawią; gotowi do każdego rzemiosła, bystrości i bystrych wymagającego zmysłów; gotowi do każdego porywu dzięki przebogactwu »wolnej woli«; o duszach zwierzchnich i wnętrznych, którym niełacno w ostateczne zajrzeć zamiary; o pobliżach i oddalach, których przebieżeć niewolno stopie niczyjej; utajeni pod płaszczami światłości; zdobywający, acz podobni z pozoru spadkobiercom i marnotrawcom; porządkujący i zbierający od świtu do nocy; skąpcy mimo bogactwa i przepełnienia swych skrytek; gospodarni w uczeniu się i zapominaniu, pomysłowi w schematach; niekiedy dumni z tablic kategoryj, niekiedy pedanci, niekiedy pracy puhacze nocne i za białego dnia także; zaś gdy tego potrzeba, nawet straszydła — a dzisiaj potrzeba tego: mianowicie, ile że jesteśmy urodzonymi, zaprzysiężonymi, zazdrosnymi przyjaciółmi samotności, właściwej nam najgłębszej, najpółnocniejszej, najpołudniowszej samotności: — takim to rodzajem ludzi jesteśmy, my wolne duchy! a snadź i wy także jesteście tem poniekąd, wy nadchodzący, wy nowi filozofowie? —

ROZDZIAŁ III.

RELIGIJNOŚĆ



45.

Dusza ludzka i jej granice, naogół osiągnięty dotychczas zakres ludzkich doświadczeń wnętrznych, wyżyny, głębie i dale tych doświadczeń, cała dotychczasowa historya duszy i jej niewypite jeszcze możliwości: oto dla urodzonego psychologa i »wielkich łowów« miłośnika przeznaczona knieja. Lecz jakżeż często musi powiadać on sobie z rozpaczą: »sam jeden! ach, sam jeden tylko! a tu ogromne lasy i prabory!« Więc chciałby mieć kilkaset pomocników i lotne szczwane psy gończe, które mógłby zagnać w historyę duszy ludzkiej, by mu tam jego tropiły zwierzynę. Nadaremnie: przekonywa się zawżdy gruntownie i gorzko, jak trudno do wszystkich tych rzeczy, które właśnie ciekawość jego nęcą, znaleść psy i pomocników. Przeszkoda, nie dozwalająca wysyłać uczonych w nowe i niebezpieczne knieje, gdzie potrzeba odwagi, roztropności i w każdem znaczeniu subtelności, polega na tem, iż tam właśnie przestają być użytecznymi, gdzie »wielkie łowy«, lecz razem wielkie poczynają się niebezpieczeństwa: — tam właśnie gubią swój gończy węch i swe ścigłe oko. By, naprzykład, odgadnąć i oznaczyć, jak w duszach *hominum religiosorum* kształtowały się dotychczas dzieje

problematu wiedzy i sumienia, trzeba snadź samemu być tak głębokim, tak rozdartym, tak okropnym, jakiem było intelektualne sumienie Pascal'a: — zaś ponadto potrzebaby jeszcze owego rozpostartego nieba jasnej, złośliwej duchowości, co ze swej wyżyny zdołałoby rozpatrzeć, uporządkować, zawrzeć w formuły to rojowisko niebezpiecznych i bolesnych przygód. — Lecz któż wyświadczyłby mi tę przysługę! Lecz któż miałby czas czekać takich służących! — widocznie pienią się zbyt rzadko, po wszystkie czasy są tak nieprawdopodobni! Ostatecznie, chcąc coś niecoś wiedzieć, trzeba samemu wszystkiego dokonać: to znaczy, że ma się wiele do czynienia! — Cóż, kiedy ciekawość mojego rodzaju jest zawsze ze wszystkich występków najmilszą, — przepraszam! chciałem rzec: miłość prawdy bywa nagradzana nie tylko w niebiesiech, lecz nawet już na ziemi.

46.

Wiara, jakiej chrześciaństwo w swych początkach wymagało i nierzadko osiągało, wśród sceptycznego i południowo-wolnomyślnego świata, który miał za sobą i w sobie wiekowe walki szkół filozoficznych z dodatkiem wpajanej przez *imperium Romanum* tolerancyi, — wiara ta nie jest ową dobroduszną i prostaczo poddańczą wiarą, z jaką garnęli się snadź do swego Boga i chrześciaństwa taki Luter lub taki Cromwell albo jakiś inny północny barbarzyńca ducha: raczej już ową wiarą Pascal'a, co przerażająco jest podobna przewlekłemu samobójstwu rozumu, — czerstwego, żywotnego, robaczego rozumu, którego

odrazu i jednym zamachem uśmiercić niepodobna. Wiara chrześciańska jest od początku wyrzeczeniem się: wyrzeczeniem się wszelkiej swobody, wszelkiej dumy, wszelkiego przeświadczenia o sobie ducha; zarazem poniżeniem i samo-wyszydzeniem, samo-okaleczeniem. Okrucieństwo i religijny fenicyzm jest w tej wierze, wymaganej od zwątlonego, złożonego, przewrażliwionego sumienia: wychodzi ona z założenia iż uległość ducha jest czemś nieopisanie b o l e s n e m, iż cała przeszłość i przyzwyczajenia takiego ducha opierają się temu *absurdissimum,* jakiem przedstawia się mu »wiara«. Ludzie nowocześni, przytępieni względem całej chrześciańskiej nomenklatury, nie odczuwają już okropności superlatywu, zawartego dla starożytnego smaku w paradoksalności formuły »Bóg na krzyżu«. Nigdy i nigdzie dotychczas nie objawiła się jeszcze równa w odwróceniu śmiałość, nie istniało nic tak strasznego, pytającego i zagadkowego jak ta formuła: zapowiadała ona przemianowanie wszystkich wartości antycznych. — To Wschód, g ł ę b o k i Wschód, to niewolnik wschodni mścił się w ten sposób na Rzymie oraz jego wytwornej i płochej tolerancyi, na rzymskim »katolicyzmie« niewiary: — zaś tem, co oburzało niewolnika w jego panu, przeciw jego panu, nie była nigdy wiara, lecz nieobecność wiary, owa napoły stoiczna i uśmiechnięta niedbałość o grozę wiary. »Oświecenie« oburza: niewolnik pragnie bowiem bezwzględnego, i w morale pojmuje jeno to, co tyrańskie, kocha jak nienawidzi bez *nuance'y,* aż do głębi, aż do bólu, aż do choroby, ogrom jego u k r y t e g o cierpienia oburza się przeciw dostojnemu smakowi, który zda się p r z e c z y ć cierpieniu. Sceptycyzm wobec cierpienia, w istocie rze-

czy jeno *attitude* arystokratycznego morału, niepośledni wziął taże udział w powstaniu ostatniego wielkiego rokoszu niewolników, co francuską zaczął się rewolucyą.

47.

Wszędzie, gdzie jeno religijna występowała dotychczas newroza, znajdujemy ją w połączeniu z trzema niebezpiecznymi przepisami dyetetycznemi: samotnością, postami oraz wstrzemięźliwością płciową, — jednakże napewno rozstrzygnąć niepodobna, co tu jest przyczyną, co zaś skutkiem, i czy wogóle mamy tu do czynienia ze stosunkiem przyczyny i skutku. Do ostatniej wątpliwości upoważnia ta okoliczność, iż właśnie do najregularniejszych jej objawów u dzikich jak u oswojonych ludów, należy także najgwałtowniejsza, najwyuzdańsza lubieżność, która z kolei przedzierzga się równie nagle w drgawki pokutne oraz zaprzeczenie świata i woli: jedno i drugie nie tłómaczyż się snadź zamaskowaną epilepsyą? Atoli w żadnym innym wypadku nie powinno się baczniej objaśnień unikać: dokoła żadnego innego typu nie krzewiła się dotychczas taka gęstwa bredni i zabobonu, żaden wśród ludzi, nawet wśród filozofów nie budził snadź dotychczas żywszego zajęcia, — czas już w tej właśnie sprawie ochłonąć nieco, nauczyć się przezorności, zaś lepiej jeszcze odejść i odwrócić oczy. — Jeszcze w głębi ostatniej z rzędu, schopenhauerowskiej filozofii tkwi, nieomal jak problemat sam w sobie, straszliwy ten pytajnik religijnego przesilenia i rozbudzenia. Jak jest możliwe zaprzeczenie

woli? jak jest możliwy święty? — zda się, iż istotnie było to pytaniem, od którego zaczął Schopenhauer i które uczyniło go filozofem. Zatem iście schopenhauerowską było to konsekwencyą, iż najzagorzalszy zwolennik jego (snadź także ostatni, o ile dotyczy to Niemiec —), mianowicie Ryszard Wagner, dzieło swego żywota tem właśnie uwieńczył i naostatek ów straszliwy i wiekuisty typ, *type vécu,* ze wszystkiemi jego znamionami i właściwościami jako Kundry na scenę nawet wprowadził; równocześnie psychiatrzy wszystkich niemal krajów europejskich mieli sposobność studyować go zblizka wszędzie, gdzie newroza religijna — czyli jak ja ją zowę »religijność« — jako »armia zbawienia« wybuchła i szerzyła się epidemicznie po raz ostatni. — Gdy spytamy atoli, co właściwie człowieka wszystkich rodzajów i czasów a także filozofa, zaciekawiało tak niepomiernie w calem zjawisku świętego: to nie ulega wątpliwości, iż budził zajęcie nieodłączny odeń pozór cudu, mianowicie bezpośredniego następstwa przeciwieństw, co do wartości moralnej wręcz sprzecznych stanów duszy: zdało się to ludziom namacalnym dowodem, iż »człowiek lichy« staje się naraz »świętym«, człowiekiem dobrym. Psychologia dotychczasowa osiadła na tej mieliźnie: nie stałoż się to głównie dlatego, iż poddała się panowaniu morału, iż wierzyła nawet w przeciwieństwa wartości moralnych i przeciwieństw tych w tekście oraz istotnym stanie rzeczy dopatrywała się, doczytywała, domniemywała? Jakto? »Cud« jeno błędem w interpretacyi? Jeno usterką filologiczną? —

48.

Zda się, że do ras łacińskich przywarł ich katolicyzm o wiele istotniej, niźli do nas ludzi północnych całe chrześciaństwo wogóle: że więc niewiara oznacza w katolickich krajach coś całkiem innego niż w protestanckich — mianowicie rodzaj rokoszu przeciw duchowi rasy, gdy u nas jest ona raczej powrotem do ducha (lub bezducha —) rasy. My ludzie północni pochodzimy niewątpliwie od ras barbarzyńskich także ze względu na nasze uzdolnienie do religii: nie celujemy w niej zdolnościami. Celtów należy wyłączyć, którzy tworzyli też dlatego najlepsze podłoże pod posiew chrześciaństwa na Północy: — we Francyi ideał chrześciański, o ile tylko zezwalało na to blade słońce północne, dosięgnął rozkwitu. Jak obcy są naszemu smakowi dla swej pobożności nawet ci ostatni sceptycy francuscy, o ile mają w sobie domieszkę krwi celtyckiej! Jak katolicką, jak nie niemiecką zda się nam socyologia Augusta Comte'a wraz z jej rzymską logiką instynktów! Jak jezuickim ów miły i rozumny *cicerone* z *Port-Royal,* Sainte-Beuve, mimo całej swej wrogości względem jezuitów! A dopieroż Ernest Renan: jak niedostępnie brzmi dla nas ludzi północnych mowa takiego Renana, u którego nic nieznaczące drgnienie religijnego napięcia wyprowadza co chwila jego w subtelniejszem znaczeniu lubieżną i rozlubowaną w wygodzie duszę z równowagi! Dość powtórzyć za nim piękne te zdania, — a jakaż złośliwość i zuchwalstwo zadrgnie natychmiast w odpowiedzi z naszej prawdopodobnie mniej pięknej i surowszej, mianowicie bardziej niemieckiej duszy! — *»disons donc hardiment*

que la religion est un produit de l'homme normal, que l'homme est le plus dans le vrai quand il est le plus religieux et le plus assuré d'une destinée infinie... C'est quand il est bon qu'il veut que la vertu corresponde à un ordre éternel, c'est quand il contemple les choses d'une manière désintéressée qu'il trouve la mort révoltante et absurde. Comment ne pas supposer que c'est dans ces moments-là, que l'homme voit le mieux?...« Zdania te są dla mych uszu i nawyknień tak bardzo a n t y p o d y c z n e, iż, gdy je znalazłem, pierwsza ma pasya napisała obok *»la niaiserie religieuse par excellence!«* — zaś ostatnia ma pasya polubiła je nawet, te zdania, oraz ich prawdę wywróconą na nice! To tak miło, tak pochlebnie, mieć własnych swych antypodów!

49.

To, co w religijności starożytnych zdumiewa Greków, polega na nieogarnionej pełni wdzięczności, jaka z niej się roztacza: — nader to dostojny rodzaj człowieka, który zapatruje się t a k na przyrodę i na życie! — Później, gdy w Grecyi czerń wzięła przewagę, religię zachwaszcza także t r w o g a; i jęło przygotowywać się chrześciaństwo. —

50.

Żarliwość względem Boga: istnieją jej prostacze, dobroduszne i natrętne rodzaje jak u Lutra, — całemu protestantyzmowi brak południowej *delicatezzy*.

Bywa oryentalne zapamiętanie się w niej, ni to u niezasłużenie ułaskawionego lub wywyższonego niewolnika, naprzyklad u Augustyna, któremu w obrażający zbywa sposób wszelkiego dostojeństwa gestów i pożądań. Bywa jej kobieca pieszczotliwość i pożądliwość, co wstydliwie i bezwiednie prze ku *unio mystica et physica;* jak u pani de Guyon. W wielu wypadkach przejawia się ona dość dziwacznie jako przebranie dojrzałości płciowej u dziewczyny lub młodzieńca; tu i ówdzie nawet jako hysterya starej panny oraz jako istnienia jej ambicya: — kościół w takich razach obwołał kobietę już niejednokrotnie świętą.

51.

Najpotężniejsi ludzie z czcią korzyli się dotychczas przed świętym, jako przed zagadką poskromienia siebie samego oraz rozmyślnego ostatecznego zaparcia się: dlaczegóż się korzyli? Przeczuwali w nim — i ni to poza pytajnikiem jego ułomnego i żałosnego wyglądu — przemożną siłę, która takiem poskramianiem doświadczyć siebie chciała, moc woli, w której rozpoznawali i czcić umieli własną swą moc i chęć władania: czcząc świętego, czcili oni coś w sobie. Nadto, widok świętego nasuwał im podejrzenie: takiego dziwu zaprzeczenia i wynaturzenia nie pożądanoby snadź bez powodu, tak powiadali i pytali siebie samych. Istnieje widocznie jakiś tego powód, jakieś nader wielkie niebezpieczeństwo, o którem asceta, dzięki swym tajemnym gościom i zwiastunom, snadź lepiej powiadamianym bywa? Słowem, możni świata

nauczyli się wobec niego nowej trwogi, przeczuwali jakąś nową potęgę, jakiegoś nieznanego, nieuskromionego jeszcze wroga: — to »wola mocy« zniewalała ich zatrzymywać się przed świętym. Musieli go zapytać — —

52.

W »Starym Testamencie« żydowskim, w księdze sprawiedliwości bożej bywają ludzie, rzeczy i mowy w tak wielkim stylu, iż piśmiennictwo greckie i indyjskie niczem dorównać mu nie może. Z czcią staje się i grozą przed tymi olbrzymimi szczętami tego, czem człowiek był ongi, i przychodzą do głowy posępne myśli o starej Azyi i o jej wysuniętym naprzód półostrówku Europie, która w stosunku do Azyi chciałaby koniecznie oznaczać »postęp człowieczy«. Co prawda: kto sam jest jeno nikłem oswojonem zwierzęciem domowem i zna jeno zwierzęcia domowego potrzeby (na podobieństwo naszej dzisiejszej inteligencyi, z dodaniem chrześcian »inteligentne« wyznających chrześciaństwo —), tego w tych ruinach nic nie zadziwi a tem mniej zasmuci — upodobanie do Starego Testamentu jest kamieniem probierczym »wielkości« i »małości« —: snadź Nowy Testament, księga łaski, zawszeć mu snadniej przypadnie do serca (jest w nim wiele rzetelnej czułostkowej dusznej braciszków klasztornych i małych duszyczek woni). Połączenie tego Nowego Testamentu, stanowiącego pod każdym względem rodzaj rokoka smaku, ze Starym Testamentem w jedną całość, w biblię«, w księgę samą w sobie«: jest snadź najwięk-

szem zuchwalstwem i »grzechem przeciw duchowi«, jaki Europa literacka ma na sumieniu.

53.

Po co dziś ateizm? — »Ojciec« w Bogu gruntownie obalony; tak samo »nagradzający sędzia«. Również jego »wolna wola«: on nie słyszy, — a gdyby słyszał, to jednak nie zdołałby pomódz. Co zaś najgorsze, zda się niezdolnym wysławiać się wyraźnie: jest-li niejasny? — Oto, co, pytając i nadsłuchując, wykryłem z wszelakich rozmów jako przyczynę zaniku teizmu europejskiego; zda mi się, że instynkt religijny pleni się wprawdzie potężnie, lecz że z głęboką nieufnością odtrąca właśnie teistyczne zaspokojenie.

54.

Cóż tedy w istocie rzeczy cała nowsza czyni filozofia? Od Descartes'a — i to raczej na przekór jemu, niż za jego przykładem — ze strony wszystkich filozofów, pod pozorem krytyki pojęcia podmiotu i orzeczenia, dokonywa się zamachu na dawne pojęcie duszy — to znaczy, zamachu na podstawowe założenia nauki chrześciańskiej. Nowsza filozofia, jako sceptycyzm teoryi poznania, jest skrycie lub jawnie antychrześciańską: acz, by rzec dla subtelniejszych uszu, bynajmniej nie antyreligijną. Ongi wierzono mianowicie w »duszę«, jak wierzono w gramatykę i podmiot gramatyczny: powiadano, »ja« jest warunkiem, »myślę« orzeczeniem i uwarunkowa-

nem — myślenie jest czynnością, do której domyślać się należy podmiotu jako przyczyny. Teraz, z podziwu godną wytrwałością i przebiegłością, podjęto usiłowania, czy nie udałoby się wydobyć z tej matni, — czy odwrócenie nie jest snadź prawdziwem: »myślę« warunkiem, »ja« uwarunkowanem; »ja« jest zatem w następstwie syntezą, tworzącą się przez myślenie samo. Kant chciał w istocie rzeczy udowodnić, iż ze stanowiska podmiotu podmiot udowodnionym być nie może, — przedmiot także nie: możliwość pozornego istnienia jednostkowego podmiotu, zatem »duszy«, myśl ta, co jako filozofia Wedanty przejawiła się już raz i to z olbrzymią potęgą na ziemi, snadź nie zawsze była mu obca.

55.

Istnieje wielka drabina okrucieństwa religijnego o wielu szczeblach; trzy z nich atoli są najważniejsze. Ongi ofiarowywano swemu bogu ludzi, takich snadź właśnie, którzy byli najumiłowańsi, — zaliczają się tu żertwy z pierwocin we wszystkich religiach pierwotnych, tu należy także ofiara cesarza Tyberyusza w grocie Mitry na wyspie Capri, ów najokropniejszy ze wszystkich anachronizmów rzymskich. Następnie w moralnej ludzkości epoce, ofiarowywano swemu Bogu najsilniejsze, jakie posiadano, instynkty, swą »naturę«; godowa ta radość lśni w okrutnem spojrzeniu ascety, natchnionego »wynaturzeńca«. Wkońcu: cóż do ofiarowania pozostało jeszcze? Nie musianoż naostatek ofiarować wszystkiego pocieszającego, świętego, kojącego, wszelkiej nadziei, wszelkiej wiary w utajoną

harmonię, w szczęśliwości i sprawiedliwości przyszłe? nie musianoż bóstwa ofiarować samego i, z okrucieństwa względem siebie, ukorzyć się przed głazem, głupotą, ciężkością, losem, nicością? Za nic ofiarować Boga — paradoksalne to misteryum ostatecznego okrucieństwa zachowano dla wyłaniającego się obecnie pokolenia: my wszyscy poznaliśmy je już nieco. —

56.

Kto, jak ja, z zagadkowem jakiemś pożądaniem silił się długo, by pessymizm przemyśleć do głębi i wyłuskać go z napoły chrześciańskiej napoły niemieckiej naiwności i cieśni, mianowicie z osłonek filozofii schopenhauerowskiej, w których objawił się ostatnio bieżącemu stuleciu; kto jakiemś azyatyckiem i nadazyatyckiem okiem zajrzał już istotnie w głąb i wnętrze najbardziej przeczącego światu ze wszystkich możliwych sposobów myślenia — poza dobrem i złem, nie zaś, jak Budda i Schopenhauer, urzeczony i opętany przez morał —; temu, właściwie pomimo jego woli, na wręcz przeciwny ideał otwarły się snadź tem samem oczy, na ideał najhardziejszego, najżywotniejszego, najbardziej przyświadczającego światu człowieka, który z tem, co było i jest, nie tylko że poradził sobie i znosić je się nauczył, lecz który chciałby także, by tak, jak było i jest, powtarzało się znów przez całą wieczność, który nienasycenie domaga się *da capo* nie tylko co do siebie, lecz także co do całej sztuki i widowiska, nie tylko co do widowiska, lecz w istocie rzeczy co do tego, który widowiska owego potrzebuje — i potrzebnem

je czyni: gdyż on ustawicznie siebie potrzebuje — i potrzebnym się czyni — — Cóż? I nie byłby to — *circulus vitiosus deus?*

57.

Wraz z mocą jego duchowego spojrzenia i wejrzenia rozrasta się oddal i ni to przestrzeń dokoła człowieka: świat jego staje się głębszym, coraz to inne gwiazdy, coraz to inne zagadki i obrazy jawią się mu na widnokręgu. Może to wszystko, na czem oko ducha swą bystrość i swą przenikliwość ćwiczyło, było jeno pobudką do ćwiczenia jego, jeno przedmiotem igraszki, czemś dla dzieci i dziecinnych mózgów; może najuroczystsze pojęcia, o które najwięcej ścierano się i cierpiano, pojęcia »bóstwa« i »grzechu«, nie wydadzą się nam kiedyś ważniej - szemi, niźli starcowi cacka dziecinne i bóle dziecinne, — i może »starzec« ów znowu będzie potrzebował potem jakiejś innej zabawki i innego bólu, — wciąż jeszcze dziecko do tyla, wieczne dziecko!

58.

Czyż zdarzyło się zauważyć komu, jak dalece do życia istotnie religijnego (a także do jego mikroskopijnego ulubionego zajęcia, polegającego na badaniu siebie samego, jako do owego słodkiego ukojenia, które zwie się »modlitwą« i jest nieustanną gotowością na »przyjście Boga«) potrzeba zewnętrznej bezczynności lub nawpół bezczynności; mam na myśli bezczynność ze spokój nem sumieniem, z dzia-

dów i pradziadów, z pochodzenia, nie pozbawioną całkiem arystokratycznego przeświadczenia, iż praca hańbi, — mianowicie pospolituje duszę i ciało? Że więc nowoczesna, hałaśliwa, drożąca się z czasem, ze siebie dumna, głupio-dumna pracowitość snadniej niż wszystko inne »niewiarę« krzewi, do niej przygotowywa? Wśród tych, którzy naprzykład w dzisiejszych Niemczech żyją zdała od religii, spotykam ludzi o »wolnomyślności najróżnorodniejszego pokroju i pochodzenia, przedewszystkiem atoli większość takich, u których pracowitość z pokolenia na pokolenie religijne rozprzęgła instynkty: iż nie wiedzą już zgoła, poco są religie i z rodzajem tępego zdumienia ni to regestrują istnienie ich na świecie. Zdaniem tych poczciwców, jest się już pochłoniętym aż nadto bądź to przez swe zajęcia, bądź też przez rozrywki, nie mówiąc już o »ojczyźnie«, o dziennikach, o »obowiązkach rodzinnych«; zda się, iż na religię zgoła nie mają czasu, zwłaszcza iż nie zdają sobie sprawy, czy chodzi przytem o nowy interes czy też o nową rozrywkę, — gdyż niepodobna, powiadają sobie, by się chodziło do kościoła wyłącznie dla popsucia sobie dobrego humoru. Nie są oni wrogami obrzędów religijnych; kiedy w pewnych wypadkach, naprzykład ze strony państwa, wymaga się w takich obrzędach uczestnictwa, to czynią czego się wymaga, jak tyle rzeczy się czyni —, z cierpliwą i skromną powagą, bez nadmiernej ciekawości i przykrości: — toć żyją nazbyt zdala i poza tem wszystkiem, by przypuszczać, iż bodaj *za* i *przeciw* w takich rzeczach jest im potrzebne. Do tych obojętnych należy dziś przeważająca ilość protestantów niemieckich z warstw średnich, szczególniej

w wielkich pracowitych ogniskach przemysłowych i handlowych; również większość pracowitych uczonych i cały personel uniwersytecki (z wyjątkiem teologów, których istnienie i możliwość nasuwa tem samem psychologowi coraz liczniejsze i coraz subtelniejsze zagadki do rozwiązania). Ludzie pobożni, lub bodaj jeno kościelni rzadko zdają sobie sprawę, ile dobrej woli, możnaby rzec, umyślnej woli potrzeba dzisiaj, by uczony niemiecki podjął poważnie problemat religii; całe jego rzemiosło (i, jak powiedziano, rzemieślnicza pracowitość, do której jego nowoczesne zobowiązuje sumienie) skłania go do wyniosłej, dobrotliwej niemal wesołości względem religii, zaś do tej wesołości dołącza się czasem lekkie lekceważenie, zwrócone przeciw »nieschludności« ducha, którą wszędzie tam przypuszcza, gdzie ktoś opowiada się jeszcze za kościołem. Uczony dopiero przy pomocy historyi (a więc nie ze swego osobistego doświadczenia) zdobywa się względem religij na korną powagę oraz jakowąś trwożną oględność; atoli chociażby uczucie jego spotęgowało się względem nich aż do wdzięczności, to jednak nie zbliża się on osobiście ani na krok do tego, co istnieje jeszcze jako kościół lub pobożność: raczej naodwrót. Praktyczna w rzeczach religii obojętność, w której się zrodził i wychował, przetwarza się u niego zazwyczaj w ostrożność i schludność, wzdragającą się przed zetknięciem z religijnymi ludźmi i rzeczami; być może, że to głębia jego tolerancyi i człowieczeństwa każe mu unikać subtelnej przykrości, od tolerowania nieodłącznej. Każda epoka ma właściwy sobie, boski rodzaj naiwności, której wynalazku inne epoki pozazdrościć jej mogą: — a ileż to naiwności, czcigodnej dziecięcej

i bezgranicznie niemądrej naiwności tkwi tem przeświadczeniu uczonego o wyższości własnej, w spokojności sumienia jego tolerancyi, w bezprzeczuciowej skromnej pewności, z jaką instynkt jego obchodzi się z człowiekiem religijnym jako typem pośledniejszym i niższym, który on przerósł, prześcignął, przewyższył, — on, maluczki pretensyonalny karlik i pospolitak, pilny rączy wyrobnik, pracujący rękoma i głową w służbie »idej«, »nowoczesnych idej«!

59.

Kto głęboko w świat patrzył, ten snadź odgadnie, jaka w tem mądrość się kryje, iż ludzie są powierzchowni. To instynkt samozachowawczy uczy ich pobieżności, lekkości, fałszywości. Śród filozofów tudzież śród artystów zdarza się tu i ówdzie nadmierne i namiętne »czystych form« uwielbienie: niechaj nikt nie wątpi, iż komu potrzeba tak bardzo kultu powierzchni, ten sięgnął już kiedyś boleśnie pod nią. Co do tych poparzonych dzieci, urodzonych artystów, u których używanie życia li na tem jeszcze polega, by obraz jego fałszować (ni to z zawziętej na życiu zemsty —), istnieje snadź nawet hierarchia dostojeństwa: ze stopnia, w jakim obmierzło im życie, możnaby wnioskować, o ile sfałszowanym, rozcieńczonym, uzaświatowionym, przebóstwionym pragnęliby widzieć obraz jego, — zaś *homines religiosi* możnaby zaliczyć do artystów, jako ich stopień najwyższy. To głęboka podejrzliwa trwoga przed nieuleczalnym pessymizmem zmuszała całe tysiąclecia wpijać się zębami w religijną interpretacyę bytu:

trwoga owego instynktu, który przeczuwa, iż możnaby prawdę posiąść przedwcześnie, zanim człowiek stanie się dość krzepkim, dość twardym, dość artystą... Pobożność, »życie po bożemu« w ten rozpatrywane sposób przedstawia się jako najsubtelniejszy i ostatni płód trwogi przed prawdą, jako zachwyt i upojenie artystyczne z obawy przed najkonsekwentniejszym ze wszystkich fałszerstw, jako wola odwrócenia prawdy, nieprawdy za każdą cenę. Nie było snadź dotychczas silniejszego środka, by upiększyć człowieka, niźli właśnie pobożność: dzięki jej staje się człowiek tak bardzo sztuką, powierzchnią, grą barw, dobrocią, iż widok jego przestaje już boleć. —

60.

Kochać ludzi gwoli Bogu — było to dotychczas najdostojniejszem i najodleglejszem uczuciem, jakie śród ludzi osiągnięto. Iż miłość człowieka bez jakowegoś uświęcającego zamiaru dalszego głupstwem jest już i zwierzęcością, iż popęd do tego miłowania ludzi dopiero od jakiegoś górniejszego popędu miarę swą, swą subtelność, swe ziarnko soli i pyłek ambry otrzymywać winien: — bez względu na to, co zacz mógł być ów człowiek, który tego najpierw doznał i »doświadczył«, i jak bardzo plątał się snadź także język jego siląc się, by wysłowić pieściwość taką — świętym i czcigodnym niechaj nam będzie po wszystkie czasy jako człowiek, który dotychczas najgórniej wzlatał i najpiękniej się zabłąkał!

61.

Filozof, jak my go rozumiemy, my wolne duchy —, jako człowiek najrozleglejszej odpowiedzialności, któremu leży na sumieniu całość rozwoju człowieczego: filozof ten posłuży się religiami gwoli swemu dziełu hodowczemu i wychowawczemu, podobnie jak się posłuży każdorazowymi warunkami politycznymi i ekonomicznymi. Dobierający, hołdujący, co oczywiście znaczy, w równej mierze niszczący jak twórczy i kształtujący wpływ, który przy pomocy religij wywierać się daje, jest zależnie od rodzaju ludzi, w ich zaklęcie i opiekę oddawanych, wieloraki i rozmaity. Dla silnych, niepodległych, do rozkazywania przygotowanych i przeznaczonych, w których ucieleśnia się zmysł i umiejętność rasy władczej, jest religia jednym środkiem więcej, by pokonywać przeszkody, by módz panować: jako węzeł, co zespala władcę z poddanym i sumienie tego ostatniego, jego skrytości i tajniki posłuchu uniknąć rade przed pierwszym wydaje i odpowiedzialnemi czyni; kiedy zaś niektóre jednostki tego dostojnego pochodzenia dla swej górnej duchowości skłaniają się do zaciszniejszego i oddanego rozmyślaniom żywota, zachowując dla siebie jeno najsubtelniejszą odmianę władzy (nad wybranymi uczniami lub bracią zakonną), to religia może posłużyć nawet jako środek, dzięki któremu uzyskuje się spokój, próżen zgiełku i trudów *pospolitszego* rządzenia, i ochrania się swą czystość przed *koniecznym* brudem wszelkiego politykowania. Tak pojmowali to naprzykład bramini: przy pomocy organizacyi religijnej posiedli władzę mianowania ludowi kró-

lów, sami zaś stali zdala i na uboczu, poczuwając się do szczytniejszych i ponadkrólewskich zadań. Okrom tego, także pewnej części podwładnych daje religia pochop i sposobność przygotować się do przyszłego władania i rozkazywania, owym mianowicie wyłaniającym się zwolna silniejszym słojom i stanom, u których, dzięki pomyślnym zwyczajom małżeńskim, moc i rozkosz woli, wola panowania nad sobą wciąż się wzmaga: religia nastręcza im dość bodźców i pokuszeń, by weszły na drogi, zmierzające ku wyższej duchowości, by doświadczyły uczuć wielkich samo-przezwycięźeń, milczenia i samotności: — ascetyzm i purytanizm są niezbędnymi niemal środkami wychowawczymi i wyszlachetniającymi, gdy jakaś rasa, zrywając ze swem pochodzeniem, pragnie z czerni stać się władczynią i wywalczyć sobie czasem panowanie. Zwyczajnym wreszcie ludziom, najliczniejszym, którzy istnieją jeno gwoli służbie i pożytkowi ogólnemu i jeno poto istnieć powinni, daje religia nieocenione zadowolenie ze swego losu i sposobu życia, niejednokrotnie spokój serca, wyszlachetnienie posłuszeństwa, z im równymi jedną więcej wspólną dolę i niedolę, oraz gdyby uświęcenie i upiększenie, gdyby usprawiedliwienie całej powszedności, całej poziomości, całego nawpół zwierzęcego dusz ich ubóstwa. Religia i religijne pojmowanie życia rzuca blaski słoneczne na takich wiecznie udręczonych ludzi i nawet własny widok znośniejszym im czyni, oddziaływa na nich jak na cierpiących wyższego rzędu epikurejska zwykła wpływać filozofia, kojąc, wysubtelniając, cierpienie niejako zużytkowując, wkońcu nawet uświęcając i usprawiedliwiając. W chrześcijaństwie i buddyzmie niemasz

snadź nic czcigodniejszego od mistrzostwa, z jakiem w najbardziej upośledzonych wpajają zasadę, by swą pobożnością podnosili się na wyższe szczeble w urojonym ładzie rzeczy i w ten sposób wytrwali w zadowoleniu z ładu rzeczywistego, w którego zakresie los uciska ich srodze, — zaś tej srogości potrzeba właśnie!

62.

Nakoniec wszakże, by religiom takim wytknąć również ich strony ujemne i wyjawić grozę ich niebezpieczeństwa: — przepłaca się to zawsze drogo i straszliwie, gdy religie nie są środkami hodowczymi i wychowawczymi w ręku filozofa, lecz panują niezależnie i samowładnie, — kiedy same ostatecznymi chcą być celami, nie zaś środkiem obok innych środków. Śród ludzi, jak śród każdej innej odmiany zwierząt, istnieje nadwyżka chybionych, chorych, zwyrodniałych, ułomnych, z konieczności cierpiących; udałe osobniki należą i śród ludzi zawsze do wyjątków, zaś jeśli zważymy, iż człowiek jeszcze nie jest ustalonem zwierzęciem, do nielicznych wyjątków. A co gorsza: im wyższego rzędu jest typ jakiegoś człowieka, przez tegoż reprezentowany, tem bardziej wzmaga się jeszcze nieprawdopodobieństwo, iż człowiek ten się uda: przypadkowość, prawo niedorzeczności w zbiorowem gospodarstwie ludzkości objawia się najstraszliwiej niszczącem swem oddziaływaniem na ludzi wyższych, których warunki życiowe są subtelne, zawiłe i do obliczenia trudne. Jakżeż zachowują się tedy obie wymienione największe religie wobec tej nadwyżki oso-

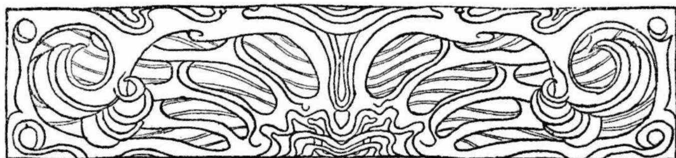
bników chybionych? Starają się podtrzymać, przy życiu utrzymać, co jeno utrzymać się daje, ba, nawet stają zasadniczo po ich stronie jako religie cierpiących, przyznają wszystkim tym słuszność, którym dolega życie gdyby jaka choroba, i chciałyby przeprzeć, by każde inne odczuwanie życia zdawało się fałszem i było niemożliwością. Chociażbyśmy tę ochronną i podtrzymującą pieczołowitość, o ile ogarniała i ogarnia ona krom wszystkich innych także najwyższy dotychczas zawsze niemal najbardziej cierpiący typ człowieczy, ocenili jak najwyżej: to jednak w rachunku ogólnym religie dotychczasowe, mianowicie religie samowładne, należą do głównych przyczyn, powstrzymujących ludzkość na niższym szczeblu rozwojowym, — zachowały za wiele tego, co winno było uledz zagładzie. Zawdzięcza się im niezmiernie wiele; i któż jest tak szczodrze uposażon wdzięcznością, by nie zubożał wobec tego wszystkiego, co naprzykład »duchowni« chrześciańscy uczynili dotychczas dla Europy! A jednak, acz darzyli cierpiących pociechą, uciśnionych i zrozpaczonych otuchą, niesamodzielnych pomocą i podporą, acz wnętrznie rozdartych i zdziczałych wywabiali ze społeczeństwa w zacisza klasztorne i więzienne dla duszy cele: cóż okrom tego musieli czynić, by ze spokojnem sumieniem pracować tak zasadniczo nad utrzymaniem wszystkiego chorego i cierpiącego, to znaczy, po prawdzie i w istocie rzeczy, nad upośledzeniem europejskiej rasy? Wszystkie wartości wywrócić na nice — oto, co musieli! Więc skruszyć silnych, wielkie nadwątlić nadzieje, szczęście znajdowane w piękności podejrzanem uczynić, wszystko świetności pełne, męskie,

zdobywcze, spragnione władzy, wszystkie instynkty, właściwe najszczytniejszemu i najdoskonalszemu typowi »człowieka«, przedzierzgnąć w niepewność, w wyrzuty sumienia, samo unicestwienie, ba nawet wszystką miłość doczesności i panowania nad światem przetworzyć w nienawiść świata i ziemskości — to postawił sobie i postawić sobie musiał kościół za zadanie, aż wedle jego osądu »odświatowienie«, »odzmysłowienie« i »człowiek wyższy« w jedno stopili się uczucie. Jeżeli przypuścimy, iż dałoby się szyderczem bezstronnem okiem jakiegoś epikurejskiego boga ogarnąć cudacznie bolesną i w równej mierze prostaczą jak subtelną komedyę europejskiego chrześcijaństwa, to jestem przekonany, że możnaby się dziwić i śmiać bez końca: nie zdajeż się bowiem, iż jedyną wolą, która przez osiemnaście wieków władała Europą, było szczytny dziwoląg uczynić z człowieka? Kto wszakże z odmiennemi skłonnościami, nie już po epikurejsku, lecz z jakowymś boskim w ręku młotem zabrałby się do tego rozmyślnego niemal zwyrodnienia i zmarnienia człowieka, jakiemu uległ europejczyk chrześciański (Pascal naprzykład), nie byłżeżby zmuszony zawołać z gniewem, z współczuciem, z przerażeniem: »Oh, wy głupcy, wy pretensyonalni litościwi głupcy, cóżeście uczynili! Byłaż to praca dla rąk waszych! Jakżeście mi najpiękniejszy głaz pokiereszowali i zeszpecili! Jakżeście wy śmieli!« — Chciałem powiedzieć: chrześciaństwo było dotychczas najfatalniejszym rodzajem przecenienia sił własnych. Ludzie niedość wysocy i niedość twardzi, by mogli kształtować człowieka jako artyści; ludzie niedość silni i niedość dalekowidze, by z górnem samoprzezwyciężeniem puścić wodze pierwszoplano-

wemu prawidłu tysiąckrotnego niepowodzenia i zagłady; ludzie niedość dostojni, by dojrzeć bezdennie rozmaitą hierarchię dostojeństwa i rozdział dostojeństwa między człowiekiem a człowiekiem: *tacy* to ludzie, ze swem »równość przed Bogiem«, rozstrzygali dotychczas o losach Europy, aż dochowali się wkońcu umniejszonego śmiesznego niemal gatunku zwierzęcia stadnego, czegoś dobrodusznego, chorobliwego, miernego, dzisiejszego *europejczyka*...

ROZDZIAŁ IV.

ZDANIA I POTRĄCENIA



63.

Kto jest nauczycielem do głębi duszy, ten wszystkie rzeczy bierze poważnie jeno ze względu na swych uczniów, — nawet siebie samego.

64.

»Poznanie dla niego samego« — ostatnie to sidło, które zastawia morał: można zamotać się niem raz jeszcze w morał całkowicie.

65.

Czar poznania byłby niewielki, gdyby na drodze do niego nie trzeba było tyle pokonywać wstydu.

65 *a*.

Najnieuczciwszym jest się względem swego bóstwa: grzeszyć mu nie wolno!

66.

Pozwalać drugim pomiatać sobą, okradać, okłamywać i wyzyskiwać siebie: skłonnością tą objawiałby się snadź wstyd boga wśród ludzi.

67.

Kochać jednego jest barbarzyństwem: gdyż dzieje się to ze szkodą wszystkich innych. Nawet gdy się kocha Boga.

68.

»Zrobiłem to«, powiada moja pamięć. »Nie mogłem zrobić tego« — powiada duma moja i jest nieubłagana. Wkońcu — pamięć ulega.

69.

Źle ten przypatrywał się życiu, komu nie zdarzało się widzieć ręki, która w dobrotliwy sposób — zabija.

70.

Gdy ma się charakter, ma się także typowe w swem życiu zdarzenia, które wciąż się powtarzają.

71.

M ę d r z e c j a k o a s t r o n o m. — Dopóki odczuwasz gwiazdy jako coś »nad sobą«, dopóty nie posiadasz ty jeszcze wzroku mędrca.

72.

Nie siła, lecz trwałość szczytnych odczuwań szczytnego tworzy człowieka.

73.

Kto swój ideał osiąga, ten wyrasta już tem samem ponad niego.

73.

Niejeden paw ukrywa pawi swój ogon przed spojrzeniami innych i zwie to swoją dumą.

74.

Człowiek genialny bywa nieznośnym, jeśli nie posiada ponadto dwóch jeszcze co najmniej zalet: wdzięczności i czystości duchowej.

75.

Stopień i rodzaj płciowości człowieka sięga aż w najostateczniejsze szczyty jego ducha.

76.

W pokojowych okolicznościach napada wojowniczy człowiek na siebie samego.

77.

Zasadami swemi pragnie się swe nawyknienia poskromić albo usprawiedliwić, albo uczcić, albo zelżyć, albo utaić: — dwóch ludzi o jednakowych zasadach pragnie zatem prawdopodobnie przecież czegoś zasadniczo różnego.

78.

Kto gardzi sobą samym, ten poważa jednakże jeszcze siebie jako wzgardziciela.

79.

Dusza, która wie, że jest kochana, ale sama nie kocha, wyjawia swój osad: — najgłębszy jej pokład wypływa na wierzch.

80.

Rzecz, która się wyjaśnia, przestaje nas obchodzić. — Co mniemał bóg ów, który doradzał: »poznaj siebie samego!« Znaczyło to snadź: »przestań zajmować się sobą! bądź przedmiotowym!« — A Sokrates? — A »człowiek naukowy?« —

81.

Straszna to rzecz, umrzeć w morzu z pragnienia. Musicież waszą prawdę, aż tak przesalać, by — nie gasiła już nawet pragnienia?

82.

»Współczucie względem wszystkich« — byłoby srogością i tyranią względem ciebie, mój panie sąsiedzie! —

83.

Instynkt. — Gdy gore dom, zapomina się nawet o obiedzie. — To prawda: ale zjada się go potem na zgliszczach.

84.

Kobieta uczy się nienawidzić w miarę, jak czarować — się oducza.

85.

Jednakże u mężczyzny i kobiety uczucia różnią się przecież w *tempie,* dlatego nieporozumienia między mężczyzną a kobietą nie ustają.

86.

Kobiety same poza całą próżnością osobistą czują jednakże jeszcze nieosobistą pogardę — dla »kobiety«. —

87.

S p ę t a n e s e r c e, w o l n y d u c h. — Gdy się swe serce skrępuje i uwięzi, można swemu duchowi wielu użyczyć swobód: już to raz powiedziałem. Atoli nie daje się temu wiary, o ile nie wie się już tego — —

88.

Bardzo roztropnym ludziom poczyna się niedowierzać, gdy popadają w zakłopotanie.

89.

Straszliwe przygody nasuwają domysł, czy ten, kto ich doznał w życiu, sam nie jest czemś straszliwem.

90.

Przygnębieni, melancholijni ludzie dzięki temu właśnie, co innych przygnębia, dzięki miłości i nienawiści stają się lżejszymi i wypływają chwilowo na swą powierzchnię.

91.

Taki zimny, taki lodowaty, iż palce parzy! Każda dłoń, która go dotknie, cofa się, drżąc. — I dlatego właśnie zda się niektórym żarem.

92.

Któż gwoli swej dobrej opinii nie poświęcił już kiedyś — siebie samego ? —

93.

W poufaleniu się z ludźmi niema zgoła nienawiści do ludzi, ale dlatego właśnie za wiele pogardy dla ludzi.

94.

Dojrzałość męska: znaczy to odzyskać powagę, jaką się miewało przy zabawie za lat dziecięcych.

95.

Swej niemoralności się wstydzić: jest to pierwszy stopień schodów, u których szczytu wstydzi się człowiek także swej moralności.

96.

Należy rozstawać się z życiem, jak Odyseusz rozstawał się z Nauzykaą, — błogosławiący raczej niż zakochany.

97.

Jakto? Wielki człowiek? A ja wciąż widzę jeno aktora własnego ideału.

98.

Gdy się tresuje swe sumienie, to, gryząc, całuje nas ono zarazem.

99.

Rozczarowany mówi. — »Oczekiwałem echa, a usłyszałem jeno pochwałę«. —

100.

Wszyscy udajemy przed sobą niemądrzejszych niźli jesteśmy: wypoczywamy w ten sposób po naszych bliźnich.

101.

Dziś w miłośniku poznania mogłoby łacno obudzić się życzenie, by czuć się zezwierzęceniem boga.

102.

Miłość odwzajemniona winnaby właściwie rozczarowywać kochającego do istoty kochanej. »Jak to? jest że na tyle skromna, by kochać nawet ciebie? Lub na tyle głupia? Czy też — — czy też — «

103.

Niebezpieczeństwo w szczęściu. — »Teraz ze wszystkiem jest mi dobrze, teraz kocham już los każdy: — kto ma ochotę być moim losem?«

104.

Nie miłość bliźniego, lecz bezwład ich miłości bliźniego nie dozwala chrześcianom dzisiejszym — palić nas na stosie.

105.

Wolnemu duchowi, »zbożnemu wyznawcy poznania« — bądź co bądź mniej przypada do smaku (do jego »zbożności«) *pia fraus* niż *impia fraus*. Stąd to głębokie niezrozumienie kościoła, znamionujące typ »wolnego ducha«, — jako jego niewola.

106.

Mocą muzyki lubują się namiętności w sobie samych.

107.

Gdy postanowienie już powzięte, zamknąć uszy na najlepsze nawet dowodzenia przeciwne: oznaka to silnego charakteru. Zatem przygodna wola głupoty.

108.

Zjawisk moralnych niema wcale, istnieje tylko moralny wykład zjawisk — —

109.

Złoczyńca nie dorasta nader często do swojego czynu: umniejsza go bowiem i spotwarza.

110.

Rzecznicy złoczyńcy rzadko bywają artystami w tym stopniu, by piękną straszliwość czynu wyzyskać na korzyść jego sprawcy.

111.

Próżność naszą najtrudniej urazić wtedy, gdy urażono już dumę naszą.

112.

Kto czuje, że jest przeznaczony do rozmyślań nie zaś do wierzeń, dla tego wszyscy wierzący są zbyt hałaśliwi i natrętni: broni się przed nimi.

113.

»Chcesz-li go zjednać sobie? Udawaj-że przed nim zakłopotanego«. —

114.

Ogromne oczekiwania co do miłości płciowej, oraz wstyd w tych oczekiwaniach, psują kobietom z góry wszystkie perspektywy.

115.

Gdzie w grę nie wchodzi miłość lub nienawiść, tam gra kobieta miernie.

116.

Wielkie epoki naszego życia zaczynają się tam, gdzie zdobywamy się na odwagę nasze najgorsze przechrzcić w nasze najlepsze.

117.

Chęć przezwyciężenia jakiegoś uczucia jest jednakże wkońcu jeno pragnieniem innego lub kilku innych uczuć.

118.

Istnieje niewinność podziwu: ten ją posiada, komu nigdy jeszcze na myśl nie przyszło, że mógłby także być kiedyś podziwianym.

119.

Wstręt do brudu może być tak wielki, iż nie dozwala nam się oczyszczać, — »usprawiedliwiać«.

120.

Zmysłowość przyspiesza niejednokrotnie wzrost miłości, iż korzenie tejże są za słabe i łatwo wyrwane być mogą.

121.

Subtelność to nielada, iż Bóg nauczył się po grecku, gdy zapragnął zostać pisarzem, — i że nie nauczył się lepiej.

122.

Radość z pochwały cudzej bywa u niejednego jeno grzecznością serca — i czemś wręcz rożnem od próżności ducha.

123.

Konkubinat uległ także skażeniu: — przez małżeństwo.

124.

Kto nawet na stosie weseli się jeszcze, ten nie tryumfuje nad bólem, lecz przeto, iż nie doznał tam bólu, gdzie się go spodziewał. Przypowieść.

125.

Gdy musimy zmienić o kimś zdanie, pamiętamy mu gorzko przykrość, jaką nam tem wyrządził.

126.

Naród jest manowcem przyrody, by dojść do sześciu, siedmiu wielkich ludzi. — Ba: i przejść następnie mimo nich.

127.

Wstyd wszystkich prawdziwych kobiet nie znosi wiedzy. Doznają one przytem wrażenia, jak gdyby chciano im w ten sposób zajrzeć pod skórę, — gorzej jeszcze! pod suknie i stroje.

128.

Im abstrakcyjniejszą jest prawda, której chcesz nauczać, tem bardziej musisz nęcić ku niej zmysły.

129.

Szatan ma niezmiernie rozległe perspektywy dla Boga, dlatego stoi odeń tak daleko: — mianowicie szatan jako najstarszy miłośnik poznania.

130.

Czem ktoś jest, poczyna się objawiać wtedy, gdy talent jego podupadnie, — gdy zaprzestanie okazywać, co może. Talent jest także strojem; strój jest także kryjówką.

131.

Płci łudzą się co do siebie wzajem: skutkiem tego czczą i kochają w istocie rzeczy jeno siebie samych (czyli swój własny ideał, by wyrazić się grzeczniej —). I tak, mężczyzna pragnie u kobiety zgodności, — atoli kobieta jest właśnie, na podobieństwo kota, zasadniczo niezgodna, acz przyswoiła sobie bezsprzecznie pozory spokoju.

132.

Najdotkliwiej bywamy karani za nasze cnoty.

133.

Kto drogi do swego ideału znaleść nie umie, ten żyje lekkomyślniej i bezczelniej niż człowiek bez ideału.

134.

Od zmysłów pochodzi dopiero wszelka wiarogodność, wszelki spokój sumienia, wszelka oczywistość prawdy.

135.

Faryzeizm nie jest zwyrodnieniem dobrego człowieka: znaczna jego cząstka jest owszem potrzebna, by człowiek był dobry.

136.

Jeden szuka położnika dla swoich myśli, drugi kogoś, komuby pomógł: w ten sposób powstaje zajmująca rozmowa.

137.

Przestając z uczonymi i literatami, można łacno przeliczyć się naodwrót: poza niezwykłym uczonym kryje się nierzadko mierny człowiek, zaś poza miernym artystą dość nawet często — nader niepospolity człowiek.

138.

Na jawie postępujemy podobnie jak we śnie: wynajdujemy i wymarzamy sobie dopiero człowieka, z którym przestajemy, — i zapominamy o tem niezwłocznie.

139.

W zemście i miłości kobieta jest bardziej barbarzyńska niż mężczyzna.

140.

Rada jako zagadka. — »Będzie kochanie długiem kochaniem, — lecz pierwej musisz zjeść zęby na niem«.

141.

Brzuch jest powodem, iż człowiek nie uważa siebie tak łacno za boga.

142.

Najwstydliwsze, jakie słyszałem, słowa: »*Dans le véritable amour c'est l'âme, qui enveloppe le corps*«.

143.

Próżność nasza chciałaby, by właśnie to, z czego wywiązujemy się najlepiej, wydawało się rzeczą dla nas najtrudniejszą. Do genezy niejednego morału.

144.

Uczone skłonności u kobiety bywają zazwyczaj oznaką, iż płciowość jej niezupełnie jest w porządku. Już bezpłodność powoduje jakowąś męskość smaku; gdyż mężczyzna jest, za pozwoleniem, »jałowem zwierzęciem«.

145.

Porównawszy wogóle mężczyznę z kobietą, powiedzieć można: kobieta nie byłaby genialną w stroju, gdyby nie posiadała instynktu roli wtórej.

146.

Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam przytem nie stał się potworem. Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie.

147.

Ze starych nowel florenckich, prócz tego — z życia: *buona femmina e mala femmina vuol bastone,* Sacchetti *Nov. 86.*

148.

Skłonić bliźniego do dobrego miemania o sobie, a następnie w mniemanie to szczerze uwierzyć: któż w tej sztuce dorówna kobietom ? —

149.

To, co w epoce jakiejś wydaje się złem, jest zazwyczaj niewczesnym odruchem tego, co ongi uchodziło za dobre, — dziedziczność dawniejszego ideału.

150.

Wokół bohatera staje się wszystko tragedyą, wokół półboga wszystko satyrą; zaś dokoła boga staje się wszystko — no? może »światem« ? —

151.

Niedość mieć talent: trzeba mieć także wasze na niego pozwolenie, — nieprawdaż, przyjaciele moi?

152.

»Gdzie rośnie świadomości drzewo, tam zawsze jest raj«: tak powiadają najstarsze i najmłodsze węże.

153.

To, czego dokonywa się z miłości, dzieje się zawsze poza dobrem i złem.

154.

Zarzut, dywagacya, pogodna nieufność, szyderczość są oznakami zdrowia: wszystko bezwzględne należy do zakresu patologii.

155.

Zmysł tragizmu przybiera i opada razem ze zmysłowością.

156.

Obłęd u jednostki jest czemś rzadkiem, — atoli u grup, stronnictw, ludów i epok regułą.

157.

Myśl o samobójstwie wielką jest pociechą: dzięki jej niejedną noc złą przepędza się dobrze.

158.

Najsilniejszemu popędowi naszemu, tyranowi duszy naszej ulega nie tylko nasz rozum, lecz także sumienie nasze.

159.

T r z e b a odpłacać dobre i złe: ale dlaczego temu właśnie, który nam dobre lub złe wyrządził?

160.

Niedość kochamy poznanie nasze, skoro udzielamy go innym.

161.

Poeci względem swych doświadczeń życiowych są bezwstydni: wyzyskują je bowiem.

162.

»Bliźnim naszym nie jest nasz sąsiad, lecz sąsiad naszego sąsiada« — tak każdy myśli naród.

163.

Miłość dobywa na jaw szczytne i utajone właściwości kochającego, — to, co w nim niezwykłe, wyjątkowe: o tyle łudzi łacno co do tego, co w nim jest regułą.

164.

Jezus mówił do swych żydów: »Zakon był dla rabów, — miłujcie Boga, jak ja, Syn jego, go miłuje! Cóż nas synów bożych obchodzi morał!« —

165.

W o b e c k a ż d e g o s t r o n n i c t w a. — Pasterz potrzebuje do pomocy barana-przodownika, — lub sam w pewnych razach musi zostać baranem.

166.

Kłamie się oczywiście ustami, atoli mina, jaką ma się przytem, jednakże prawdę mówi.

167.

Czułość u surowych ludzi jest rzeczą wstydu — i czemś drogocennem.

167 *a*.

Chrześciaństwo napoiło Erosa trucizną: — nie umarł on wprawdzie, lecz wyrodził się, w występek.

168.

Chcąc się ukryć, można to osiągnąć także, mówiąc wiele o sobie.

169.

W pochwale jest więcej natręctwa niż w naganie.

170.

Współczucie u człowieka, oddanego poznaniu, śmiech niemal wzbudza jak delikatne u Cyklopa ręce.

171.

Z miłości ku ludziom rzucamy się niekiedy w ramiona pierwszego lepszego (gdyż wszystkich uścisnąć niepodobna): lecz właśnie o tem ów pierwszy lepszy wiedzieć nie powinien …

172.

Lekceważenie nie idzie w parze z nienawiścią, która budzi się dopiero wtedy, gdy stawia się kogoś na równi lub wyżej od siebie.

173.

Wy utylitaryści, nie lubicież i wy także wszystkiego *utile* jeno jako rydwana upodobań swoich, — nie wydajeż się właściwie i wam turkot kół jego nie do zniesienia?

174.

Ostatecznie kocha się swą żądzę nie zaś przedmiot tejże.

175.

Próżność innych sprzeciwia się naszemu smakowi w takim tylko razie, kiedy się naszej sprzeciwia próżności.

176.

Względem tego, co to jest »prawdziwość«, nikt dość prawdziwym snadź nie był jeszcze.

177.

Szaleństwom rozumnych ludzi nie daje się wiary: co za uszczerbek przywilejów ludzkich!

178.

Następstwa czynów naszych biorą nas za łeb, zgoła nie dbając o to, iż tymczasem »poprawiliśmy się«.

179.

Zdarza się niewinność kłamstwa, będąca oznaką dobrej wiary w swą sprawę.

180.

Rzecz to nieludzka błogosławić tam, gdzie przeklinają kogoś.

181.

Poufałość wyższego rozgorycza, gdyż odwzajemnić jej nie można. —

182.

»Nie to, że mnie okłamywałeś, lecz to, że ci już nie wierzę, wstrząsnęło mną do głębi«. —

183.

Bywa rozpasanie dobroci, które na pozór wydaje się złośliwością.

184.

»On mi się nie podoba«. — Dlaczego? — »Gdyż mu nie dorównywam«. — Odpowiedział-że kto tak kiedy?

ROZDZIAŁ V.

DO HISTORYI NATURALNEJ MORAŁU



185.

Wrażliwość moralna jest obecnie w Europie równie subtelna, źrała, złożona, przeczulona, wydoskonalona, jak należąca do niej »wiedza morału« jest jeszcze młoda, początkująca, nieudolna i grubopalca: — zaciekawiające przeciwieństwo, w osobie samegoż moralisty widoczne i ucieleśnione niekiedy. Już samo słowo »wiedza morału« ze względu na to, co oznacza, zbyt jest wygórowane i sprzeciwia się dobremu smakowi: ten bowiem popędem do słów skromniejszych objawia się zazwyczaj. Należałoby z całą ścisłością wyznać przed sobą, czego tu na długo jeszcze potrzeba, co jedynie ma na teraz racyę bytu: mianowicie gromadzenie materyału, pojęciowe ujmowanie i porządkowanie przeolbrzymiej dziedziny subtelnych wartości odczuwań tudzież wartości rozróżniań, które żyją, rosną, płodzą i giną, — oraz, być może, próby uwidocznienia powrotnych i częstszych kształtowań żyjącej tej krystalizacyi, jako przygotowanie do nauki o typach morału. Co prawda: nie byliśmy dotychczas tacy skromni. Wszyscy społem filozofowie, o ile zajmowali się morałem jako wiedzą, ze sztywną rozśmieszającą powagą domagali się od siebie czegoś nierównie górniejszego, pretensyonalniejszego, uroczystszego:

pragnęli uzasadnienia morału, — każdy filozof dotychczas mniemał, iż powiodło się mu uzasadnić morał: zaś morał sam uchodził za coś »danego«. Jakżeż obcem nieudolnej ich dumie było owo rzekomo niepozorne, w kurzu i pleśni porzucone zadanie opisywania, acz mogłyby mu sprostać najsubtelniejsze zaledwie zmysły i ręce! Dlatego właśnie, iż filozofowie morału znali *facta* moralne jeno zgrubsza, w dowolnym wyciągu lub przypadkowem skróceniu, na przykład jako moralność swego otoczenia, swego stanu, kościoła, ducha czasu, klimatu i strefy, — że co do ludów, epok, minionych przeszłości źle powiadomieni i niedość nawet żądni byli wiedzy, z właściwymi problematami morału nie mieli oni wcale do czynienia: — bowiem przy porównaniu wielu morałów wyłaniają się dopiero one. Całej dotychczasowej »wiedzy morału« zbywało, acz dziwnem wydawać się to może, samegoż problematu morału: brakowało podejrzenia, iż istnieje tu coś problematycznego. To, co filozofowie »uzasadnieniem morału« zwali i czego od siebie żądali, było jeno uczoną formą dobrej wiary w panujący morał, nowym jego wyrazu środkiem, a więc li stanem rzeczy w zakresie określonej moralności, ba nawet, w ostatnim rzędzie, rodzajem zaprzeczenia, iż morał ten jako problemat pojmowanym być może: — w każdym zaś razie czemś wręcz różnem od badania, roztrząsania, podejrzywania, wiwisekowania tej właśnie wiary! Posłuchajmy naprzykład, z jaką czcigodną niemal niewinnością jeszcze Schopenhauer wyobrażał sobie własne swe zadanie, i wysnujmy wnioski co do naukowości »nauki«, której ostatni mistrzowie przemawiają jeszcze jak dzieci lub stare baby: — »za

łożenie, powiada on *(Grundprobleme der Ethik* str. 137), zasada, co do treści której wszyscy etycy nie różnią się właściwie między sobą: *neminem laede, immo omnes, quantum potes, juva* — zasada ta jest właściwie twierdzeniem, które starają się uzasadnić wszyscy nauczyciele moralności... istotnym etyki węgłem, poszukiwanym od wieków jak filozoficzny kamień«. — Trudności w uzasadnieniu przytoczonego zdania snadź, co prawda, wielkie — jak wiadomo, Schopenhauerowi nie poszczęściło się także w tym względzie — ; komu zaś zdarzyło się już wyczuć do dna, jak niesmacznie fałszywem i sentymentalnem jest to zdanie w świecie, którego rdzeń stanowi wola mocy —, ten niech przypomni sobie, iż Schopenhauer, acz pessymista, właściwie — grywał na flecie... Codziennie, po obiedzie: wspominają o tem biografowie jego. Spytajmyż więc mimochodem: pessymista, przeczący Bogu i światu, a zatrzymujący się przed morałem, — potwierdzający morał, morałowi *laede neminem* wtórujący na flecie: hę? jest-że on właściwie — pessymistą?

186.

Pomijając już wartość twierdzeń takich, jak »istnieje w nas imperatyw kategoryczny«, zapytać jednakże się godzi: co twierdzenie takie mówi o człowieku, który je głosi? Bywają morały, których zadaniem jest usprawiedliwiać swego twórcę przed innymi; inne morały mają go uspakajać i jednać ze sobą samym; jeszcze innymi chce on siebie upokorzyć i rozbić na krzyżu; są takie, którymi chciałby

wywrzeć swą zemstę, i takie, którymi radby się ukryć, i takie, które go wyszczytniają, hen, wzwyż i oddal unoszą: ten morał pozwala twórcy swemu zapomnieć, ów siebie lub jakąś swą cząstkę pogrążyć w niepamięci; jeden moralista pragnie doświadczyć na ludzkości swej mocy i zachcenia twórczego; drugi, snadź i Kant także, daje swym morałem do zrozumienia: »to, co we mnie czcigodne, polega na tem, iż umiem być posłusznym, — wy zaś nie powinniście różnić się ode mnie!« — słowem, morały są także symboliczną afektów mową.

187.

Każdy morał jest przeciwieństwem do *laisser aller,* cząstką tyranii względem »przyrody« oraz »rozumu«: atoli nie jest to jeszcze przeciw niemu zarzutem, gdyż inaczej musielibyśmy na podstawie tego lub owego morału dojść do wniosku, iż wszelki rodzaj tyranii i nierozumu jest niedozwolony. Istotnem i nieocenionem w każdym morale jest to, iż jest on długim przymusem: i chcąc zrozumieć stoicyzm, Port Royal lub purytanizm, trzeba przypomnieć sobie przymus, któremu moc swą i swobodę zawdzięcza dotychczas każda mowa, — przymus metryczny, tyranię rymu i rytmu. Ileż to trudu zadali sobie w każdem narodzie poeci i mówcy! — kilku dzisiejszych prozaików nie wyjmując, u których w uchu nieubłagane przebywa sumienie — »dla głupstwa«, jak utylitarni powiadają durnie, którym się zdaje, iż dowodzą tem swego rozsądku, — »z uległości względem praw narzuconych«, jak utrzymują anarchiści, którzy

stwierdzają tem rzekomo, iż są »wolni«, wolnomyślni nawet. Dziwaczny atoli stan rzeczy przedstawia się tak, iż wszystko, co wolnością, subtelnością, śmiałością, pląsem i mistrzowską równowagą zowie się lub zwało dotychczas na ziemi, czy to w myśleniu samem, czy też w rządzeniu, mówieniu i przekonywaniu a także w sztukach i obyczajach, rozwinęło się dopiero mocą »tyranii takich praw narzuczonych«; i w rzeczy samej, nie da się wykluczyć prawdopodobieństwo, że to właśnie jest »przyrodą«, czemś »naturalnem« — nie zaś owo *laisser aller!* Każdy artysta wie, jak dalece z uczuciem puszczania sobie wodzów nie ma nic wspólnego stan jego »najnaturalniejszy«, polegający na swobodnem porządkowaniu, zestawianiu, kojarzeniu, kształtowaniu w chwilach »natchnienia«, — oraz jak wtedy właśnie surowo i subtelnie tysiącznym podlega on prawidłom, które dla swej nieugiętości i określoności urągają tem samem wszelkiemu formułowaniu przy pomocy pojęć (najściślejsze nawet pojęcie jest, w porównaniu z niemi, czemś nieuchwytnem, wielorakiem, wieloznacznem). Istotną, jak już powiedziano, »na ziemi i w niebiesiech« rzeczą, jest snadź długotrwałe, w jednym i tym samym kierunku zmierzające posłuszeństwo: wydawało ono i wydaje z czasem zawsze jakowyś plon, dla którego warto żyć na ziemi, naprzykład cnotę, sztukę, muzykę, taniec, rozum, uduchowienie — coś wniebowziętego, pogłębionego, szalonego i boskiego. Długa niewola ducha, musowa nieufność w udzielaniu myśli, dyscyplina, zniewalająca uczonego, by praca jego myśli nie wybiegała poza rubieże, wytyczone przez kościół i dwór, lub poza założenia Arystotelesa, długa dążność duchowa, by wszystkie zja-

wiska wedle chrześciańskiego tłómaczyć schematu, by w każdym z kolei wypadku nanowo odkrywać i usprawiedliwiać chrześciańskiego Boga, — wszystek ten gwałt, samowola, srogość, okropność, nierozum okazały się środkiem, dzięki któremu duch europejski urósł w siłę, nabył bezwzględnej swej ciekawości i subtelnej ruchliwości: nie przeczę zresztą wcale, iż wiele nieocenionych przejawów ducha i siły musiało uledz przytem zgnębieniu, zdławieniu i zagładzie (gdyż tu jak wszędzie objawia się »przyroda« w całej pełni swej rozrzutnej i obojętnej wspaniałości, oburzającej, lecz dostojnej). Iż uczeni europejscy przez długie tysiąclecia myśleli jeno o tem, by coś udowodnić — dziś naodwrót, każdy myśliciel, który »chce coś udowodnić«, jest nam podejrzany —, iż to, co miało być plonem najściślejszych ich rozmyślań, było już z góry niewzruszonym pewnikiem, podobnie jak ongi w astrologii azyatyckiej lub jak dziś jeszcze w nieszkodliwem chrześciańsko-moralnem tłómaczeniu najbliższych, najosobistszych zdarzeń »na chwałę Boga« i »gwoli zbawieniu duszy«: — przeto ta tyrania, ta samowola, cała ta surowa i majestatyczna głupota dokonała wychowania ducha; niewolnictwo jest, jak się zdaje, w pospolitszem i subtelniejszem znaczeniu nieodzownym środkiem duchowej także hodowli i karności. Każdy morał winno się rozpatrywać z tego stanowiska, iż »przyroda« to, w nim utajona, uczy nienawidzić *laisser aller* oraz zbyt wybujałą swobodę, niecąc potrzebę zamkniętych widnokręgów i najbliższych zadań, — że ona to skłania do zacieśnienia perspektywy, a więc niejako do głupoty jako warunku życia i wzrastania. »Winien jesteś komuś i przez

czas długi posłuszeństwo: inaczej zmarniejesz i zatracisz doszczętnie cześć dla siebie samego« — oto, jak mi się zdaje, moralny imperatyw przyrody, który nie jest wprawdzie ani »kategoryczny« jak domagał się od niego stary Kant (stąd owo inaczej« —), — ani też nie zwraca się do jednostek (cóż ją obchodzi jednostka!), lecz do ludów, ras, epok, stanów, przedewszystkiem zaś do całego rodzaju ludzkiego, do ludzkości.

188.

Rasom pracowitym z wielką przykrością przychodzi próżnować: instynkt angielski umiał po mistrzowsku otoczyć niedzielę nimbem takiej świętości i takiej nudy, iż Anglik niepostrzeżenie zaczyna znów tęsknić do dnia powszedniego, dnia roboczego: — jest to rodzaj mądrze pomyślanego i mądrze wtrąconego postu, spotykanego również nader często w świecie starożytnym (acz, rzecz prosta, u ludów południowych niekoniecznie pracę miał on na względzie —). Muszą istnieć posty różnorodnego rodzaju; wszędzie, gdzie władają przemożne nawyknienia i popędy, rzeczą prawodawców jest oznaczyć dnie, w których popęd taki bywa na uwięzi i znów łaknąć się uczy. Z wyższego stanowiska całe pokolenia i epoki, o ile je jakowyś fanatyzm moralny opęta, wydają się takimi wtrąconymi okresami postu i przymusu, w których popęd uczy się uległości i powściągliwości, lecz zarazem wyszlachetnia się i zaostrza; niektóre sekty filozoficzne (naprzykład Stoa śród kultury hellenistycznej oraz jej afrodyjskiemi woniami brzemien-

nej i rozlubieżnionej atmosfery) także w ten sposób wytłómaczyć się dają. Jest to razem wskazówką do rozwiązania paradoksu, dlaczego w chrześciańskim właśnie okresie Europy i wogóle dopiero pod naciskiem chrześciańskiego osądu wartości popęd płciowy wzbił się aż na wyżynę miłości *(amour-passion).*

189.

Morał Platona zawiera coś, co właściwie platońskiem nie jest, lecz znajduje się tylko w jego filozofii, możnaby rzec, pomimo Platona: mianowicie sokratyzm, na który był on właściwie za dostojny. »Nikt nie chce szkodzić sobie samemu, przeto złe dzieje się niedobrowolnie. Gdyż człowiek zły wyrządza szkodę sobie samemu: nie czyniłby zaś tego, gdyby wiedział, iż złe złem jest. Człowiek zły jest złym jeno skutkiem błędu; wyprowadzając go z błędu, czyni się go niezawodnie — dobrym« — Ten sposób wnioskowania trąci pospólstwem, które w złoczynieniu widzi jeno przykre następstwa i w istocie rzeczy sądzi: »czynić źle jest głupotą«; zaś »dobre« utożsamia bez wahania z »pożytecznem i przyjemnem«. Wszelki utylitaryzm moralny winien z góry nasuwać nam domysł, iż z tegoż samego wypłynął źródła; powodujmy się tem poczuciem: a rzadko pobłądzimy. — Platon uczynił wszystko, by w zasadę nauczyciela swego wesnuć coś subtelnego i dostojnego, przedewszystkiem siebie, — z nieporównanem zuchwalstwem wziął całego Sokratesa ni to popularny temat lub pieśń ludową z ulicy, by go waryować do nieskończoności i niemożliwości: mianowicie przeobrażać we

wszystkie swe maski i różnolicowości. Żartem zaś mówiąc, i to homeryckim: czem-że jest Sokrates platoński, jak nie

πρόσθε Πλάτων ὄπιθέν τε Πλάτων μέσση τε Χίμαιρα.

190.

Dawny problemat teologiczny »wiary« i »wiedzy« — czyli wyraźniej, instynktu i rozumu — zatem zagadnienie, czy, ze względu na ocenę wartości rzeczy, instynktowi snadniej zaufać można niż rozumowi, który pyta: »dlaczego?«, domaga się przyczyn, a więc celowości oraz pożyteczności ocen i postępków, — nie jest niczem innem jak owym odwiecznym problematem moralnym, który pojawił się najpierw w osobie Sokratesa i na długo przed powstaniem chrześciaństwa waśnił już umysły. Wprawdzie sam Sokrates zgodnie ze smakiem swego talentu — smakiem przodującego dyalektyka — stanął z początku po stronie rozumu; bo i na czem-że upływało całe jego życie, jak nie na wyśmiewaniu ociężałej dostojnych swych ateńskich ziomków niezdolności, którzy, jak wszyscy ludzie dostojni, powodowali się instynktem i z przyczyn swego postępowania zdać należycie sprawy nie umieli nigdy? Pod koniec atoli, w skrytości i cichości, ze siebie samego śmiał się on także: roztrząsnąwszy subtelniejsze swe sumienie i przesłuchawszy siebie, dojrzał tęż samą ociężałość i niezdolność. Pocóż więc, przekonywał siebie, wyzbywać się *dlatego* instynktów? Należy przyznawać im słuszność i rozumowi *także*, — należy powodować się instynktami, rozum zaś nakłonić, by słuszne powody

miał na ich poparcie. Na tem polegała właściwa fałszywość owego wielkiego tajemniczego ironika: wmówił w swe sumienie, by się zadowalniało ni to oszukiwaniem siebie: w istocie przeniknął irracyonalność sądów moralnych. — Platon w takich rzeczach niewinniejszy i wykrętności próżen plebejskiej, całym wysiłkiem mocy — największej mocy, jaką dotychczas rozporządzał filozof! — chciał dowieść sobie, iż rozum i instynkt same przez się do jednego i tego samego zmierzają celu, ku Dobru, ku »Bogu«; odtąd wszyscy teologowie i filozofowie wstępują w jego ślady, — to znaczy, w rzeczach morału zwyciężał dotychczas instynkt, lub, jak to chrześcianie nazywają, »wiara«, czyli, jak ja to zowę, »stado«. Należałoby jednakże uczynić w tym względzie wyjątek dla Descartes'a, ojca racyonalizmu (a więc dziadka rewolucyi), który uznawał jedynie powagę rozumu: atoli rozum jest jeno narzędziem, a Descartes był powierzchowny.

191.

Kto śledził dzieje którejkolwiek umiejętności, ten w jej rozwoju znajduje wskazówki do zrozumienia najdawniejszych i najpospolitszych kolei wszelkiej »wiedzy i poznania«: tu i tam przedwczesne hypotezy, zmyślenia, niemądra łatwowierność, brak nieufności i cierpliwości rozwinęły się najpierwej, — zmysły nasze uczą się późno, nigdy zaś zupełnie, być subtelnymi, wiernymi, przezornymi narządami poznania. Oku naszemu jest o wiele wygodniej odtworzyć pod wpływem danego bodźca obraz, odtwa-

rzany już niejednokrotnie, niźli pochwycić niezwykłość i nowość jakiegoś wrażenia: w ostatnim razie potrzeba więcej siły, więcej »moralności«. Dla ucha nowe brzmienia są przykre i trudne; nie lubimy słuchać muzyki, do której nie nawykliśmy. Słysząc obcy język, mimowolnie usiłujemy zasłyszane dźwięki przekształcić w słowa o brzmieniu więcej swojskiem i znajomem: tak naprzykład utworzył ongi Niemiec z zasłyszanego *arcubalista* słowo *Armbrust*. Względem nowości zmysły nasze zachowują się także wrogo i niechętnie; i wogóle przy »najprostszych« nawet przejawach zmysłowości biorą górę afekty, jak bojaźń, miłość, nienawiść, połączone z biernymi afektami lenistwa. — Jak czytelnik dzisiejszy nie odczytuje bynajmniej poszczególnych słów (tem mniej zgłosek), tworzących stronnicę — z dwudziestu słów wybiera raczej na chybi-trafi pięć i z tych pięciu »domyśla się« przybliżonej treści — tak też patrząc na drzewo, nie widzimy w całości i dokładnie jego liści, gałęzi, barwy i kształtu; jest nam o wiele łatwiej wyobrazić sobie coś zbliżonego do drzewa. Nawet śród najniezwyklejszych okoliczności życiowych postępujemy również w ten sam sposób: wysnuwamy sobie przeważną część zdarzenia z wyobraźni i niepodobna niemal nas zmusić, byśmy jakowemuś zdarzeniu nie przyglądali się jako »wynalazcy«. Wszystko to znaczy: z całej duszy, od wieków — przywykliśmy do kłamstwa. Czyli, by się wyrazić cnotliwiej i obłudniej, słowem, przyjemniej: jesteśmy o wiele więcej artystami, niż przypuszczamy. — Podczas ożywionej rozmowy widzę niejednokrotnie twarz osoby, z którą rozmawiam, zależnie od myśli przez nią wypowiadanej, lub przeze-

mnie w jej mózgu rzekomo wywołanej, z taką wyrazistością i dokładnością przed sobą, iż stopień ten wyrazistości przewyższa niepomiernie siłę mojego wzroku: — subtelności gry mięśniowej oraz wyrazu oczu musiałem zatem dopełnić z własnej wyobraźni. Prawdopodobnie osoba ta miała całkiem inną minę lub zgoła żadnej.

192.

Quidquid luce fuit, tenebris agit: lecz także na odwrót. To, czego doznajemy we śnie, o ile doznawaliśmy już nieraz, wchodzi wkońcu tak samo w skład duszy naszej, jak każde zdarzenie rzeczywiste«: zależnie od niego jesteśmy bogatsi lub ubożsi, mamy jedną potrzebę więcej lub mniej i ostatecznie za białego dnia, w najweselszych nawet chwilach jawy naszego ducha, chodzimy potrosze na pasku nawyknień słów naszych. Przypuśćmy, iż ktoś w snach nieraz latał i w marzeniach sennych doznaje już poczucia mocy i sztuki latania ni to swojego przywileju, ni to sobie jeno danego, godnego zazdrości szczęścia; że mu się zdaje, iż za najlżejszym bodźcem każdy zwrot i krąg zatoczyć może: że zna on uczucie jakowejś pierzchliwości boskiej, wzbijał się »w górę« bez wysiłku i przymusu, zlatał »w dół« bez pognębienia i poniżenia — ciężkości wszelkiej próżen! —: jakżeby dla człowieka, który ma takie doświadczenia senne i nawyknienia senne, nie miało wkońcu słowo »szczęście« i za białego dnia także innego znaczenia i zabarwienia! jakżeby mógł nie pragnąć szczęścia — inaczej! »Wzlot«,

jak opisują go poeci, w porównaniu z lataniem owem snadź wydaje się mu zbyt już ziemskim, od mięśni zależnym, gwałtownym, za »ciężkim«.

193.

Różność ludzi objawia się nie tylko w różności poglądów na dobro, a więc w tem, iż za cel swych dążeń rozmaite obierają dobra, oraz iż co do przedniejszych i pośledniejszych wartości, co do stopniowania dóbr powszechnie uznanych niema między nimi zgody: — jeszcze dobitniej objawia się ona w tem, co w ich mniemaniu jest rzeczywistem mieniem i posiadaniem jakiegoś dobra. Co do kobiety naprzykład, mniej wybrednemu wystarcza już opanowanie jej ciała i rozkosz płciowa jako dostateczna i zadowalniająca oznaka mienia, posiadania; ktoś inny, obdarzony nieufniejszą i wygórowańszą posiadania żądzą, widzi wątpliwość, pozorność jeno takiego mienia i szuka subtelniej szych prób, przedewszystkiem by wiedzieć, czy kobieta nie tylko mu się oddaje, lecz także powierza to, co ma lub coby mieć chciała — : wtedy dopiero zda się mu »posiadaną«. Dla trzeciego atoli i to nawet nie jest jeszcze kresem podejrzliwości i chęci posiadania; zapytuje siebie, czy kobieta, powierzając mu wszystko, nie czyni tego snadź dla urojonego widziadła: by wogóle mógł zjednać sobie miłość, chce wpierw być poznanym do dna, do bezdna nawet swej duszy, posuwa się do tego, iż pozwala się odgadnąć. — Wtedy dopiero doznaje uczucia całkowitego posiadania ukochanej kobiety, gdy nie ma już

ona co do niego złudzeń, kiedy kocha go zarówno dla jego dyabelstwa i skrytej niesytości, jak dla jego dobroci, cierpliwości i duchowości. Ów chciałby owładnąć ludem: więc wszystkie celniejsze sztuczki Cagliostra i Katyliny są dlań w tym celu dobre. Inny, o subtelniejszej żądzy posiadania, rzecze »chcąc posiadać, oszukiwać się nie godzi« — drażni go i niecierpliwi myśl, iż sercem ludu rządzi jego maska: »zatem muszę dać się poznać, a przedewszystkiem poznać siebie samego!« U uczynnych i dobroczynnych ludzi spotyka się stale niemal niezręczny ów wybieg, który w człowieka, potrzebującego pomocy, najpierw wmówić się stara: jakoby naprzykład »zasługiwał« na wsparcie, ich właśnie potrzebował pomocy i przyrzekał w zamian być serdecznie wdzięcznym, przywiązanym, uległym, — drogą tych przewidzeń zabierają sobie biedaka ni to na własność, gdyż z pożądania własności wynika wogóle ich dobroczynność i uczynność. Bywają zazdrośni, gdy im w niesieniu pomocy przeszkodzi się lub ich się uprzedzi. Rodzice urabiają mimowolnie dzieci na swe podobieństwo — zwą to »wychowaniem« —, żadna matka nie wątpi w głębi duszy, iż, rodząc dziecię, nabywa je na własność, każdy ojciec ma w swem mniemaniu prawo naginać je do swych pojęć oraz sposobu osądzania wartości. Toć zdawało się ongi ojcom rzeczą godziwą rozstrzygać (jak u starożytnych Niemców) o życiu i śmierci noworodków. A podobnie jak ojciec, tak też nauczyciel, stan, duchowny, władca w każdym nowym człowieku widzą nadarzającą się do nowego posiadania sposobność. Z czego wynika...

194.

Żydzi — lud »zrodzony do niewoli«, jak powiada Tacyt i cały świat starożytny, »lud wybrany śród ludów«, jak mówią i wierzą oni sami—, Żydzi dokonali owego mistrzowskiego dzieła przemianowania wartości, dzięki któremu życie na ziemi nabrało dla kilku tysiącleci nowego i niebezpiecznego czaru: — prorocy ich pojęcia »bogaty«, »bezbożny«, »zły«, »gwałtowny«, »zmysłowy« stopili w jedno i okryli po raz pierwszy słowo »świat« niesławą. Na tem przemianowaniu wartości (w którem słowo »biedny« bywa uważane za synonim »świętego« i »przyjaciela«) polega znaczenie żydowskiego ludu: od niego poczyna się rokosz niewolników w morale.

195.

Obok słońca istnieją podobno niezliczone ciemne ciała, — których nie ujrzymy nigdy. Jest to, mówiąc między nami, przypowieść; a psycholog moralny odczytuje wszystkie głoski gwiezdne jeno jako mowę symbolów i przypowieści, która pozwala wiele zamilczeć.

196.

Dowodzi to zasadniczego niezrozumienia drapieżnego zwierza i drapieżnego człowieka (naprzykład Cezara Borgii), jest to dowodem niezrozumienia

»przyrody«, gdy ktoś w istocie tych tryskających zdrowiem podzwrotnikowych chwastów i potworów szuka »chorobliwości« lub nawet wrodzonego im »piekła«—: jak to czynili dotychczas wszyscy niemal moraliści. Nie zdajeż się, iż moraliści nienawidzą praborów i zwrotników? I że człowiek »podzwrotnikowy« za każdą cenę zniesławiony być musi bądź to jako choroba i zwyrodnienie człowiecze, bądź też jako własne swe piekło i samo-udręka? Czemuż to? Gwoli »strefom umiarkowanym?« Gwoli ludziom umiarkowanym? »Moralnym?« Miernym? — To do rozdziału »morał jako bojaźliwość«. —

197.

Wszystkie morały, zwracające się do jednostek, by je »uszczęśliwić«, jak to się powiada, — nie są niczem innem niż wskazaniami, jak jednostce zachowywać się należy ze względu na stopień niebezpieczeństwa, zagrażającego jej od niej samej; receptami na jej namiętności, na jej popędy złe i dobre, o ile ożywia je wola mocy i chętka panowania; małemi i dużemi mądrostkami i fortelikami, do których przywarły wyziewy przedwiecznych środków domowych oraz mądrości babskiej; we formie wszystkie społem barokowe i nierozumne — gdyż zwracają się do »wszystkich«, gdyż generalizują, gdzie generalizować nie można —, wszystkie społem bezwzględne w słowach, bezwzględne w uroszczeniach, wszystkie społem niezaprawione choćby ziarnkiem soli, wtedy owszem znośne, niekiedy nawet ponętne, gdy przypraw w nich za dużo i groźnie cuchnąć poczną,

zwłaszcza »irmym światem«: wszystko to, intelektualnie rzecz ważąc, niewielką ma wartość i bynajmniej nie jest »wiedzą« a tem mniej »mądrością«, lecz raz jeszcze i po trzykroć mądrostką, mądrostką, mądrostką, pomieszaną z głupotą, głupotą, głupotą — bez względu na to, czy objawia się ową obojętnością i posągowym chłodem, zalecanym i stosowanym przez stoików przeciw porywczym szaleństwom afektów; czy też niewzruszonością Spinozy na śmiech i łzy, jego tak naiwnie zachwalanem unicestwianiem afektów przez analizę i wiwisekcyę tychże; czy sprowadzaniem afektów do nieszkodliwej połowiczności, zezwalającej na ich zaspokojenie, a więc arystotelizmem morału; lub bodaj morałem, pojętym jako rozkoszowanie się afektami i rozcieńczonymi i przeduchowionymi umyślnie symboliką sztuki, jak to ma miejsce w muzyce, miłości Boga lub miłości ludzi gwoli Bogu — gdyż namiętności uzyskały znów w religii prawo obywatelstwa z tem zastrzeżeniem — —; albo wreszcie ową pochopną i płochą względem afektów uległością, nauczaną przez Hafiza i Goethego, owem śmiałem puszczaniem wodzów, ową duchowo-cielesną *licentia morum* w wyjątkowych razach, gdy chodzi o starych mądrych wygów i opojów, u których »nic już nie grozi«. — I to także do rozdziału »morał jako bojaźliwość«.

198.

Jeżeli się uwzględni, iż po wszystkie czasy, odkąd ludzie istnieją, istniały także stada ludzkie (związki płciowe, gminy, szczepy, ludy, państwa, wyznania)

i w stosunku do małej liczby rozkazujących było zawsze bardzo wielu słuchających, — jeśli zatem się zważy, iż ludzie najlepiej i najdłużej zaprawiali i ćwiczyli się dotychczas w posłuszeństwie, to słusznie przypuszczać się godzi, iż obecnie mniej więcej każdy ma wrodzoną potrzebę, rodzaj formalnego sumienia nakazującego mu: »winieneś coś bezwarunkowo czynić, winieneś czegoś bezwarunkowo zaniechać«, słowem, »winieneś«. Potrzeba ta szuka zaspokojenia, pragnie swą formę wypełnić jakąś treścią; zależnie od swej siły, niecierpliwości i napięcia postępuje przytem niezbyt wybrednie, jako najpospolitszy apetyt i chłonie wszystko, co którykolwiek rozkazodawca — rodzice, nauczyciele, prawa, przesądy stanowe, opinia publiczna — kładzie jej w uszy. Szczególniejsza rozwoju ludzkiego ograniczoność, opieszałość, przewlekłość, częste kołowania i nawroty pochodzą stąd, iż instynkt stadny posłuszeństwa odziedzicza się najłacniej i z uszczerbkiem sztuki rozkazywania. Jeżeli wyobrazimy sobie ten instynkt, posunięty do ostatecznych kresów rozpasania, to wkońcu nie stanie po prostu rozkazodawców i ludzi niezależnych: lub trawieni wnętrzną zgryzotą sumienia, będą musieli poddawać się dopiero złudzeniom, by módz rozkazywać: mianowicie, jakoby także winni byli posłuszeństwo. Stan ten istotnie nastał już obecnie w Europie: zwę go moralną rozkazodawców obłudą. Przed wyrzutami sumienia szukają oni obrony w tem, iż występują jako wykonawcy dawniejszych lub wyższych rozkazów (przodków, konstytucyi, praw, ustaw, Boga) albo zapożyczają nawet ze stadnego myślenia sposobu prawidła stadne, naprzykład »pierwszy sługa swego ludu« lub »narzędzie pospolitego dobra«. Z dru-

giej strony, człowiek stadny nabiera w Europie przeświadczenia, jakoby był jedynym dozwolonym rodzajem człowieka, i sławi swe właściwości, które czynią go łagodnym, znośnym, stadu pożytecznym, jako właściwe cnoty ludzkie: zatem uspołecznienie, życzliwość, względność, pilność, wstrzemięźliwość, skromność, pobłażliwość, współczucie. W tych jednakże razach gdy bez przewodnika lub barana prowodyra obyć się już niepodobna, czyni się obecnie płonne wysiłki, by sumowaniem roztropnych ludzi stadnych zastąpić rozkazodawcę: z tego źródła wyniknęły naprzykład wszystkie ustroje reprezentacyjne. Jakiem atoli dobrodziejstwem, jakiem wyzwoleniec z wzrastającego ucisku jest mimo wszystko dla stadnego europejczyka wystąpienie bezwzględnego rozkazodawcy, ostatniem wielkiem świadectwem tego jest wrażenie, wywołane pojawieniem się Napoleona: — dzieje wpływu napoleońskiego są nieledwie dziejami górniejszego szczęścia, jakiego w swych najcelniejszych ludziach i chwilach dostąpiło całe stulecie.

199.

Człowiek z epoki rozkładu, wywołującego zamęt ras, człowiek, który ma we krwi różnorodnego pochodzenia spuściznę, to znaczy sprzeczne, zaś niejednokrotnie nawet nie tylko sprzeczne popędy i osądy wartości, pasujące się ze sobą i rzadko pozostawiające siebie w spokoju, — człowiek taki przejrzałych cywilizacyj i dogorywających świateł bywa zazwyczaj słabym: pragnie najgoręcej, by wojna, tocząca się *w nim samym*, dobiegła wreszcie końca;

szczęście, zgodnie z jakimś kojącym (naprzykład epikuryjskim lub chrześciańskim) lekiem i myślenia sposobem, zda się mu przedewszystkiem szczęściem wypoczynku, beztroski, sytości, ostatecznej jedności, »sabatem nad sabatami«, jak powiada święty retor Augustyn, który sam był takim człowiekiem. — Kiedy wszakże waśń i rozterka oddziaływa na naturę taką jako jeden więcej bodziec i podnieta życiowa —, z drugiej zaś strony do jej możnych nieprzejednanych popędów przyłączy się drogą dziedziczności i wychowania także właściwe jej mistrzostwo i subtelność w zmaganiu się ze sobą, zatem samo-opanowywanie, samo-opętywanie: to powstają owi nieuchwytni i niepojęci czarodzieje, owi do zwycięstwa i uwodzicielstwa przeznaczeni zagadkowi ludzie, których najpiękniejszym wyrazem jest Alcybiades i Cezar (— powodując się moim smakiem, zaliczyłbym do nich także owego pierwszego europejczyka, Fryderyka II Hohenstaufa), zaś śród artystów snadź Leonardo da Vinci. Pojawiają się oni równocześnie z owym słabszym typem, pożądającym spokoju: oba te typy są nieodłączne i z jednakich wynikają przyczyn.

200.

Dopóki pożyteczność, panująca w osądach wartości moralnych, jest jedynie pożytecznością stadną, dopóki jedyną troską jest utrzymanie gromady, zaś niemoralność na tem właśnie i wyłącznie polega, co zda się zagrażać istnieniu gromady: dopóty nie może być mowy o »morale miłości bliźniego«. Dajmy na to, iż nie brak już i wówczas ciągłych drobnych ćwiczeń

w słuszności, współczuciu, względności, łagodności, wywzajemnianiu usług; przypuśćmy, że i na tym stopniu uspołecznienia czynne już są wszystkie owe popędy, które noszą później zaszczytne miana »cnót« i ostatecznie zlewają się niemal z pojęciem »moralności«: w tym jednakże okresie bynajmniej nie należą one jeszcze do dziedziny sądów o wartościach moralnych — są jeszcze pozamoralne. Naprzykład, litościwy uczynek w najświetniejszej epoce Rzymu nie jest dobry ni zły, nie uchodzi za moralny ni niemoralny; a jeżeli spotka się nawet z pochwałą, to pochwała ta nie odbiega zbyt daleko od jakiegoś niechętnego lekceważenia, zwłaszcza w zestawieniu z czynem, mającym dobro całości, *rem publicam* na względzie. Ostatecznie »miłość bliźniego« jest zawsze czemś ubocznem, po części konwencyonalnem, dowolnie pozornem w porównaniu z obawą przed bliźnim. Gdy spójnia społeczna jest już dokonana i od niebezpieczeństw zewnętrznych zabezpieczona, trwoga ta przed bliźnim w osądach wartości moralnych stwarza znów nowe perspektywy. Silne i niebezpieczne popędy, jak przedsiębiorczość, zapamiętałość, mściwość, przebiegłość, drapieżność, żądza panowania, które dotychczas ze względu na dobro pospolite nie tylko czcią otaczać — pod innemi oczywiście nazwami od co tylko przytoczonych —, lecz nawet hodować i pielęgnować musiano (potrzebowano ich bowiem ustawicznie przeciw nieprzyjaciołom, zagrażającym całości), budzą odtąd — kiedy niema już dla nich upustu — zdwojoną grozę i, jako niemoralne, bywają stopniowo piętnowane i spotwarzane. Cześć staje się teraz udziałem wręcz sprzecznych popędów i skłonności; instynkt stadny zmierza zwolna ku swym

konsekwencyom. Wzgląd, o ile jakieś objawy i afekty, o ile czyjeś zdanie, zdolności i wola podrywają równość, pospolitemu zagrażają dobru, staje się teraz perspektywą moralną: trwoga i w tym razie jest macierzą morału. Najgórniejsze i najsilniejsze popędy, gdy w namiętnym wybuchu porwą i wyniosą jednostkę ponad sumienia stadnego poziom i nizinę, powodują przez to zanik samopoczucia u gromady, kruszą ni to jej kręgosłup, jej wiarę w siebie: zatem te właśnie popędy piętnuje się i spotwarza najusilniej. Szczytna niezależna duchowość, wola samodzielności, wielki rozum wydają się już niebezpieczeństwem; wszystko, co jednostkę wynosi ponad stado i bliźniego napawa trwogą, zowie się odtąd złem; potulne, skromne, uległe, równościowe usposobienie, mierność żądz zdobywa sobie cześć i uznanie moralne. Ostatecznie, śród nader pokojowych okoliczności zanika coraz bardziej sposobność i konieczność naginania swych uczuć do stanowczości i surowości; i odtąd wszelka surowość, nawet w sprawiedliwości, poczyna razić sumienia; górna surowa dostojność i poczucie odpowiedzialności przed sobą obraża niemal i wzbudza nieufność, »baranek«, jeszcze więcej »owieczka« zyskuje poważanie. W dziejach społeczeństwa zdarza się moment takiego chorobliwego zmurszenia i przedelikacenia, iż z całą powagą i rzetelnością staje ono nawet po stronie swego szkodnika, zbrodniarza. Karać: zda się mu z jakiegobądź względu rzeczą niesłuszną, — to pewna, iż pojęcie »kara« i »powinność karania« dotyka je boleśnie, napawa trwogą. »Niedość-że uczynić go nieszkodliwym? Pocóż jeszcze karać? Karanie samo jest czemś okropnem!« — drogą pytania tego morał stadny, morał bojaźliwości,

wyprowadza swe ostateczne wnioski. Jeżeli przypuścimy iż dałoby się wogóle usunąć niebezpieczeństwo, tę przyczynę obaw, to i morał ten usunęłoby się zarazem: przestałby być potrzebnym, sobie samemu nie wydawałby się już potrzebnym! — Kto bada sumienie dzisiejszego europejczyka, ten w tysiącznych skrytkach i schowkach moralnych wykryje zawsze ten sam imperatyw, imperatyw bojaźliwości stadnej: »chcemy, by kiedyś nie trzeba było obawiać się już niczego!« Kiedyś — wola i droga ku temu kiedyś w całej Europie zwie się dziś »postępem«.

201.

Powiedzmy odrazu, cośmy mówili już po stokroć: gdyż na prawdy takie prawdy nasze — niechętnie otwierają się dzisiaj uszy. Wiemy aż nadto dobrze, jak to oburza, gdy ktoś bez ogródek i przenośni zalicza ludzi do zwierząt; atoli będzie to nam poczytane niemal za winę, iż mówiąc właśnie o ludziach »nowoczesnych idej«, używamy ciągle wyrażeń, jak »stado«, »instynkta stadne« i tym podobnych. Cóż na to poradzić! Nie możemy inaczej: gdyż na tem właśnie polegają nowe nasze poglądy. Przekonaliśmy się, iż co do wszystkich zasadniczych sądów moralnych w Europie a także w krajach wpływowi europejskiemu podległych panuje jednomyślność: wiadomo widocznie w Europie, o czem Sokrates podobno nie wiedział, a czego ów dawny słynny wąż przyrzekał ongi nauczyć, — »wiadomo« dzisiaj, co jest dobro i zło. Otóż brzmi snadź niemile i razi uszy, gdy upieramy się wciąż przy swojem; to, co

ma być rzekomo wiadomem, co wysławia siebie własną swą chwalbą i naganą, co przyznaje sobie słuszność, jest instynktem zwierzęcia stadnego człowieka; instynkt ten wziął i bierze coraz bardziej górę i przewagę nad innymi instynktami w miarę jak się wzmaga fizyologiczne zbliżenie i upodobnienie, którego jest objawem. Morał w Europie dzisiejszej jest morałem zwierząt stadnych: — zatem, jak my to rozumiemy, li jednym morału ludzkiego rodzajem, obok którego, przed którym, po którym mnogo innych, przedewszystkiem zaś szczytniejszych morałów jest możliwych lub możliwymi być winny. Przed tą »możliwością«, przed owem »winny« broni się atoli morał ten wszystkiemi siłami: twierdzi zawzięcie i nieubłaganie »jam jest morałem, okrom mnie morału niemasz!« — ba, przy pomocy religii, która czyniła zadość i schlebiała najsubtelniejszym zwierzęcia stadnego żądzom, doszło do tego, iż z coraz widoczniejszymi morału tego objawami spotykamy się nawet w urządzeniach politycznych i społecznych: prąd demokratyczny jest spuścizną prądu chrześciańskiego. Że atoli *tempo* jego niecierpliwszym, schorzałym i kalekim okazom wymienionego instynktu zda się zbyt jeszcze powolnem i ospałem, świadczą o tem coraz wścieklejsze wycia, coraz jawniejsze zgrzytania psów anarchistycznych, tułających się po zaułkach kultury europejskiej: zasadniczo na pozór różnych od pokojowo-pracowitych demokratów i ideologów rewolucyjnych, zaś więcej jeszcze od matołkowatych pseudofilozofów i wyznawców braterstwa, którzy zwą siebie socyalistami i mają na celu »wolne społeczeństwo«; w istocie jednak zgodnych z nimi wszystkimi w zakorzenionej i in-

stynktownej wrogości względem każdego innego ustroju społecznego krom samorządu stadnego (aż do odrzucenia nawet pojęć »pan« i »sługa« — *ni dieu ni maître* socyalistyczna opiewa formuła —); zgodnych w zaciętem zwalczaniu każdego udzielnego uroszczenia, każdego udzielnego prawa i przywileju (co w istocie znaczy, każdego prawa: bowiem, gdy wszyscy równi, nikomu »prawa« potrzebne już nie są —); zgodnych w niedowierzaniu karzącej sprawiedliwości (jak gdyby była pokrzywdzeniem słabszego, bezprawiem na koniecznem następstwie całego dawniejszego społeczeństwa —); niemniej atoli zgodnych w religii litości, we współczuciu dla wszystkiego, co jeno czuje, żywie i cierpi (w dół aż do zwierzęcia, w górę aż do »Boga«: — rozpasanie »współczucia dla Boga« jest właściwością epoki demokratycznej —); zgodnych społem w wyrzekaniach i niecierpliwości współczucia, w śmiertelnej nienawiści do cierpienia wogóle, w kobiecej niemal niezdolności, by wytrwać przytem w roli widza, by módz na cierpienia pozwolić; zgodnych w niedobrowolnem sposępnieniu i przedelikaceniu, które zagrażają snadź Europie powstaniem jakiegoś nowego buddyzmu; zgodnie wierzących w morał pospólnego współczucia, jak gdyby był on sam w sobie morałem, jak gdyby był wyżyną, osiągniętą wyżyną człowieka, wyłączną nadzieją przyszłości, pociechą teraźniejszości, wielkiem zmazaniem wszystkich win dawniejszych; zgodnie wierzących w społeczność jako odkupicielkę, zatem w stado, w »siebie«...

202.

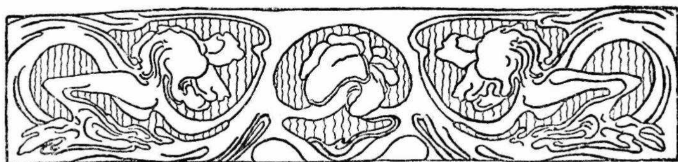
My, innej wiary wyznawcy —, my, dla których ruch demokratyczny jest nie tylko objawem rozkładu organizacyi politycznej, lecz także objawem upadku, mianowicie umniejszenia człowieka, polegającego na zmiernieniu i obniżeniu jego wartości: na czem-że my musimy nasze pokładać nadzieje? — Na nowych filozofach, niema innego wyboru; na duchach krzepkich i pierwotnych o tyle, by dały pobudkę do wręcz przeciwnych osądów wartości, by »wartości wiekuiste« przemianowały, odwróciły; na prekursorach, na ludziach przyszłości, którzy w teraźniejszości zadzierzgną węzły i zmuszą wolę tysiącleci, żeby po nowych toczyła się torach. Wpoić w człowieka przekonanie, iż przyszłość człowieka na jego polega woli, od woli ludzkiej jest zależna, oraz przygotować wielkie porywy i zbiorowe usiłowania celem hodowli i karności, by w ten sposób położyć kres straszliwemu panowaniu niedorzeczności i przypadkowości »historyą« zwanemu dotychczas, — niedorzeczność »największej liczby« jest jeno ostatnią jej formą — : do tego będzie kiedyś wreszcie potrzebny nowy rodzaj filozofów i rozkazodawców, wobec którego zbledną snadź i skarleją wszystkie skryte, straszliwe i dobrotliwe duchy, które istniały dotychczas na ziemi. Obraz takich wodzów majaczy oczom naszym: — mogęż to głośno powiedzieć, wy wolne duchy? Okoliczności, które celem ich powstania należałoby częścią stworzyć, częścią wyzyskać; domyślne drogi i próby, dzięki którym wzmogłaby się dusza do takiej potęgi i wyżyny, iżby czuła się zniewoloną do podjęcia takich zadań; odwrócenie wartości, pod

których nowem parciem i młotem nabrałoby sumienie hartu stali, serce, by znieść brzemię takiej odpowiedzialności, przemieniłoby się w spiż; z drugiej zaś strony konieczność takich wodzów, zastraszające niebezpieczeństwo, iż mogą nie zjawić się lub się nie udać i zwyrodnieć — oto nam właściwe troski i zasępienia, wiecie-li o tem, wy wolne duchy? oto bolesne odległe myśli i nawałnice, po życia naszego niebiosach przeciągające. Niema snadź bardziej dojmującego bólu, jak kiedy się dojrzy, odgadnie, przeczuje, iż człowiek niepospolity zwyrodniał i ze swej kolei wytrącony został: czyj wszakże niezwykły wzrok ogarnia powszechne niebezpieczeństwo zwyrodnienia samegoż »człowieka«, kto, jak my, poznał potworną przypadkowość, która uczyniła sobie igraszkę z przyszłości człowieka, — igraszkę bez współudziału ręki niczyjej, ni nawet »palca bożego!« — kto odgadnie fatalność, utajoną w idyotycznem niedbalstwie oraz błogiej ufności »nowoczesnych idej«, zaś więcej jeszcze w całym chrześciańsko europejskim morale: tego przenika trwoga, której niemasz równej, — toć obejmuje jednym rzutem oka, coby to, przy pomyślnem skupieniu i spotęgowaniu sił i zadań, dało się jeszcze wychować z człowieka, wie całą swego sumienia wiedzą, jak niewyczerpanym jest jeszcze człowiek w największe możliwości, jak często typ człowieczy stawał już na rozdrożu tajnych rozstrzygnięć i nowych dróg: — z własnych zaś przebolesnych wspomnień wie jeszcze lepiej, na jakich marnych rzeczach kruszyły się dotychczas zazwyczaj, obłamywały, opadały, nikczemniały stawania się najgórniejszego rzędu. Zbiorowe zwyrodnienie człowieka aż do tego, co dzisiejszym

matołkom i kpom socyalistycznym zda się ich »człowiekiem przyszłości«, — jest ich ideałem! — zwyrodnienie to i umniejszenie człowieka do rzędu zupełnego zwierzęcia stadnego (lub, jak powiadają oni, do rzędu członka »wolnego społeczeństwa«), zezwierzęcenie człowieka do karłowatości równych praw i uroszczeń jest m o ż l i w e, to nie ulega wątpliwości! Komu zdarzyło się możliwość tę przemyśleć do ostatka, ten poznał o jeden wstręt więcej od innych ludzi, — i snadź także nowe z a d a n i e!

ROZDZIAŁ IV.

MY UCZENI



203.

Bez względu na niebezpieczeństwo, iż moralizowanie i tu okaże się tem, czem bywało zawsze — mianowicie nieulęknionem *montrer ses plaies,* wedle Balzac'a, — odważyłbym się wystąpić przeciw nieprzystojnemu i szkodliwemu przesunięciu dostojeństwa między wiedzą a filozofią, które niestety, całkiem niepostrzeżenie i ni to z najczystszem dokonywa się obecnie sumieniem. Mojem zdaniem, na podstawie swego d o ś w i a d c z e n i a — nie oznaczaż doświadczenie, jak mi się zdaje, zawsze przykrego doświadczenia? — należy mieć prawo do zabierania głosu o takich górniejszych dostojeństwa sprawach: by nie mówić jak ślepy o kolorach lub jak kobiety i artyści p r z e c i w k o wiedzy (»ach ta niedobra wiedza, wzdycha ich wstyd i instynkt, zawsze się d o m y ś l i!«). — Obwołanie niezależności naukowego człowieka, jego zerwanie z filozofią jest jednem ze subtelniejszych oddziaływań demokratycznego ładu i nieładu rzeczy: samo-ubóstwienie i samo przecenienie uczonego jest dziś wszędzie w pełnym rozkwicie i święci swe wiosenne gody, — co nie znaczy jeszcze, by samochwalstwo w tym wypadku nazbyt było wonne.

»Precz ze wszystkimi panami!« — oto, czego i tu także chce gminny instynkt; wiedza, obroniwszy się szczęśliwie przed teologią, której »służebnicą« była zbyt długo z całem zuchwalstwem i nierozumem dąży obecnie do tego, by filozofii narzucić prawa, by ze swej także strony odegrać wreszcie rolę »pana« — co mówię! filozofa. Pamięć moja — za pozwoleniem, pamięć naukowego człowieka! — roi się od naiwnostek pychy, zasłyszanych przeze mnie o filozofii i filozofach od młodych przyrodników i starych lekarzy (nie mówiąc już o najwykształceńszych i najzarozumialszych ze wszystkich uczonych, o filologach i bakałarzach, którzy z zawodu są jednem i drugiem —). Raz był to specyalista i mól uczony, który instynktownie stawał okoniem przeciw wszystkim wogóle syntetycznym zadaniom i zdolnościom; innym razem skrzętny wyrobnik, którego zaleciała woń *otium* i dostojnej zbytkowności w duchowem gospodarstwie filozofa, więc czuł się tem pokrzywdzonym i umniejszonym. Niekiedy była to ślepota na barwy, właściwa zwolennikowi pożyteczności, co we filozofii nic więcej nie widzi okrom szeregu obalonych systemów oraz rozrzutnego wysiłku, »nie przynoszącego nikomu pożytku«. To znów odzywała się trwoga przed zakapturzoną mistyką i sprostowaniem granic poznawania: albo lekceważenie tego lub owego filozofa, uogólnione mimowolnie do lekceważenia filozofii. Naostatek u młodych uczonych, poza wyniosłem pomiataniem filozofią, znajdowałem najczęściej szkodliwe oddziaływanie któregoś z samych-że filozofów, któremu wypowiedziano co do całości posłuszeństwo, nie wyłamawszy się jednakże z pod zaklęcia jego pogardliwego osądu innych filozofów: — wynikiem

zaś było ogólne rozczarowanie się do całej filozofii. (Tego rodzaju zda mi się naprzykład oddziaływanie Schopenhauera na najnowsze Niemcy: — swą nieinteligentną względem Hegla zaciekłością doprowadził do tego, iż całe ostatnie pokolenie niemieckie zerwało łączność z kulturą niemiecką, acz ta kultura, wszystko dobrze zważywszy, posiadała górność oraz wieszczą historycznego zmysłu subtelność: atoli sam Schopenhauer był na tym właśnie punkcie do genialności ubogi, niewrażliwy, nie niemiecki). Naogół, w całkowitym obrachunku, przedewszystkiem czynniki ludzkie, arcyludzkie, słowem własna nowszych filozofów małość najważniejszą snadź była przyczyną, iż cześć dla filozofii podupadła i wtargnęły do niej instynkty gminne. Wyznajmyż przed sobą, jak bardzo naszemu nowoczesnemu światu zbywa na ludziach w rodzaju Heraklitów, Platonów, Empedoklesów i jak tam wszystkim tym królewskim wspaniałym pustelnikom ducha było na imię; słusznie więc wobec takich przedstawicieli filozofii, którzy dziś, dzięki modzie, wodzą rej w górze jak u dołu — w Niemczech naprzykład oba lwy berlińskie, anarchista Eugeniusz Dühring i amalgamista Edward von Hartmann —, dzielny człowiek nauki może się poczuwać do wyższego dostojeństwa i pochodzenia. W szczególności widok owych mętnogłowych filozofów, zwących siebie »filozofami rzeczywistości« lub »pozytywistami«, zdolen jest wzbudzić w duszy młodego ambitnego uczonego groźną nieufność; toć oni w najlepszym razie sami są uczonymi i specyalistami, to leży jak na dłoni! — toć oni są zwyciężonymi i do jarzma wiedzy znów wprzągniętymi, acz kiedyś tam żądali więcej od siebie, do

tego »więcej« i do swej odpowiedzialności nie mając prawa — teraz zaś godnie, mściwie, zawzięcie szerzą niewiarę słowem i czynem w władcze zadania i dostojeństwo filozofii. Ostatecznie: jakżeby mogło być inaczej! Wiedza dziś kwitnie i plonów swych ze spokojnem oczekiwać może sumieniem, to zaś, na co zeszła zwolna cała nowsza filozofia, ten dzisiejszej filozofii szczątek budzi nieufność i niechęć, jeżeli nie szyderstwo i współczucie. Filozofia zredukowana do »teoryi poznania«, w istocie niewięcej niż lękliwa epokistyka i o powściągliwości nauka: filozofia, która nie przekracza nawet progu i uparcie wzbrania sobie prawa wstępu — to filozofia, dogorywająca, to kres, to agonia, coś, co współczucie budzi. Jakżeby filozofia taka mogła — panować!

204.

Niebezpieczeństwa, zagrażające rozwojowi filozofa, są dziś istotnie tak różnorodne, iż wątpić by można, czy owoc ten wogóle dojrzeć jeszcze może. Zakres i rusztowanie wiedzy rozrosły się do nieskończoności, a tem samem także prawdopodobieństwo, iż filozof już w okresie uczenia się gdzieś się zatrzyma i »wyspecyalizuje«: nie dojdzie już zatem na swą wyżynę, mianowicie do przeglądu, rozglądu, spoglądu. Lub dojdzie tam po niewczasie, kiedy najlepsza pora i siły jego już przeminą; albo tak sterany, zgrubiały, zwyrodniały, iż pogląd jego, jego ogólny wartości osąd niewielką będzie miał już wartość, Właśnie subtelność intelektualnego jego su-

mienia zmusza go snadź zwlekać i opóźniać się w drodze; boi się zostać dyletantem, wszystkowiedkiem i wszystkoczujkiem, wie aż nadto dobrze, iż ktoś, co postradaj cześć dla siebie samego, w poznawaniu także już nie rozkazuje, także już nie przewodniczy: toć inaczej pragnąłby snadź zostać filozoficznym Cagliostrem i poławiaczem duchów, słowem uwodzicielem. Jest to ostatecznie rzeczą smaku: gdyby nawet nie było rzeczą sumienia. Zaś i to jeszcze zwiększa w dwójnasób trudności filozofa, iż żąda on od siebie sądu, jakiegoś tak lub nie, nie o umiejętnościach lecz o życiu i wartości życia, — że niechętnie daje wiarę, iż ma do tego sądu prawo lub nawet obowiązek, i drogi do tego prawa i do tej wiary śród najrozleglejszych — snadź najuciążliwszych i najniebezpieczniejszych — zdarzeń życiowych, niejednokrotnie zwlekając, wahając się, milknąc, szukać sobie musi. Istotnie tłum przez długie czasy nie poznawał filozofów i brał ich bądź to za ludzi nauki i idealnych uczonych, bądź też za religijnych odzmysłowionych »odświatowionych« marzycieli i opiłych Bogiem; kiedy zaś chwalą dziś kogoś, iż żyje »mądrze« lub »jak filozof«, to pochwala ta nic więcej niemal nie znaczy, jak »rozsądnie i na uboczu« Mądrość zda się pospólstwu rodzajem ucieczki, środkiem i fortelem, by wyjść cało z niebezpiecznej gry; atoli prawy filozof — nie zdajeż się tak nam, przyjaciele moi? - żyje »niefilozoficznie« i »niemądrze«, przedewszystkiem nierozsądnie i poczuwa się do brzemienia tudzież obowiązku tysiącznych prób i pokuszeń życiowych: — naraża nieustannie siebie, w niebezpieczną wdaje się grę...

205.

W stosunku do geniusza, to znaczy, do istoty, która albo płodzi albo rodzi,— oba te słowa pojęte w najwyższym ich zakresie —, uczony, naukowy pospolitak ma zawsze coś ze starej panny: gdyż, podobnie jak ona, nie zna się na obu tych najcenniejszych zadaniach człowieka. Jakoż jednym i drugim, uczonym i starym pannom, przyznaje się, ni to odszkodowanie, szanowność, podkreśla się w tych razach szanowność — i na dnie tego wymuszonego przyznania ma się w dodatku jednaki osad niesmaku. Przyjrzyjmyż się dokładniej: czem-że jest człowiek nauki? Najpierw niedostojnym rodzajem człowieka, z cnotami niedostojnego, to znaczy, nie władającego, nie autorytatywnego, a także nie wystarczającego sobie rodzaju człowieka: posiada pracowitość, zdolność cierpliwego stawania do szeregu, równomierność i miarę w tem, co może i czego wymaga, posiada instynkt równościowy oraz zmysł tego, czego równy jemu potrzebuje, naprzykład owej cząstki niezależności i zielonego pastwiska, bez której pracować spokojnie nie można, rości sobie prawo do zaszczytów, do uznania (którego najpierwszym i najcelniejszym warunkiem jest przystępność, łatwość poznania —), do aureoli dobrego imienia, do ustawicznego stwierdzania swej wartości i swej pożyteczności, którem wewnętrzną nieufność, leżącą na dnie serca wszystkich ludzi zależnych i zwierząt stadnych, wciąż zwalczać potrzeba. Uczony ma także, rzecz prosta, choroby i narowy niedostojnego człowieka: jest pełen małostkowej zawiści, ma oko ostrowidza na przywary natur, na których wyżyny wzbić się mu nie

dano. Jest ufny, atoli jeno jak człowiek, co płynie z prądem, ale sam prądem nie jest; i właśnie wobec człowieka wielkiego prądu staje się tem chłodniejszym i skrytszym — oko jego bywa wtedy jak gładkie odrażające jezioro, w którem żaden zachwyt, żadne współczucie już się nie zwierciedli. Najgorsze i najniebezpieczniejsze rzeczy, do których uczony jest zdolny, wynikają z właściwego rodzajowi jego instynktu mierności: z owego jezuityzmu mierności, który instynktownie przykłada rękę do zagłady niezwyczajnego człowieka i pragnie każdy napięty łuk złamać lub — bardziej jeszcze! — zwolnić. Zwolnić mianowicie oględnie, dobrotliwą naturalnie dłonią —, z życzliwem zwolnić współczuciem: na tem się zasadza właściwa sztuka jezuityzmu, który umiał zawsze zalecić siebie jako religię współczucia.

206.

Mimo całej powinnej przedmiotowemu duchowi wdzięczności, — bo i komużby wszystko podmiotowe oraz jego przeklęta ipsissimozytatywność nie stanęły już kością w gardle! — trzeba jednakże stać się w końcu przezornym względem swej wdzięczności i ukrócić przesadę, z jaką sławi się od niedawna wyzucie ducha z samoistności, z indywidualności, gdyby cel sam w sobie, gdyby zbawienie i wniebowzięcie: jak to dziać się zwykło w szkole pessymistycznej, której jużcić nie zbywa na powodach, by oddawać najwyższą cześć »bezinteresownemu poznaniu«. Człowiek przedmiotowy, który, wzorem pessy-

misty, nie klnie już i nie złorzeczy, w którym instynkt naukowy po tysiąckrotnem całkowitem i połowicznem niepowodzeniu dosięgnie wreszcie swego wykwitu i rozkwitu, jest niewątpliwie jednem z najcenniejszych, jakie istnieją, narzędzi: ale w ręku potężniejszego. Jest on jeno narzędziem, powiedzmy: *zwierciadłem*, — nie zaś »celem samym w sobie«. Człowiek przedmiotowy jest istotnie zwierciadłem: wobec wszystkiego, co daje się poznać, do uniżoności przywykły, wszelkiej innej rozkoszy próżen, krom tej, jaką daje poznawanie, »odzwierciadlanie«,— czeka, aż coś przyjdzie, i rozpościera się następnie delikatnie, by lekkie nawet ślady i muskania widziadlanych istot nie zatraciły się na jego skórze i powierzchni. To, co w nim »z osoby« pozostało jeszcze, zda się mu przypadkowem, często dowolnem, częściej przeszkodą: tak dalece stał się dla siebie samego cudzych kształtów i zdarzeń przejściem i odbiciem. Przypomina »się« sobie z wysiłkiem, nierzadko fałszywie; z łatwością bierze siebie za kogoś innego, myli się co do swych własnych potrzeb i w tem jedynie jest niesubtelny i niedbały. Zapadnie-li na zdrowiu, dolega mu ciasnota i małostkowość żony i przyjaciela, lub brak towarzyszy i towarzystwa, — więc zmusza siebie do rozmyślań nad swemi troskami: daremnie! Myśl jego pierzchła już do *ogólniejszego* wypadku, zaś nazajutrz znów nie będzie wiedział, jak przyjść mu z pomocą. Zatracił poczucie siebie, także poczucie czasu: jest wesoły *nie* dla braku trosk, lecz dla braku palców i zdolności ujęcia *swych* trosk. Nawykowa uległość względem każdej rzeczy i zdarzenia życiowego, słoneczna i niebaczna gościnność, z jaką wszystko wita, co mu się

przygodzi, właściwa mu nieoględna życzliwość, niebezpieczna niedbałość o tak lub nie: ach, zdarza się często, że te cnoty odpokutować musi! — zaś jako człowiek bywa wogóle aż nazbyt łacno cnót tych *caput mortuum*. Żąda-li się odeń miłości i nienawiści, mam na myśli miłości i nienawiści jak ją pojmują bogi, kobiety i zwierzęta: — to uczyni, co może, i da, co może. Atoli nie trzeba się dziwić, że jest tego niewiele, — gdyż w tem właśnie okazuje się nieszczerym, kruchym, zagadkowym i zbutwiałym. Miłość jego jest wymuszona, jego nienawiść sztuczna i przedstawia się raczej jako *tour de force,* jako próżnostka i przesada. O tyle jeno jest szczery, o ile przedmiotowym być może: jedynie w pogodnym swym totalizmie jest jeszcze »naturalny«, jeszcze »naturą«. Jego zwierciedląca się i wiekuiście wygładzająca dusza nie umie już twierdzić, ni przeczyć: nie rozkazuje i nie burzy niczego. »*Je ne méprise presque rien*« — powiada za Leibniz'em: nie przesłyszmyż i nie lekceważmyż tego *presque!* Nie jest też człowiekiem wzorowym; nie wyprzedza nikogo, nie zdąża za nikim; stoi wogóle za daleko, by miał powód wybierać między złem a dobrem. Biorąc go tak długo za filozofa, za cezarowego siewcę i mocarza kultury, za wiele okazywano mu czci i przeoczono, co w nim najistotniejsze, — jest on narzędziem, potrosze niewolnikiem, acz niewątpliwie najdoskonalszym rodzajem niewolnika, sam w sobie zaś niczem — *presque rien!* Człowiek przedmiotowy jest narzędziem, drogocennem, łatwo się psującem i mętniejącem narzędziem mierniczem oraz cackiem zwierciadlanem, którego należy szczędzić i szanować; lecz nie jest celem, nie jest wylotem i wzlo-

tem, nie jest człowiekiem koronującym, którym reszta bytu się usprawiedliwia, nie jest kresem — a tem mniej początkiem, poczęciem i pierwszą przyczyną, czemś krzepkiem, potężnem, na sobie wspartem, co chce panować: raczej jeno kruchą, wydętą, delikatną, ruchliwą formą glinianą, co na jakąś treść i zawartość wprzód czekać musi, by się następnie według niej »ukształtować», — zazwyczaj człowiekiem bez treści i zawartości, człowiekiem »niesamoistnym«. Niczem więc też dla kobiet, *in parenthesi.*

207.

Kiedy filozof daje dziś do zrozumienia, iż nie jest sceptykiem, — czytelnik, mam nadzieję, wyczuł to z co tylko nakreślonego opisu przedmiotowego ducha? — to cały świat słucha go niechętnie; ludzie patrzą nań z niejaką bojaźnią, o tyle rzeczy radziby spytać, spytać... zaś śród lękliwych słuchaczów, których obecnie tak wielu jest w tłumie, zwie się on odtąd niebezpiecznym. Zda się im, iż obalając sceptycyzm, budzi wdali jakieś groźne, niedobre szmery, jakby próbowano gdzieś nowego materyału wybuchowego, dynamitu duchowego, może nowo odkrytej rosyjskiej nihiliny, pessymizmu *bonae voluntatis,* który nie tylko przeczy, przeczenia pragnie, lecz także — okropna myśl! — przeczenie w czyn wprowadza. Na ten rodzaj »dobrej woli« — woli rzeczywistego czynnego zaprzeczenia życia — niema dziś wedle powszechnego uznania lepszego środka uspokajającego i nasennego od sceptycyzmu, łagodnego przyjemnego do drzemki usposabiającego maku scepty-

cyzmu; na »ducha« oraz jego podziemne wichrzenia zapisują lekarze epoki nawet Hamleta. »Nie pełneż już uszy nasze niedobrych szmerów? powiada sceptyk, ten miłośnik spokoju i w swoim rodzaju nieledwie stróż bezpieczeństwa: to podziemne nie jest okropne! Uciszcież się wreszcie, wy pessymistyczne krety!« Sceptyk bowiem, delikatna ta istota, trwoży się nader łatwo; przy każdem nie, a nawet już przy każdem stanowczem twardem tak sumienie jego wzdryga się nawykowo i uczuwa coś gdyby ukąszenie. Tak! i Nie! — sprzeciwia się to jego morałowi; naodwrót lubi ze szlachetną powściągliwością święcić gody swej cnoty, powiadając naprzykład za Montaigne'm: »cóż ja wiem?« Lub za Sokratesem: »wiem, iż nic nie wiem«. Albo: »tu niedowierzam sobie, tu żadne drzwi nie stoją przede mną otworem«. Albo: »dajmy na to, iż stałyby otworem, czemuż zaraz wchodzić?« Albo: »na co się zdały wszystkie przedwczesne hypotezy? Nie stawiać zgoła żadnych hypotez jest niemal oznaką dobrego smaku. Trzebaż koniecznie wszystko krzywe prostować zaraz? Zatykać każdą dziurę jakiemiś pakułami? Niedość-że na to czasu? Niemaż czas czasu? Oh, wy dyable syny, nie możecież poczekać? Niepewność ma także swój czar, Sfinks jest także czarodziejką Cyrce, Cyrce była także filozofką«. — Tak pociesza się sceptyk; to prawda, że potrzeba mu niejakiej pociechy. Sceptycyzm bowiem jest najuduchowieńszym wyrazem pewnej nader złożonej właściwości fizyologicznej, którą w zwyczajnym języku zwie się wątłością i słabowitością nerwową; powstaje ona za każdym razem, ilekroć przez długi czas oddzielone od siebie stany lub rasy nagle i zupełnie się pokrzyżują. W nowem

pokoleniu, któremu drogą dziedziczności przeszły w krew gdyby rozmaite miary i osądy, wszystko jest niepokojem, zaburzeniem, wątpieniem, próbą; najlepsze siły działają hamująco, cnoty nawet przeszkadzają sobie wzajem w rozroście i spotężnieniu, w ciele i duszy brak równowagi, ośrodka ciężkości, pewności w wahnieniach. Co wszakże w mieszańcach takich najbardziej chorzeje i wyrodnieje, to wola: nie znają już niezależności w postanowieniach, rzeźkiego uczucia rozkoszy w chceniu, — w snach nawet wątpią o »wolności woli«. Nasza Europa dzisiejsza, widownia bezmyślnych nagłych prób rdzennego pokrzyżowania stanów a więc i ras także, jest zatem sceptyczna od góry do dołu, raz owym ruchliwym sceptycyzmem, przeskakującym niecierpliwie i pożądliwie z gałęzi na gałąź, to znów ponurym ni to pytajnikami brzemienna chmura, — i woli swej nieraz śmiertelnie sytem! Bezwład woli: gdzie też nie dotarło już dzisiaj to kalectwo! I do tego jak wystrojone nieraz! Jak kusząco wystrojone! Dla choroby tej istnieją najpiękniejsze stroiki i kłamliwe osłonki; i że większość tego, co naprzykład jako »przedmiotowość«, »naukowość«, *»l'art pour l'art«,* »czyste, z wolnej woli poczęte poznanie« wystawia się dzisiaj na widok publiczny, jest jeno wystrojonym sceptycyzmem i bezwładem woli, — za to europejskiej choroby rozpoznanie poręczyć jestem gotów. — Choroba woli nierównomiernie rozpostarła się w Europie: najsilniej i najróżnorodniej przejawia się tam, gdzie kultura zakorzeniła się już oddawna, zanika zaś w miarę tego, o ile pod sutym zachodniego wykształcenia płaszczem kryje się jeszcze — lub znów — »barbarzyniec«. Zatem we Francyi dzisiejszej, jak to

łacno zmiarkować i dłońmi wyczuć, chorzeje wola najciężej; a Francya, która celowała zawsze w mistrzowskiej umiejętności przetwarzania najfatalniejszych nawet przejawów ducha swego w czar i ponętę, jako szkoła i wystawa wszystkich uroków sceptycyzmu okazuje dziś w całej pełni swą przewagę kulturalną nad Europą. Siła woli, mianowicie długiego jednej woli trwania, jest już nieco krzepsza w Niemczech, w północnych zaś Niemczech krzepsza znów niż w środkowych; znacznie krzepsza w Anglii, Hiszpanii i na Korsyce, tam dzięki flegmie, tu zaś ciasnej głowie, — nie mówiąc już o Włoszech, które są za młode, by wiedziały, czego chcą, i które dowieść muszą dopiero, czy mogą chcieć, — ale najkrzepsza i najbardziej zdumiewająca na owych olbrzymich rozłogach, gdzie Europa ni to przelewa się do Azyi, w Rosyi. Tam siła woli gromadzi się i przybiera oddawna, tam czeka groźnie wola — niepewna, czy przejawi się jako wola zaprzeczenia lub potwierdzenia — swego wyładowania, wyrażając się zapożyczonem u fizyków dzisiejszych, ulubionem ich słowem. Nie tylko wojny indyjskie i zatargi azyatyckie uwolnić mogą Europę od największego jej niebezpieczeństwa, lecz także przewroty wewnętrzne, rozbicie się państwa na mniejsze całostki, zaś przedewszystkiem zaprowadzenie parlamentarnego idyotyzmu z dodatkowem zobowiązaniem, by każdy czytał przy śniadaniu swój dziennik. Nie jest to bynajmniej mojem życzeniem: coś wręcz przeciwnego przypadłoby mi raczej do serca, — mam na myśli taki wzrost grozy, by Europa musiała także stać się groźną, mianowicie z pomocą nowej Europą władającej kasty, jedną powziąć wolę, długotrwałą straszliwą jedyną wolę,

zdolną wytknąć sobie cele na całe tysiąclecia: — iżby przewlekła komedya europejskiej drobnopań-stewkowości oraz dynastycznych i demokratycznych zachcianek dobiegła wreszcie do końca. Okres małej polityki przeminął: najbliższe już stulecie przyniesie walkę o panowanie nad światem, — przymus do wielkiej polityki.

208.

O ile nowa wojownicza epoka, co dla nas europejczyków widocznie już nastała, sprzyjać snadź będzie także rozwojowi innego i krzepszego sceptycyzmu, chciałbym to na razie określić przypowieścią, którą miłośnicy historyi niemieckiej zapewne zrozumieją. Ów nieoględny wielbiciel pięknych rosłych grenadyerów, co, jako król pruski, dał początek żołnierskiemu i sceptycznemu geniuszowi — zatem w istocie owemu nowemu, teraz właśnie zwycięsko wyłaniającemu się typowi niemieckiemu — zagadkowy szalony ojciec Fryderyka Wielkiego miał sam w pewnym względzie szczęśliwy szpon i chwyt geniuszu: wiedział, na czem ówczesnym zbywało Niemcom i co za niedostatek stokroć był groźniejszy i pilniejszy, niźli snadź brak wykształcenia oraz form towarzyskich, — jego niechęć do młodego Fryderyka wynikała z trwogi głębokiego instynktu. Mężów nie było; i ku swej najgłębszej podejrzy wał goryczy, iż własny syn jego niedość jest mężem. Co do tego mylił się: lecz któżby nie był się pomylił na jego miejscu? Widział, iż syn jego popada w ateizm,

w *esprit*, w rozkoszne używanie życia dowcipnych Francuzów: — widział w głębi wielkiego upiora, pająka sceptycyzmu, domyślał się nieuleczalnej nędzy serca, co do złego jak i dobrego niedość jest już twarde, złamanej woli, która już nie rozkazuje, rozkazywać nie może. Atoli w jego synu rozwijał się tymczasem ów niebezpieczniejszy i twardszy, nowy rodzaj sceptycyzmu — kto wie, o ile wywołany właśnie nienawiścią ojcowską oraz lodowatą osamotnionej woli melancholią? — sceptycyzm zuchwałej męskości, co najbliżej jest spokrewniony z geniuszem wojskowym i zdobywczym i w osobie Fryderyka Wielkiego po raz pierwszy pojawił się w Europie. Sceptycyzm ten gardzi a jednak porywa ku sobie; podkopuje i zabiera na własność; nie wierzy, ale nie gubi się przytem; daje duchowi niebezpieczną swobodę, ale sercu nie puszcza wodzów; jest to niemiecka forma sceptycyzmu, co, jako rozwinięty i przeduchowiony fryderycyanizm, ugięła Europę na czas dłuższy pod panowanie niemieckiego ducha oraz jego krytycznej i historycznej nieufności. Dzięki niepokonanie krzepkiej i wytrwałej męskości wielkich niemieckich filologów i krytyków historycznych (którzy, we właściwem świetle widziani, wszyscy byli zarazem artystami rozstroju i rozkładu) ustaliło się zwolna i mimo całej romantyki w muzyce i filozofii nowe niemieckiego ducha pojęcie, w którem zaznaczyła się wybitnie skłonność do męskiego sceptycyzmu: bądź to naprzykład jako nieustraszoność spojrzenia, jako dzielność i surowość rozkładającej dłoni, bądź też jako uparte pragnienie niebezpiecznych podróży odkrywczych, przeduchowionych wypraw podbiegunowych pod złowrogiemi i pustynnemi niebio-

sami. Nie bez powodu snadź gorący i powierzchowni rzecznicy ludzkości żegnają się przed tym duchem: *cet esprit fataliste, ironique, méphistophélique* zwie go, nie bez drżenia, Michelet. By odczuć atoli, jakiem wyróżnieniem jest ta trwoga przed »mężem« w duchu niemieckim, który obudził Europę z jej »dogmatycznej drzemki«, przypomnijmy sobie dawniejsze pojęcie, co musiało uledz w walce z nowszem, — oraz iż nie tak to jeszcze dawno zmężczyźniona kobieta z bezgraniczną zarozumiałością śmiała polecać Niemców współczuciu Europy jako łagodnych, dobrodusznych, poetycznych, o chorej woli matołków. Zrozumiejmyż wreszcie do głębi zdumienie Napoleona, gdy ujrzał Goethego: świadczy ono, jak przez długie stulecia wyobrażano sobie »niemieckiego ducha«. »*Voilà un homme!*«. — miało to znaczyć: »ależ to mąż! A ja spodziewałem się tylko Niemca!«. —

209.

Jeżeli przypuścimy zatem, iż w obrazie filozofów przyszłości rys jakiś nasunie domysł, czy nie muszą być sceptykami w wyłuszczonem co tylko znaczeniu, to jednak określałby on tylko jakąś ich właściwość — nie zaś ich samych. Z równą słusznością mogliby zwać się krytykami; i to pewna, że będą ludźmi eksperymentów. Mianem, kórem ochrzcić ich się ośmieliłem, podkreśliłem już wyraźnie doświadczanie i chęć do doświadczeń: nie stałoż się to dlatego, iż jako krytycy duszą i ciałem, eksperymentem posługiwać się lubią w nowem, snadź szerszem, snadź

niebezpieczniejszem znaczeniu? Nie musząż, parci namiętną żądzą poznania, posuwać się w swych zuchwałych i bolesnych doświadczeniach dalej, niźli na to pozwala miękki i przedelikacony smak demokratycznego stulecia? — Nie ulega to wątpliwości: ci nadchodzący żadną miarą nie mogą się obyć bez owych poważnych i nawet złowrogich właściwości, które odróżniają krytyka od sceptyka; mam na myśli pewność w mierzeniu wartości, świadome przestrzeganie jedności metody, urągliwą odwagę, możność samodzielności i samo-odpowiedzialności; ba, nie zaprą się rozkoszy przeczenia i ćwiartowania oraz jakiegoś rozważnego okrucieństwa, co zdoła pewnie i subtelnie pokierować nożem wtedy nawet, gdy się kraje serce. Będą surowsi (i snadź niezawsze jeno względem siebie), niżby życzyli sobie humanitarni ludzie, nie będą wdawali się z »prawdą«, by im »się podobała« lub ich »podnosiła« i »budziła« w nich »natchnienie«: — raczej niezbyt będą dawali wiarę, by właśnie prawda darzyła uczucie takiemi rozrywkami. Uśmiechną się surowe te duchy, gdy ktoś wobec nich rzecze: »ta myśl podnosi mnie: jakżeby mogła być nieprawdziwą?« Lub: »to dzieło zachwyca mnie: jakżeby mogło nie być pięknem?« Albo: »ten artysta wywyższa mnie: jakżeby mógł nie być wzniosłym?« — a może nie tylko uśmiech, lecz nawet niekłamany wstręt będą mieli na odparcie wszystkich tego rodzaju mrzonek, idealizmów, feminizmów, hermafrodytyzmów; kto zaś umiałby dotrzeć aż w głąb ich serca, ten napewno nie znalazłby tam chęci pojednania »chrześciańskich uczuć« z »antycznym smakiem«, a zwłaszcza z »nowoczesnym parlamentaryzmem« (tego rodzaju pojednawczość w na-

szem nader niepewnem, zatem nader pojednawczem stuleciu, zdarza się podobno nawet u filozofów). Krytycznej karności oraz wszelkich, wiodących do schludności i surowości w rzeczach ducha nawyknień będą ci filozofowie przyszłości nie tylko wymagali od siebie: snadź chlubić się będą nawet niemi ni to swym rodzajem ozdoby, — mimo to nie zgodzą się, by dlatego zwano ich krytykami. Niepoślednią zda się im obelgą, wyrządzoną filozofii, kiedy dziś z wielką lubością się wyrokuje: »Filozofia nawet jest krytyką i wiedzą krytyczną — ponadto niczem!« Niechaj tej ocenie filozofii przyklaskują wszyscy pozytywiści niemieccy i francuscy (— prawdopodobnie pochlebiłaby ona nawet sercu i smakowi Kanta: dość przypomnieć sobie tytuł głównego jego dzieła —): nowi nasi filozofowie mimo to rzekną: krytycy to narzędzia filozofa i dlatego właśnie, jako narzędzia, bynajmniej filozofami jeszcze nie są. Wielki Chińczyk królewiecki był także jeno wielkim krytykiem.

210.

Żądam, by zaprzestano wreszcie wyrobników filozoficznych tudzież wogóle ludzi nauki uważać za filozofów, — żeby w tem właśnie przestrzegano surowo zasady »każdemu to, co mu się należy« i nie dawano owym za wiele, tym zaś za mało. Być może, iż do wychowania rzeczywistego filozofa jest rzeczą potrzebną, by przebiegł po kolei wszystkie te stopnie, na których słudzy jego, filozofii naukowi wyrobnicy się zatrzymują, — zatrzymać się muszą; snadź winien

on być krytykiem i sceptykiem i dogmatykiem i historykiem zaś ponadto poetą i zbieraczem i podróżnikiem i moralistą i jasnowidzem i »wolnym duchem« i niemal wszystkiem, by zwiedzić cały zakres wartości ludzkich oraz odczuwań wartości, by rozmaitemi oczyma i rozmaitem sumieniem módz patrzeć z wyżyny w każdą dal, z głębi na każdą wyżynę, z cieśni w każdy przestwór. Atoli to wszystko jest jeno warunkiem wstępnym jego zadania: zadanie samo wymaga czegoś innego, — żąda, by tworzył wartości. Owi wyrobnicy filozoficzni, wzorem Kanta i Hegla, winni ten lub ów wielki zasób osądów wartości — to znaczy dawniejszych założeń wartości, wytworów wartości, które przyszły do władzy i przez czas jakiś nosiły miano »prawd« — ustalić i ująć w formuły bądź to w zakresie logicznym lub politycznym (moralnym), bądź też w dziedzinie artystycznej. Zadanie tych badaczy polega na tem, by wszystko dotychczas dokonane i ocenione uwidocznić, udostępnić, ułatwić dla myśli i ręki, żeby wszystko długie, »czas« nawet skrócić i całą przeszłość ujarzmić: olbrzymie to i przedziwne zadanie, napewno mogące zadowolnić każdą szlachetną dumę, każdą wytrwałą wolę. Właściwi zaś filozofowie są rozkazodawcami i prawodawcami: powiadają »tak być winno!« oznaczają dokąd? i poco? człowiecze, posługując się przytem przedwstępnemi pracami wszystkich wyrobników filozoficznych, wszystkich ujarzmicieli przeszłości, — twórczą ręką sięgają w przyszłość, a wszystko, co jest i było, staje się dla nich przytem środkiem, narzędziem, młotem. Ich »poznawanie« jest twórczością, ich twórczość prawodawstwem, ich wola

prawdy — w o l ą m o c y. — Istnieją dziś tacy filozofowie? Istnieliż już tacy filozofowie? Nie m u s z ą tacy filozofowie istnieć?...

211.

Zda mi się coraz bardziej, iż filozof, jako n i e o d z o w n y człowiek jutra i pojutrza, po wszystkie czasy był i być m u s i a ł ze swem d z i s i a j w niezgodzie: wrogiem jego był za każdym razem ideał dzisiejszy. Wszyscy ci nadzwyczajni, zwani filozofami, opiekunowie człowieka, co rzadko uważali siebie za przyjaciół mądrości, raczej za niemiłych trefnisiów i niebezpieczne znaki zapytania —, swe zadanie, swe twarde, niedobrowolne, nieodparte zadanie, naostatek zaś wielkość swego zadania znajdowali dotychczas w tern, iż byli dla swej epoki wyrzutem sumienia. Zatapiając nóż wiwisekcyjny przedewszystkiem w c n o t a c h e p o k i, wyjawiali własną tajemnicę: szukali n o w e j wielkości człowieka, nowej nieudeptanej drogi do wywyższenia tegoż. Za każdym razem wykrywali, jak wiele obłudy, opieszałości, rozluźnienia wodzów i puszczenia wodzów taiło się w najbardziej uwielbianym typie współczesnej im moralności, jak wiele cnoty już się p r z e ż y ł o; za każdym razem powiadali: »dążymy w oddal, hen, gdzie w a m najbardziej dziś obco«. Wobec świata »nowoczesnych idej«, co pragnąłby zagnać każdego w jakiś kąt i »specyalność«, filozof, gdyby filozofowie dziś istnieć mogli, byłby zmuszony właśnie wielkość człowieka, pojęcie »wielkości« włączyć w swą zakresność i wielorakość,

w swą całość w wielości: a nawet wartość i hierarchię oznaczałby wedle tego, ile i jakich brzemion ktoś udźwignąć i wziąć na siebie zdolen, do jakiego stopnia swą odpowiedzialność wytężyć może. Dziś smak epoki i cnoty epoki osłabiają i rozcieńczają wolę i nic tak bardzo współczesnem nie jest, jak słabość woli: zatem do ideału filozofa, w skład pojęcia »wielkości« należeć musi właśnie siła woli, twardość i zdolność do długich postanowień; z tą samą słusznością, z jaką wręcz przeciwna nauka tudzież ideał niedołężnej, zapierającej się siebie, kornej, nie samolubnej ludzkości odpowiadały wręcz odmiennej epoce, co, jak wiek szesnasty, cierpiała na nadmierną energię woli oraz na najdziksze potopy i nawałnice samolubstwa. Za czasów Sokratesa, śród ludzi o wyczerpanym instynkcie, śród zachowawczych dawnych Ateńczyków puszczających sobie wodze — »dla szczęścia«, jak powiadali, dla przyjemności, jak postępowali — a przytem wciąż jeszcze prastaremi świetnemi posługujących się słowami, do których przez swe życie oddawna postradali już prawo, ironia była snadź znamieniem wielkości duszy, owa sokratyczna złośliwa pewność starego lekarza i plebejusza, co bezlitośnie ranił siebie samego oraz duszę i serce »arystokraty« spojrzeniem, mówiącem aż nadto wyraźnie: »nie udawajcie przede mną! tu — wszyscyśmy jednacy!« Dziś natomiast, gdy w Europie jeno zwierzę stadne dostępuje zaszczytów i rozdaje zaszczyty, gdy »równość praw« może nader łacno przedzierzgnąć się w równość bezprawia: chcę rzec, w spólne zwalczanie wszystkiego niezwykłego, niepowszedniego, uprzywilejowanego, szczytniejszego człowieka, szczytniejszej duszy, szczytniejszego obowiązku,

szczytniejszej odpowiedzialności, twórczej pełni i wielmożności mocy — dziś dostojność, pragnienie samoistności, możność wyróżnienia się, mus samodzielności oraz konieczność życia na własną rękę wchodzi w skład pojęcia »wielkości«; zaś filozof wyjawia poniekąd swój własny ideał, gdy oświadcza: »ten jest największy, kto zdoła być najsamotniejszym, najskrytszym, najodrębniejszym, człowiekiem poza dobrem i złem, panem swych cnót, przebogaczem woli; na tem właśnie polega wielkość, iż umie się być zarówno złożonym jak całym, zarówno przestronnym jak pełnym«. I pytam raz jeszcze: jestże dziś — wielkość możliwą?

212.

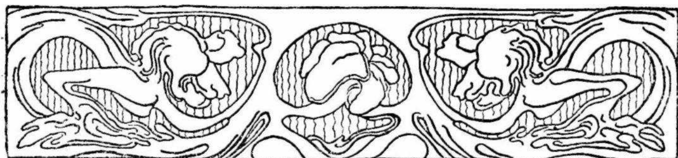
Co to jest filozof, trudno dlatego się dowiedzieć, iż nauczyć tego nie można: trzeba to »wiedzieć« z doświadczenia, — lub być o tyle dumnym, by nie wiedzieć wcale. Dziś wszakże, kiedy wszyscy rozprawiają o rzeczach, których doświadczyć zgoła nie mogli, najczęściej i najgorzej daje się to we znaki filozofom oraz stanom filozoficznym: — najnieliczniejsi znają je, znać je mogą, a wszystkie popularne sądy o nich są fałszywe. Tak naprzykład, owego iście filozoficznego połączenia śmiałej rozkiełznanej duchowości, co bieży *presto,* z dyalektyczną ścisłością i nieodzowną koniecznością większość myślicieli i uczonych nie zna z własnego doświadczenia i dlatego, gdyby ktoś chciał mówić im o tem, nie daliby wiary. Każdą konieczność wyobrażają oni sobie jako przykrość,

jako niemiły przymus, mus ulegania; myślenie samo zda się imczemś powolnem, opieszałem, nieledwie trudnem, nader często czemś, co »potu szlachetnych warte« — bynajmniej nie czemś lekkiem, boskiem, tańcowi i pustocie najbliżej pokrewnem! »Myślenie« oraz »ciężkie, poważne branie« jakiejś rzeczy — jest dla nich nierozdzielne: gdyż w ten jeno sposób »doznawali« tego. — Artyści mają snadź subtelniejsze od nich nozdrza: wiedzą bowiem aż nadto dobrze, iż właśnie wtedy, gdy nic nie czynią już »dowolnie« lecz wszystko koniecznie, ich poczucie swobody, subtelności, pełnomocy, poczucie twórczego kojarzenia, zarządzania, kształtowania dosięga szczytu, — słowem, iż konieczność i »wolność woli« zespala się wówczas u nich w jedno. Naostatek istnieje hierarchia stanów duchowych, której odpowiada hierarchia problematów; najwyższe problematy odtrącają bezlitośnie każdego, co śmie się do nich zbliżyć, swej duchowości szczytnością i mocą nie będąc do ich rozwiązania przeznaczonym. I cóż stąd, iż obrotne, na cały świat głośne mózgi oraz nieobrotni zacni mechanicy i empirycy cisną się, parci swą gminną ambicyą, jak to często dziś się zdarza, w ich pobliże i ni to na ten »dwór nad dworami!« Toć kobierców takich deptać prostackim stopom niewolno przenigdy; przedwieczny ład rzeczy zapobieżał już temu; nie rozewrą się wierzeje przed natrętami tymi, chociażby bili w nie głowami nawet i rozbijali o nie głowy! Do każdego górnego świata trzeba być stworzonym; wyraźniej zaś mówiąc, trzeba być doń wychowanym: prawo do filozofii — w wielkiem znaczeniu tego słowa — ma się jeno dzięki swemu pochodzeniu, swym przodkom, »krew« rozstrzyga tu także. Praca wielu po-

koleń musiała poprzedzić powstanie filozofa; każda z cnót jego musiała być z osobna nabyta, wypielęgnowana, wcielona, przekazana dziedzicznie i to nie tylko śmiały, lekki, subtelny tok i bieg jego myśli, lecz zwłaszcza gotowość do wielkich odpowiedzialności, szczytność władczych wejrzeń i spojrzeń, poczucie wyodrębnienia z tłumu, z jego cnót i obowiązków, przyjazna ochrona i obrona wszystkiego niezrozumianego i spotwarzonego: Boga czy dyabła, ćwiczenie się i rozkoszowanie wielką sprawiedliwością, sztuka rozkazywania, rozległość woli, nieskore oko, co rzadko podziwia, rzadko patrzy w górę, rzadko kocha…

ROZDZIAŁ VII.

NASZE CNOTY



213.

Nasze cnoty? — Prawdopodobnie mamy i my jeszcze cnoty, acz oczywista nie są to owe prostoduszne i nieokrzesane cnoty, któremi przodkowie nasi cześć w nas budzą, lecz i odpychają potrosze. My europejczycy pojutrzejsi, my dwudziestego stulecia pierwociny, — z całą naszą niebezpieczną ciekawością, naszą złożonością oraz przebierania się sztuką, z naszem źrałem i ni to osłodzonem okrucieństwem zmysłów i ducha — jeżeli mamy posieść cnoty, to snadź jeno takie, które z naszymi najtajniejszymi i najserdeczniejszymi popędami, z naszemi najgorętszemi pragnieniami najłacniej godzić się zwykły: dalej więc, szukajmyż ich w labiryntach naszych! — gdzie, jak wiadomo, niejedno się gubi, niejedno całkiem przepada. I jest-że coś piękniejszego nad szukanie cnót własnych? Nie oznaczaż to omal wiary w własne cnoty? Zaś ta »w cnoty swe wiara« — nie jest-że w istocie tem samem, co ongi zwano »czystem sumieniem«, owym czcigodnym powłóczystym warkoczem pojęciowym, który pradziadowie nasi z tyłu głowy, a niejednokrotnie także z tyłu swego upinali rozumu? Zda się zatem, acz nie poczuwamy się zresztą bynajmniej do staroświeczczyzny oraz praoj-

cowskiej szanowności, iż w tem jednem jesteśmy przecież godnymi praojców tych potomkami, my ostatni o czystem sumieniu europejczycy: gdyż i my nosimy jeszcze ich warkocz. — Ach! Gdybyście wiedzieli, jak to rychło, jak to już rychło — będzie inaczej! —

214.

Jak w dziedzinie gwiazd o drogach jakiejś planety dwa niekiedy stanowią słońca, jak w pewnych wypadkach dokoła jednej i tej samej planety różnobarwne pałają słońca, raz czerwono to znów zielono, by potem równocześnie zażedz ją i pstrem zatopić światłem: tak samo my ludzie nowocześni, dzięki złożonej mechanice naszego »gwiaździstego nieba« — od rozmaitych zależym morałów; czyny nasze płoną naprzemian rozmaitemi barwami i rzadko bywają jednoznaczne — a zdarza się nader często, iż pstrych dokonywamy czynów.

215.

Kochać swych wrogów? Mniemam, iż nieźle nauczono się tego: zdarza się to dziś tysiąckrotnie w drobiazgach i rzeczach wielkich; co więcej, bywają już niekiedy objawy wyższe i szczytniejsze — kochając, uczymy się gardzić i to wtedy właśnie, gdy kochamy najbardziej: — lecz to wszystko dzieje się nieświadomie, bez zgiełku, bez przepychu, ze wstydem i skrytością dobroci, wzbraniającej ustom uroczystego słowa i cnotliwej formuły. Morał jako *atti-*

tude — sprzeciwia się dziś naszemu smakowi. To także postęp: podobnie jak postępem ojców naszych było to, iż religia jako *attitude* jęła sprzeciwiać się wkońcu ich smakowi, z doliczeniem wrogości i wolterowskiej względem religii goryczy (oraz tego wszystkiego, co zaliczało się ongi do wolnomyślnych gestów wymowy). Gędźba to w sumieniu naszem, pląs to w duchu naszem do wszystkich litanij purytańskich, do wszystkich poczciwości i kazań moralnych dostroić się nie może.

216.

Miejmy się na baczności przed ludźmi, którym bardzo chodzi o to, by ufano ich moralnemu taktowi oraz subtelności w rozróżnieniach moralnych: nie przebaczą nam nigdy, gdy w o b e c nas (lub nawet c o d o nas) pomylić im się zdarzy, — staną się niezawodnie naszymi instynktownymi potwarcami i krzywdzicielami, nawet gdy nie przestaną być naszymi »przyjaciółmi«. — Błogosławieni ludzie o krótkiej pamięci: ci bowiem zapominają także o swych głupstwach.

217.

Psychologowie francuscy — i gdzież bo poza Francyą są dziś jeszcze psychologowie? — gorzkiej i różnorodnej przyjemności, doznawanej wobec *bétise bourgeoise,* nie użyli jeszcze do syta, jak gdyby — — dość, wyjawiają coś tem oni. Flaubert naprzykład, zacny obywatel rouenski, nie widział, nie słyszał, nie

odczuwał wkońcu nic innego: — był to jego rodzaj samo-udręki oraz subtelniejszego okrucieństwa. Otóż polecam, dla odmiany — gdyż tamto staje się nudnem —, inny przedmiot zachwytów: mianowicie nieświadomą przebiegłość, z jaką wszystkie zacne, grube, prawe duchy mierności zachowują się wobec duchów wyższych oraz ich zadań, ową misterną zawiłą przebiegłość jezuicką, co tysiąckrotnie jest subtelniejszą od rozumu i smaku tegoż stanu średniego w najlepszych jego chwilach — a nawet od rozumu jego ofiar —: jako ponowny dowód, iż »instynkt« ze wszystkich odkrytych dotychczas odmian inteligencyi jest najinteligentniejszy. Słowem, badajcie psychologowie filozofię »reguły« w walce z »wyjątkiem«, to dopiero widowisko godne bogów i złośliwości boskiej! Lub jeszcze wyraźniej: dokonywajcie wiwisekcyi na »dobrym człowieku«, na »*homo bonae volantatis*«... na sobie!

218.

Sądzenie i potępianie moralne jest ulubioną zemstą ludzi ograniczonych duchowo na ludziach mniej tępych jakoteż rodzajem odszkodowania za to, czego poskąpiła im przyroda, wreszcie pobudką do wzbogacenia i wysubtelnienia duchowego: — złośliwość uduchowia. Cieszą się oni w głębi serca, iż istnieje miara, wobec której wyposażeni skarbami i przywilejami duchowymi stoją z nimi na równi: — walczą za »równość wszystkich przed Bogiem« i do tego potrzebują niemal wiary w Boga. Śród nich znajdują się najzawziętsi przeciwnicy atei-

zmu. Ktoby im rzeki »szczytna duchowość stoi nieporównanie wyżej od wszelkiej prawości i zacności li moralnego człowieka«, ten doprowadziłby ich do szaleństwa: — będę baczył, by nie uczynić tego. Pochlebię im raczej mojem twierdzeniem, iż szczytna duchowość jest jeno ostatnim wytworem jakości moralnych, syntezą wszystkich stanów, przypisywanych »moralnym jeno« ludziom, i wytworzyła się cząstkowo, drogą długiej hodowli i pracy prawdopodobnie całych łańcuchów pokoleń; że szczytna duchowość jest właśnie przeduchowieniem sprawiedliwości oraz owej dobrotliwej surowości, co poczuwa się do przestrzegania hierarchii na świecie, śród rzeczy nawet — nie tylko śród ludzi.

219.

Wobec tak bardzo rozpowszechnionych dziś pochwał »bezinteresowności« trzeba, acz z narażeniem się na niejakie niebezpieczeństwo, uświadomić sobie, czem właściwie lud się interesuje, i co to są za rzeczy, które bardzo i głęboko bierze sobie do serca człek pospolity: z doliczeniem jednostek wykształconych, nawet uczonych, a jeżeli wszystko w błąd nie wprowadza, omal filozofów. Okaże się przytem, iż lwia część tego, co subtelniejszych i wybredniejszych smakoszów, co każdą wyższą interesuje i nęci naturę, człowiekowi zwyczajnemu zda się zgoła »nieinteresującem« : — gdy zaś zauważy oddanie się temu, to zwie je »*désintéressé*« i dziwi się, jak są możliwe uczynki »bezinteresowne«. Istnieli filozofowie, którzy temu podziwowi ludowemu umieli dać nawet zwodniczy i mistyczno-zaświatowy wyraz (— czyżby szczyt-

niejszej natury nie znali z doświadczenia? —), zamiast wykazać nagą i niezaprzeczoną prawdę, iż czyn »bezinteresowny« jest bardzo interesującym i »interesownym« czynem, jeżeli przyjmiemy — — »A miłość?« — Jakto! Mialżeby nawet czyn, wynikający z miłości, być »nieegoistycznym?« Ależ kpy —! »A chwała poświęcającego się?« — Ależ kto poświęcał się naprawdę, ten wie, iż chciał i otrzymał coś w zamian — może coś ze siebie dla czegoś ze siebie —, że tu tracił, by tam zyskać, a może by wogóle być czemś więcej, lub bodaj czuć się czemś »więcej«. Lecz to dziedzina pytań i odpowiedzi, w której wybredniejszy duch przebywa niechętnie: tak bardzo musi tu prawda powstrzymywać się od ziewania, gdy jej odpowiadać każą. Ostatecznie jest ona kobietą: gwałcić jej nie należy.

220.

Zdarza się niekiedy, mówił moralistyczny pedant i drobiazgowiec, iż niesamolubnego człowieka szanuję i wyróżniam: nie dlatego wszakże, że jest niesamolubny, lecz iż zda się mi mieć prawo do pomagania innemu człowiekowi z własną swą szkodą. Słowem, chodzi tu zawsze o to, kim jest on, kim zaś ów drugi. U człowieka naprzykład, stworzonego i przeznaczonego do rozkazywania, zapieranie się siebie oraz skromne usuwanie się nie byłoby cnotą, lecz marnotrawstwem cnoty: tak mi się zdaje. Każdy nieegoistyczny morał, który poczyna sobie bezwzględnie i zwraca się do wszystkich, grzeszy nie tylko przeciw smakowi: jest też podżeganiem do grzechów, płynących z zaniedbania, jednem więcej pokuszeniem

pod maską ludzkości — i to właśnie pokuszeniem i poszkodowaniem wszystkiego górniejszego, niezwyklejszego, uprzywilejowanego. Należy zmusić morały, by przedewszystkiem ugięły się przed hierarchią, zaś z ich uroszczeń uczynić sprawę sumienia, — aż same przyjdą wreszcie do przekonania, iż niemoralną rzeczą jest utrzymywać: »co dla jednego słuszne, to dla drugiego godziwe«. — Tak mówił mój moralistyczny pedant i *bonhomme*: nie należałoż go wyśmiać, iż morały w ten sposób nawoływał do moralności? Jednakże nie powinno się mieć za wiele słuszności, jeśli chce się śmieszków mieć po swojej stronie; odrobina niesłuszności należy nawet do dobrego smaku.

221.

Wszędzie, gdzie współczucie dziś głoszą, — a kto bacznie słucha, ten nie posłyszy obecnie żadnej innej religii — winien psycholog nadstawiać uszu: poprzez całą próżność, poprzez wszystek zgiełk, znamionujący tych kaznodziejów (jak wszystkich kaznodziejów), doleci go niekłamane, chrypliwe rzężenie samo-pogardy. Jest ona objawem owego sposępnienia i zeszpecenia Europy, co od wieku się wzmaga (a którego pierwsze oznaki stwierdził już Galiani w swym zastanawiającym liście do pani d'Epinay): jeżeli nie jest jego przyczyną! Człowiek nowoczesnych idej«, dumna ta małpa, jest ze siebie nad wyraz niezadowolony: to pewna. Czuje swą niedolę: lecz jego próżność chce, by jeno »współ czuł«———

222.

Europejski mieszaniec — naogół wcale szpetny plebejusz — potrzebuje koniecznie kostyumu: potrzebuje historyi jako lamusu kostyumów. Wprawdzie dostrzega przytem, iż żaden dobrze na nim nie leży, — więc zmienia i zmienia. Spójrzmy na dziewiętnaste stulecie od strony tych pospiesznych upodobań i zmian maskarad stylowych oraz chwil zwątpienia, iź »w niczem nie jest nam do twarzy« —. Daremne wszystkie występy romantyczne, klasyczne, chrześciańskie, florenckie, barokowe i »narodowe« *in moribus et artibus:* w żadnym »nie jest dobrze«! Ale duch, zwłaszcza »duch historyczny« nawet z tego zwątpienia odnosi korzyści: raz wraz jakiś nowy strzęp starodawności i zagranicy bywa przymierzany, wdziewany, rozdziewany, odkładany, przedewszystkiem studyowany: — jesteśmy pierwszem uczonem stuleciem *in puncto* »kostyumów«, rozumiem, morałów, wyznań wiary, smaków artystycznych i religij, przygotowani jak żadna jeszcze epoka, do karnawału w wielkim stylu, do najuduchowieńszego śmiechu i szaleństw zapustnych, do transcendentalnej wyżyny najszczytniejszego błazeństwa i arystofanicznego wyszydzenia świata. Być może, iż tu właśnie odkryjemy jeszcze dziedzinę naszego wynalazku, dziedzinę, w której zdobyć się możemy jeszcze na oryginalność, naprzykład jako parodyści dziejów świata i arlekiny Boga, — acz nic dzisiejszego nie ma przed sobą przyszłości, to jednak śmiech nasz może mieć ją właśnie.

223.

Zmysł historyczny (czyli zdolność szybkiego odgadywania hierarchii w osądach wartości, wedle których żył lud jakiś, społeczeństwo lub człowiek, »instynkt wieszczy« co do wzajemnych zależności tychże osądów, co do stosunku znaczenia wartości do znaczenia sił działających): zmysł ten historyczny, który my europejczycy uważamy za naszą właściwość, przybył do nas w orszaku czarującego i szalonego półbarbarzyństwa, w którem skutkiem demokratycznego pomieszania się ras i stanów pogrążyła się Europa, — dopiero wiek dziewiętnasty poznał ten zmysł, uznał go za swój zmysł szósty. Przeszłość każdej formy i sposobu życia, przeszłość kultur, co ongi znajdowały się tuż obok siebie, tuż ponad sobą, dzięki temu pomieszaniu przelewa się w nasze »nowoczesne dusze«, instynkty nasze bieżą zewsząd wstecz, my sami jesteśmy rodzajem chaosu —: ostatecznie »duchowi«, jak już powiedziano, wychodzi to na dobre. Skutkiem naszego półbarbarzyństwa ciała i żądz mamy na wszystkie strony tajemne dostępy, jakich nie posiadały nigdy epoki dostojne, przedewszystkiem zaś dostępy do labiryntów niezupełnych kultur oraz wszelkiego półbarbarzyństwa, jakie kiedykolwiek istniało na ziemi; a ponieważ najznamienitsza część kultury ludzkiej była dotychczas jeno półbarbarzyństwem, przeto »zmysł historyczny« jest omal instynktem i zmysłem wszystkiego, smakiem i językiem do wszystkiego: dowodzi to zarazem, iż jest niedostojnym zmysłem. Rozkoszujemy się znów naprzykład Homerem: snadź najcelniejszy to nasz na. bytek, iż umiemy lubować się Homerem, którego nie

tak łatwo umieją i umieli przyswoić sobie ludzie o kulturze dostojnej (naprzykład Francuzi siedemnastowiecza, jak Saint-Evremond, zarzucający mu *esprit vaste,* a nawet jeszcze ostatnie ich echo, Wolter), — którym rozkoszować się omal nie pozwalali sobie. Nader określone tak i nie podniebienia, łatwo pobudliwy wstręt, nieskora opieszałość względem wszystkiego obcego, odraza nawet do niesmaku, spowodowanego żywszą ciekawością, i wogóle niechęć, z jaką każda dostojna i poprzestająca na sobie kultura przyznaje się do nowej pożądliwości, do niezadowolenia ze swego i podziwu dla obcego: wszystko to usposabia i nastraja ich nieprzychylnie dla najlepszych nawet rzeczy na świecie, które własnością ich nie są lub łupem stać się nie mogą, — i żaden zmysł dla ludzi takich niezrozumialszym nie jest, niż właśnie zmysł historyczny oraz uniżoność jego gminnej ciekawości. Nie inaczej jest ze Szekspirem, z tą zdumiewającą hiszpańsko - maurytańsko - saską sentezą smaku, z której starodawny Ateńczyk z drużyny aischylosowskiej śmiałby się lub złościł do rozpuku: my atoli — przyjmujemy dziką tę pstrociznę, ten odmęt przejawów najpieściwszych, najpospolitszych i najsztuczniej szych z utajoną serdecznością i życzliwością, rozkoszujemy się nim ni to dla nas właśnie zachowanym wykwintem sztuki, zaś ohydne wyziewy i pobliże angielskiego pospólstwa, w których żywię sztuka i smak Szekspira, nie więcej nas rażą niż naprzykład na *Chiaja* w Neapolu: gdzie wszystkie zmysły nasze są upojone i zachwycone, acz w powietrzu czuć też niewątpliwie ścieki dzielnic, zamieszkałych przez pospólstwo. My ludzie o »historycznym zmyśle«: mamy i my bezsprzecznie nasze cnoty, — jesteśmy

niewybredni, niesamolubni, skromni, dzielni, pełni samo - przezwyciężenia, pełni oddania się, bardzo wdzięczni, bardzo cierpliwi, bardzo uprzedzający: — mimo to wszystko snadź nie jesteśmy w zbyt »dobrym smaku«. Wyznajmyż wreszcie przed sobą: co nam ludziom o »historycznym zmyśle« najtrudniej pojąć, wyczuć, polubić, w czem nam najciężej zasmakować przychodzi, względem czego jesteśmy w istocie uprzedzeni i niemal wrodzy: to właśnie stanowi doskonałość i ostateczną dojrzałość każdej kultury i sztuki, jest właściwem dostojeństwem dzieł i ludzi, ich momentem ciszy morskiej i halkyońskiego poprzestawania na sobie, złocistością i chłodem, znamionującym wszystkie rzeczy już dokonane. Może nasza wielka historycznego zmysłu cnota tworzy konieczne przeciwieństwo do dobrego smaku, conajmniej do najlepszego smaku, i jeno źle, jeno opieszale, jeno z przymusem jesteśmy zdolni odtwarzać w sobie owe drobne, krótkie i najwyższe mgnienia szczęścia i wniebowzięcia ludzkiego żywota tu i ówdzie rozbłyskające niekiedy, owe chwile i cudy, gdy jakaś wielka siła stawała dobrowolnie przed bezmiarem i bezbrzeżem —, gdy przepełniała duszę subtelna rozkosz nagłego okiełznania i skamienienia, silnego postawienia i ukrzepienia stopy na drżącej jeszcze ziemi. Miara jest nam obcą, powiedzmy to sobie; bodziec nasz jest właśnie bodźcem nieskończoności, niezmierzoności. Gdyby jeździec na parskającym w cwale rumaku, wobec nieskończoności wypuszczamy z rąk wodze, my ludzie nowocześni, my barbarzyńcy napoły, — i tam dopiero doznajemy błogości, gdzie w największem — jesteśmy niebezpieczeństwie.

224.

Czy hedonizm, czy pessymizm, czy utylitaryzm, czy eudaimonizm: wszystkie te rodzaje myślenia, oznaczające wartość rzeczy miarą rozkoszy i boleści, to znaczy miarą stanów towarzyszących i rzeczy ubocznych, są przednio-planowymi sposobami myślenia i naiwnościami, na które człowiek, swej kształtującej mocy i artystycznego sumienia świadom, spojrzy nie bez szyderstwa a także nie bez współczucia. Współczucia dla was! nie jest to wprawdzie współczucie dla »niedoli« ludzkiej, dla »społeczeństwa« oraz jego chorych i rozbitków, dla zbrodniarzy i wykolejeńców, leżących dokoła nas pokotem; a tem mniej dla szemrzących, uciśnionych, skłonnych do rokoszu warstw niewolniczych, dążących do władania — zwą je »swobodą« —. Współczucie nasze jest górniejszem, dalej widzącem współczuciem: — widzimy, jak człowiek się umniejsza, jak wy go umniejszacie!— i bywają chwile, kiedy właśnie waszemu współczuciu z nieopisanym przyglądamy się lękiem, kiedy opieramy się temu współczuciu, — gdy stateczność wasza zda się nam niebezpieczniejszą od jakiejkolwiek płochości. Pragniecie o ile możności — a niemasz szaleńszego »o ile możności« — usunąć cierpienie; a my? — zda się po prostu, iż wolelibyśmy, by stało się jeszcze głębszem i gorszem niźli bywało kiedykolwiek! Pomyślność, jak wy ją rozumiecie — toć to nie żaden cel, toć zda się nam ona końcem! Stanem, który człowieka czyni wnet śmiesznym i pogardy godnym, — który rozbudza życzenie jego zagłady! Chów cierpienia, wielkiego cierpienia — nie wiecież, iż jeno chów ten stwarzał

dotychczas wszystkie wywyższenia człowieka? Owo niepięcie duszy w nieszczęściu, napawające ją mocą, drżenie jej wobec wielkiej zatraty, jej wynalazczość i dzielność w znoszeniu, wytrzymywaniu, wykładaniu, wyzyskiwaniu nieszczęścia, i co tylko dano jej głębi, tajemnicy, maski ducha, przebiegłości, wielkości: — nie byłoż to darem cierpienia, nie wyhodowałoż tego wielkie cierpienie? Stworzenie i stworzyciel kojarzą się w człowieku: człowiek jest materyą, okruchem, odpadkiem, gliną, kałem, brednią, chaosem; ale w człowieku kryje się także stwórca, kształciciel, twardość młota, boskość widza i siódmy dzień: — rozumiecież to przeciwieństwo? I że współczucie wasze ma na celu »stworzenie w człowieku«, to, co musi być kształtowane, kruszone, kowane, darte, palone, żarzone, wyszlachetniane, — co koniecznie cierpieć musi i ciepieć powinno? Zaś współczucie nasze — nie pojmujecież, kogo ma na względzie to odmienne współczucie nasze, gdy się opiera waszemu współczuciu jako najpośledniejszemu ze wszystkich słabostek i rozdelikaceń? — Zatem współczucie przeciwko współczuciu! — Powtarzam atoli, iż istnieją górniejsze problematy od wszystkich problematów rozkoszy, cierpienia i współczucia; a każda filozofia, co tylko dokoła nich się obraca, jest naiwnością. —

225.

My immoraliści! — Świat ten, który nas obchodzi, w którym dano nam lękać się i kochać, ten niewidzialny, niedosłyszalny niemal świat subtelnych rozkazów, subtelnych posłuchów, świat, którego

»omal« w każdem dotyczy znaczeniu, zawiły, zwodniczy, zjeżony, pieściwy: to pewna, że świat ten dobrze jest broniony przed prostackimi widzami oraz poufałą ciekawością! Ciasną siecią i giezłem obowiązków jesteśmy spowici i wyzwolić się z nich nie możemy —, w tem właśnie jesteśmy »ludźmi obowiązku«, i my także! Niekiedy, co prawda tańczymy w swych »łańcuchach« i śród swych »mieczów«; częściej, co także jest prawdą, zgrzytamy w nich zębami i niecierpliwimy się tajemną naszego losu srogością. Lecz choćbyśmy czynili nie wiedzieć co: kpy i pozór orzekną przeciwko nam »to ludzie bez obowiązku« — kpy i pozór są zawsze przeciwko nam!

226.

Prawość, o ile jest tą naszą cnotą, z której wyjarzmić się nie możemy my wolne duchy — do prawości zatem będziemy się przykładali z całą złośliwością i miłością i nie zaniedbamy niczego, by »się doskonalić« w tej jedynej cnocie, która nam jeszcze pozostała: niechaj blask jej ni to ozłotne modre szydercze wieczorne zorze zalegnie kiedyś nad tą starzejącą się kulturą i jej głuchą posępną powagą! A gdy pomimo wszystko prawość nasza pewnego dnia się znuży, wzdychać i przeciągać się zacznie, gdy dojmie jej surowość nasza, gdy zapragnie, by jej było lepiej, lżej, pieściwiej gdyby jakiemuś przyjemnemu występkowi: bądźmyż nieubłagalni my ostatni stoicy! i szlijmy jej z pomocą to wszystko, co jest w nas dyabelstwem, — nasz wstręt do nieokrzesania i nawiasowości, nasze »*nitimur in vetitum*«, naszą awanturniczą odwagę, naszą wytrawną i wy-

bredną ciekawość, naszą najsubtelniejszą i najskrytszą najbardziej uduchowioną wolę mocy i pokonania świata, co pożądliwie dokoła wszystkich krain przeszłości błąka się i krąży, — ze wszystkimi »dyabłami« naszymi spieszmy »bóstwu« naszemu na pomoc! Jest to prawdopodobne, iż nie poznają nas przeto i wezmą za kogoś innego: i cóż stąd! Że powiedzą: »prawość ich — to ich dyabelstwo i nic ponadto!« i cóż stąd! Chociażby nawet słuszność była po ich stronie! Nie byłyż wszystkie dotychczasowe bogi takimi przechrzczonymi, przedzierzgnionymi w świętych dyabłami? I cóż ostatecznie wiemy o sobie? I jak zwać się ma duch, który nas prowadzi? (rzecz to nazwania). I ile duchów kryjemy w sobie? Prawość nasza, my wolne duchy — baczmy, żeby nie stała się próżnością naszą, strojem i błyskotką, rubieżą i głupotą! Każda cnota skłania się do głupoty, każda głupota do cnoty; »głupi aż do świętości« powiadają Rosyanie, — baczmyż, abyśmy z nadmiaru prawości nie stali się w końcu świętymi i nudziarzami! Nie jest-że życie stokrotnie za krótkie, by w niem — się nudzić? Toć trzebaby w wieczne uwierzyć życie, żeby — — —

227.

Proszę wybaczyć mi odkrycie, iż cała filozofia moralna była dotychczas nudną i należała do środków nasennych, — i że nic tak »cnoty« w mych oczach nie obniża, jak to nudziarstwo jej rzeczników; z czego zresztą nie czynię bynajmniej zarzutu przeciwko powszechnej jej użyteczności. Rzecz to ważna, by możliwie najmniej ludzi zastanawiało się nad morałem, — zatem jeszcze ważniejsza, żeby

moral nie stał się snadź pewnego dnia zajmującym! Lecz nie oddawajmy się płonnym troskom! Sprawa ta przedstawia się obecnie jeszcze tak, jak się przedstawiała dotychczas zawsze: nie widzę w Europie nikogo, ktoby miał (lub dawał) o tem pojęcie, iż zajmowanie się morałem mogłoby być uprawiane niebezpiecznie, kusząco, zwodniczo, — że mogłoby zaciężyć przeznaczeniem! Przyjrzyjmy się naprzykład niestrudzonym, nieuniknionym utylitarystom angielskim, którzy czcigodnie i niezgrabnie plączą się śladami Bentham'a (pewne porównanie homeryckie powiada to wyraźniej), podobnie jak on sam plątał się już śladami czcigodnego Helvétius'a (nie, nie był to niebezpieczny człowiek, ten Helvétius, *ce sénateur Pococurante,* jak powiada Galiani —). Żadnej nowej myśli, żadnego ładu i składu dawniej myśli, żadnej nawet istotnej historyi pomyślanego dawniej: niemożliwa w całości literatura, o ile nie umie się przyprawić jej szczyptą złośliwości. Bowiem i do tych moralistów (których koniecznie z uboczną musi się czytać myślą, jeśli wogóle czytać ich się musi —) zakradła się prastara angielska wada, zwana *cant,* moralną zaś będąca tartuferyą, ukrytą tym razem pod nową naukowości formą; a nie brak im także tajemnego opędzania się wyrzutom sumienia, które, rzecz prosta, mimo całego naukowego zajmowania się morałem rasę dawnych purytanów przecież udręczać muszą. (Nie jest-że moralista przeciwieństwem do purytanina? Mianowicie jako myśliciel, który pojmuje morał jako coś zagadkowego, pytajnikowego, słowem, jako problemat? Nie byłożby moralizowanie — czemś niemoralnem?) Ostatecznie pragną oni wszyscy, by słuszność była udziałem moralności angielskiej: gdyż w ten właśnie

sposób służy się najlepiej sprawie ludzkości, lub »pospolitemu dobru« lub »pomyślności ogółu«, nie! pomyślności Anglii; wszystkiemi siłami chcieliby sobie dowieść, iż dążenie do angielskiego szczęścia, mam na myśli, do comfort'u i *fashion*'u (zaś w najpierwszym rzędzie do krzesła w parlamencie) jest też zarazem prawą ścieżką cnoty, ba nawet, że na tem właśnie dążeniu polegała wszystka cnota, jaka istniała dotychczas na świecie. Żadne z tych ociężałych, zaniepokojonych w swem sumieniu zwierząt stadnych, (które sprawą egoizmu, jako sprawą ogólnej pomyślności kierować się podejmują —) nie chce coś niecoś przewąchać i wiedzieć, iż »pomyślność ogólna« nie jest żadnym ideałem, żadnym celem, żadnem dającem się bliżej określić pojęciem, lecz jeno środkiem na wymioty, — iż to, co dla jednego jest słusznem, żadną miarą nie może być słusznem dla drugiego, iż żądanie jednakiego dla wszystkich morału jest pokrzywdzeniem wyższych właśnie ludzi, słowem, że istnieje hierarchia dostojeństwa między człowiekiem a człowiekiem, zatem także między morałem a morałem. Skromny to i zasadniczo mierny rodzaj człowieka ci utylitarni Anglicy i, jak już wspomniałem: o ile są nudni, niemasz dostatecznych słów uznania dla ich pożyteczności. Należałoby dodawać im jeszcze otuchy: do czego zmierzają też po części następujące rymy:

Cześć, przy taczkach myśl was krzepi,
Że »im dłużej, temci lepiej«,
Sztywne nogi, sztywe łby! —
Nienatchnieni, niejowialni,
W swej mierności niezniszczalni,
Sans genie et sans esprit!

228.

W owych późnych epokach, co swem uczłowieczeniem poszczycić się mogą, pozostaje z przeszłości tyle obawy, tyle zabobonnego lęku przed »dzikiem okrutnem zwierzęciem«, którego ujarzmienie stanowi właśnie dumę tych humanitarniej szych epok, iż nawet leżące jak na dłoni prawdy przez całe wieki pomija się gdyby umyślnie milczeniem, gdyż pozornie zdają się znów wskrzeszać owo dzikie a uśmiercone wreszcie zwierzę. Zuchwalstwo to snadź z mej strony niemałe, iż tego rodzaju prawdzie wymknąć się pozwalam: niechaj inni znów ją schwytają i napoją tak obficie »zbożnych zasad mlekiem«, aż w dawnym swym kącie cicha i zapomniana legnie. — Trzeba co do okrucieństwa zmienić zdanie i otworzyć oczy; trzeba nauczyć się wreszcie niecierpliwości, by takie nieprzystojne grube błędy, jakie, naprzykład co do tragedyi, przez dawnych i nowych filozofów rozpuszczane bywają, nie błąkały się dłużej czelnie i cnotliwie. Wszystko niemal, co »wyższą« zowiemy »kulturą«, polega na przeduchowieniu i pogłębieniu okrucieństwa — oto moje twierdzenie; owego »dzikiego zwierzęcia« nie uśmiercono bynajmniej, ono żyje, kwitnie, jeno — się przebóstwiło. To, co stanowi bolesną rozkosz tragedyi, jest okrucieństwem; to, co w tak zwanem współczuciu tragicznem, w istocie zaś we wszelkiej wzniosłości aż do najgórniej szych i najsubtelniejszych dreszczów metafizycznych, przyjemnem darzy wrażeniem, li domieszce okrucieństwa zawdzięcza swą słodycz. To, czego doznawał Rzymianin w arenie, chrześcianin w zachwytach krzyżowych, Hiszpan na widok walk byków lub

gorejących stosów; co Japończyka dzisiejszego prze ku tragedyi; co w robotniku z przedmieść paryskich odzywa się nostalgią do krwawych rewolucyj a wagneryance Trystanem i Isoldą z wywieszoną wolą »napawać się« każe, — to, czem oni wszyscy się rozkoszują i z tajemnem pożądaniem wchłonąć by radzi, jest eliksirem wielkiej Cyrce »okrucieństwa«. Jużcić trzeba rozstać się przytem z niemądrą psychologią dawniejszą, która o okrucieństwie to tylko miała do powiedzenia, jakoby powstawało ono na widok cudzej boleści: szczodrą, przeszczodrą rozkoszą napawa także własne cierpienie, zadawanie sobie cierpień, — i gdzie jeno uda się skłonić człowieka do samozaparcia w religijnem znaczeniu albo do samo-okaleczenia, jak u Fenicyan i ascetów, lub wogóle do odzmysłowienia, odcieleśnienia i skruchy, do purytańskich spazmów pokutnych i pascal'owskiego *sacrifizio dell' intelletto,* tam prze go naprzód i nęci skrycie własne jego okrucieństwo, złowrogi ów dreszcz, zwróconego przeciwko sobie samemu okrucieństwa. Zważmyż naostatek, iż nawet filozof, zmuszając swego ducha, by poznawał wbrew jego skłonnościom duchowym a niejednokrotnie także wbrew życzeniom jego serca — mianowicie, by przeczył tam, gdzie chciałoby się potwierdzić, sławić, kochać —, postępuje jako artysta i uświetniciel okrucieństwa; już każde głębokie i gruntowne pojmowanie jest pogwałceniem, chęcią urażenia zasadniczej woli ducha, co dąży nieustannie do pozoru, do powierzchni,— już w każdej chęci poznania jest kropla okrucieństwa.

229.

Może niedość jasno wyraziłem się o »zasadniczej woli ducha«: niechaj mi będzie wolno dać wyjaśnienie. — To rozkazujące coś, zwane przez lud »duchem«, chce władać w sobie i wokół siebie, chce czuć się władcą: od wielości dąży ono ku jedności, ma skupiającą, kiełznającą, żądną panowania i istotnie pańską wolę. Potrzeby i moce jego w tym zakresie są te same, jakie przypisują fizyologowie wszystkiemu temu, co żyje, rośnie i rozmnaża się. Zdolność ducha do przyswajania sobie wszystkiego obcego przejawia się w silnej skłonności ku upodobnianiu nowego do dawnego, ku upraszczaniu rozmaitego, ku przeoczaniu lub odpychaniu zasadniczo sprzecznego: podobnie jak określone rysy i linie wszystkiego obcego, każdej cząstki »świata zewnętrznego» dowolnie bywają przezeń silniej podkreślane, uwydatniane, na jego fałszowane modłę. Zmierza on przytem do wchłaniania nowych »doświadczeń«, do wtłaczania nowych rzeczy w stare szeregi, — zatem do wzrostu; zaś jeszcze bardziej do p o c z u c i a wzrostu, do poczucia wzmożonej siły. Tejże samej woli służy wręcz sprzeczny napozór popęd ducha, polegający na nagłem przerzuceniu się ku niewiadomości i dowolnemu zakończeniu, na zaparciu swych okien, wnętrznem zaprzeczeniu tej lub owej rzeczy, niedopuszczaniu czegoś, jakowejś obronności przeciwko wielu rzeczom, które mógłby wiedzieć, na zadowoleniu z ciemności, na zamykających się widnokręgach, na stwierdzeniu i uznaniu swej niewiadomości: to wszystko zależy od stopnia przyswajającej jego siły, od jego »trawienia«, mówiąc obrazowo,— i istotnie, najwięcej podobieństwa ma jeszcze »duch«

do żołądka. Tu należy również okolicznościowa wola ducha, by nie stawiać oporu złudzeniu, idąca snadź w parze ze swawolnem przeczuciem, iż to lub owo ma się inaczej, iż to lub owo jest tylko dowolnie przyjęte; dalej poczucie rozkoszy, jaką daje wszelka niepewność i wieloznaczność, radosne lubowanie się umyślną cieśnią i zacisznością jakiegoś kąta, tem, co zbyt bliskie, przedniem tłem, wszystkiem powiększonem, pomniejszonem, przesuniętem, upiększonem tudzież napawanie się dowolnością wszystkich tych przejawów mocy. Wkońcu zalicza się tutaj owa zastanawiająca gotowość ducha do łudzenia innych duchów, do udawania przed nimi, owo nieustanne parcie i nacisk jakiejś tworzącej, kształtującej, zdolnej do przemian siły: stąd to lubowanie się ducha różnolicznością swych masek oraz swą przebiegłością, stąd również jego rozkoszowanie się poczuciem własnego bezpieczeństwa, — toć te proteuszowe sztuki najlepszą są dlań kryjówką i obroną! — Tej woli złudy, temu dążeniu do uproszczenia, do maski, do płaszczyka, słowem, do powierzchni — gdyż każda powierzchnia jest płaszczykiem — przeciwdziała ów szczytny popęd człowieka poznającego, który bierze i chce brać rzeczy głęboko, rozmaicie, gruntownie: popęd ten jest rodzajem okrucieństwa intelektualnego smaku i sumienia, do którego przyzna się każdy prawy myśliciel, o ile, jak się godzi, doświadczał przez czas dłuższy na sobie samym przenikliwości i hartu swojego oka i nawykł do surowej karności tudzież do ścisłości w słowach. Rzecze on »jest coś okrutnego w skłonnościach mojego ducha«: — niechże mu to cnotliwi i ugrzecznieni spróbują wybić z głowy! W istocie, brzmiałoby to grzeczniej, gdyby zamiast o okrucień-

stwo pomawiano i posądzano nas chlubnie bodaj o »nieuskromioną rzetelność«, — nas wolne, bardzo Wolne duchy: — i czyż nie tak rozbrzmiewać kiedyś będzie nasza — pozgonna sława? Tymczasem — nierychło to bowiem nastąpi — my sami bynajmniej nie mamy ochoty przystrajać się w takie moralnych słów szychy i błyskotki: cała nasza dotychczasowa praca obmierziła nam po prostu ten smak oraz jego płochą zbytkowność. Piękne to, skrzące, dźwięczne, godowe słowa: rzetelność, miłość prawdy, miłość mądrości, poświęcenie się poznaniu, bohaterstwo bojownika prawdziwości, — jest w nich coś, co człowieka napawa dumą. Ale my pustelnicy i mruki w cichości swego pustelniczego sumienia przekonaliśmy się już oddawna, iż ten przepych czcigodnych słów należy również do dawnych kłamliwych fraszek, świecidełek i pyłków złotych nieświadomej próżności ludzkiej, tudzież że i pod takiem pochlebstwem barw i malowania dopatrzeć się znów trzeba straszliwego tekstu zasadniczego *homo natura*. Sprowadzić mianowicie człowieka znów do przyrody; zapanować nad wieloma próżnemi i marzycielskiemi tłómaczeniami i ubocznościami, bazgranemi i malowanemi dotychczas na owym wiekuistym zasadniczym tekście *homo natura*, sprawiać, by człowiek wobec człowieka stał odtąd tak, jak zahartowany w karbach wiedzy staje już dzisiaj wobec innej przyrody, z nieulęknionem edypowskiem okiem i zalepionemi odyseuszowskiemi uszyma, głuchy na śpiewania starych ptaszników metafizycznych, którzy mu z dawien dawna podszeptywali: »jesteś czemś więcej! tyś czemś wyższem! innegoś ty pochodzenia!«—dziwne to snadź i szalone zadanie, ale zadanie —

któż zaprzeczy temu! Dlaczegóż wybraliśmy to szalone zadanie? Lub spytajmy inaczej: »dlaczego łakniemy poznania?« — Zapyta nas o to każdy. A my, w ten sposób naciskani, my, cośmy sobie samym stawiali już po stokroć to samo pytanie, nie znaleźliśmy i nie znajdujemy żadnej lepszej odpowiedzi — —

230.

Uczenie się przemienia nas, sprawia to, co wszelkie sprawia odżywianie, które także nie tylko »utrzymuje przy życiu« —: jak to wiadomo fizyologom. Ale w głębi nas, całkiem »na dnie« jest, zaiste, coś, co się pouczyć nie daje, jakaś granitowa duchowego Fatum posada, przedpowzięte rozstrzygnięcie i odpowiedź na przedpowzięte wybrane pytania. Przy każdym zasadniczym problemacie odzywa się nieodmiennie »otom ja«; co do kobiety i mężczyzny naprzykład, nie może myśliciel zmienić zdania, lecz jeno utwierdzić swe zdanie, — jeno odkryć do ostatka to, co dlań w tej sprawie jest »pewnikiem«. Bywają niekiedy pewne rozwiązania problematów, które w nas właśnie budzą silną wiarę; snadź zwiemy je odtąd swemi »przekonaniami«. Później — widzi się w nich jeno ślady, wiodące do samo-poznania, drogowskazy do problematu, którym jesteśmy, — a raczej do wielkiego głupstwa, którem jesteśmy, do naszego duchowego Fatum, do owego coś, leżącego gdzieś tam »na dnie«, co pouczyć się nie daje. — Ze względu na sowitą grzeczność, którą co tylko popełniłem na sobie, chyba że będzie mi wolno wypowiedzieć kilka prawd o »kobiecie samej w sobie«: oczywiście jeżeli

już z góry wiadomo, jak bardzo są one jeno — m o j e m i prawdami. —

231.

Kobieta dąży do samodzielności; nadto poczyna otwierać mężczyznom oczy na »kobietę samą w sobie« — należy to do najzgubniejszych przejawów powszechnego z e s z p e t n i e n i a Europy. Gdyż co za różności muszą dobyć na jaw nieudolne te wysiłki kobiecej uczoności i odsłaniania siebie! Kobieta ma tyle powodów do wstydu: w kobiecie kryje się tyle pedantyczności, powierzchowności, bakalarstwa, małostkowej pretensyonalności, małostkowej niepowściągliwości i nieskromności — dość przyjrzeć się jej postępowaniu z dziećmi! — istotnie najskuteczniej poskramiała i kiełznała to dotychczas o b a w a przed mężczyzną. Biadaż, gdy na dobitkę ośmieli się podnieść głowę »*das Ewig-Langweilige*« w kobiecie — a ma go pod dostatkiem! — gdy swej mądrości i mistrzostwa we wdzięku, w igraszce, w rozpraszaniu trosk, w niesieniu ulg i lekkiem rzeczy ważeniu, kiedy swego subtelnego popędu do miłych grzeszków kobieta gruntownie i zasadniczo wyzbywać się zacznie! Dziś już podnoszą się niewieście głosy, które, na świętego Arystofanesa! przejmują lękiem, dziś już z lekarską dobitnością padają pogróżki, czego kobieta w pierwszym i ostatnim rzędzie c h c e od mężczyzny! Nie jest że to w najgorszym smaku, gdy kobieta gotuje się w ten sposób zostać uczoną? Dotychczas oświecanie było na szczęście rzeczą i udziałem mężczyzn — nie wychodziło poza »nasze kółko«; i osta-

tecznie, mimo wszystko, co kobiety piszą o »kobiecie«, nie trzeba zbytnio dowierzać, by kobieta chciała istotnie oświecać się co do siebie samej — i mogła chcieć... Gdy kobieta nie szuka w ten sposób nowego dla siebie stroju — toć myślę, że strojenie się jest nieodłączne od *das Ewig-Weibliche?* — no, to chce wzbudzać trwogę: — snadź tą drogą dąży do panowania. Lecz nie chce ona prawdy: cóż kobietę obchodzi prawda! Od samego początku nic nie było w kobiecie bardziej niezwykłem, odrażającem, nieprzyjaznem niż prawda, — wielką jej sztuką jest kłamstwo, największą jej chwałą pozór i piękność. Przyznajmyż się do tego, my mężczyźni: czcimy i kochamy w kobiecie tę właśnie sztukę i ten instynkt: jest nam źle, więc, szukając ulgi, lubimy garnąć się do istot, pod których dłońmi, spojrzeniami i pieściwemi szaleństwami nasza powaga, głębia i surowość wydają się nam niemal szaleństwem. Nakoniec stawiam pytanie: przyznałaż kiedy kobieta jakiemu umysłowi kobiecemu głębię, jakiemu sercu kobiecemu sprawiedliwość? I czy to nieprawda, że, naogół rzecz biorąc, »kobieta« najbardziej poniewierana była dotychczas przez samą kobietę — bynajmniej zaś nie przez nas? — My mężczyźni pragniemy, by kobieta przestała kompromitować się oświeceniem: podobnie jak to było objawem troskliwości i pieczołowitości męskiej o kobietę, gdy kościół zawyrokował: *mulier taceat in ecclesia!* Wyszło to na dobre kobiecie, gdy nazbyt wymownej pani de Stael Napoleon dał do zrozumienia: *mulier taceat in politicis!* — i myślę, że ten jest szczerym przyjacielem kobiet, kto dziś im powiada: *mulier taceat de muliere!*

232.

Jest to objawem skażenia instynktów — pomijając już nawet, że jest oznaką złego smaku — gdy kobieta powołuje się właśnie na madame Roland lub madame de Stael lub monsieur George Sand, jak gdyby były one dowodem na korzyść »kobiety samej w sobie«, Śród mężczyzn są wymienione trzema komicznemi kobietami — niczem więcej! — i właśnie najlepszym niedobrowolnym argumentem przeciw emancypacyi i samo-świetności niewieściej.

233.

Głupota w kuchni; kobieta jako kucharka; straszliwa bezmyślność w odżywianiu rodziny i pana domu! Kobieta nie ma pojęcia, co potrawa znaczy; a chce być kucharką! Gdyby kobieta była myślącem stworzeniem, to kucharząc od lat tysiąca, musiałaby niezawodnie dokonać odkrycia najważniejszych zjawisk fjzyologicznych tudzież sztukę leczniczą ująć w swe ręce! Złe kucharki — zupełny brak rozumu w kucharstwie najdłużej powstrzymywał rozwój człowieka, najdotkliwiej mu szkodził: dziś nawet jeszcze nie wiele jest lepiej. Mowa do panien z towarzystwa.

234.

Bywają zwroty i rzuty ducha, bywają sentencye, garsteczki słów, w których krystalizuje się nagle cała jakaś kultura, jakieś cale społeczeństwo. Do nich należą owe słowa pani de Lambert, wyrzeczone przy sposobności do syna: -*»mon ami, ne vous per-*

mettez jamais que de folies, qui vous feront grand plaisir«: — nawiasem najbardziej macierzyńskie i najrozsądniejsze słowa, jakie kiedykolwiek powiedziano do syna.

235.

To, co Dante i Goethe mniemali o kobietach — pierwszy, sławiąc *»ella guardava suso, ed io in lei«,* drugi zaś, przekładając to na *»das Ewig-Weibliche zieht uns hinan«* — : nie wątpię, iż żadna szlachetniejsza kobieta nie zgodzi się na to zdanie, gdyż właśnie to samo mniema o Wiekuiście-Męskiem...

236.

Siedm sentencyjek kobiecych.

Jak to pierzcha nuda snadnie, gdy mężczyzna do stóp padnie!

Dużo wiedzy, latek sporo chwiejnej cnocie jest podporą.

Dość w czerń się ubrać, umilknąć smętnie, aby wyglądać — inteligentnie.

Komuż w szczęściu dzięk przystoi? Bogu! — i krawczyni mojej.

Młoda: ni to w kwieciu chata. Stara: potwór z niej wylata.

Zgrabna nóżka, piękny strój, mąż z tytułem: gdybyż mój!

Krótka mowa, długi wątek — to gołoledź dla oślątek!

236 a.

Mężczyźni postępowali dotychczas z kobietami, jak z ptakami, co zabłąkane zleciały do nich z jakiejś wyżyny, jak z czemś subtelniejszem, uraźliwszem, dzikszem, dziwniejszem, słodszem, bardziej uduchowionem, — lecz zarazem jak z czemś, co zamykać trzeba, aby nie pierzchło.

237.

Nie zdawać sobie jasno sprawy z zasadniczego problematu »mężczyzna i kobieta«, odmawiać mu najotchłanniejszego antagonizmu oraz konieczności wiekuiście wrogiego napięcia, a może snuć nawet marzenia o jednakich dla obu płci prawach, jednakiem wychowaniu, jednakich uroszczeniach i zobowiązaniach: oto typowe znamię płytkości umysłowej, zaś myśliciel, który w niebezpiecznej tej sprawie okaże się płytkim — w swym instynkcie płytkim! — winien uchodzić odtąd za podejrzanego, ba nawet za przenikniętego i odgadnionego: prawdopodobnie nie »dorósł« także do wszystkich innych zasadniczych zagadnień życia, przyszłego również życia i w żadną głębię zstąpić nie zdolen. Mężczyzna natomiast głębokich żądz i ducha a także głębokiej łaskawości, która nie wzdraga się przed surowością i twardością i la-

cno za nie brana bywa, może pojmować kobietę tylko po wschodniemu: — musi uważać kobietę za swą własność, za dające się zamknąć na klucz mienie, za coś, co do służebności jest przeznaczone i w jej karbach doskonałość swą osiąga, — musi polegać w tym względzie na nieprzebranej mądrości azyatyckiej, na górującym instynkcie azyatyckim, jak to czynili niegdyś Grecy, ci najcelniejsi spadkobiercy i uczniowie Azyi, — którzy, jak wiadomo, od Homera po czasy Peryklesa, w miarę wzmagania się kultury i wzrostu siły, stawali się też krok za krokiem surowszymi dla kobiety, słowem, bardziej oryentalnymi. Jak koniecznem, jak logicznem, jak ze stanowiska ludzkiego pożądanem było to nawet: niechaj czytelnik w duszy rozważy!

238.

Płeć słaba w żadnej innej epoce nie była w takiej czci u mężczyzn jak właśnie w naszej — znamię to demokratycznych skłonności i smaku, zarówno jak nieposzanowanie dla wieku —: cóż dziwnego, że cześć ta pociąga zaraz nadużycia za sobą? Zachciewa się więcej, nawyka się do żądań, owa dań czci wydaje się wkońcu niemal czemś uwłaczającem, wolałoby się współzawodnictwo o prawa lub nawet po prostu walkę: słowem, kobieta wyzuwa się ze wstydu. Dodajmyż zarazem, iż wyzuwa się ze smaku. Przestaje lękać się mężczyzny: zaś kobieta, która »lękać się przestaje« zatraca swe najbardziej kobiece instynkty. Ze kobieta wtedy podnosi głowę, gdy to, czem mężczyzna wzbudza trwogę, powiedzmy

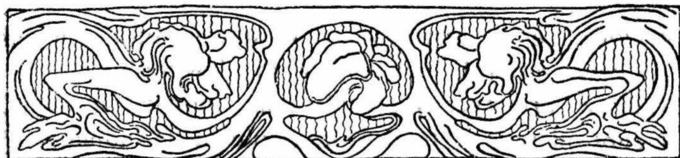
wyraźniej, gdy mąż w mężczyźnie nie jest już przedmiotem starań i chowu, rzecz to nader prosta i łacno zrozumiała; natomiast trudniej pojąć przychodzi, iż kobieta z tego właśnie powodu — wyrodnieje. Dzieje się to dzisiaj: nie łudźmy się co do tego! Gdzie jeno duch przemysłowy wziął górę nad duchem rycerskim i arystokratycznym, tam dąży dziś kobieta do ekonomicznej i prawnej samodzielności kupczyka: »kobieta w roli kupczyka« stoi dziś u progu kształtującego się nowoczesnego społeczeństwa. — W miarę tego przywłaszczania sobie nowych praw, dążenia do »władzy«, wypisywania »postępu« kobiecego na chorągwiach i chorągiewkach, dokonywa się ze straszliwą wyrazistością coś wręcz przeciwnego: kobieta cofa się w swym rozwoju. Od czasów rewolucyi francuskiej wpływ kobiety zmniejszał się w Europie w miarę wzrostu jej praw i uroszczeń; »emancypacya kobieca«, o ile domagają się jej i krzewią same kobiety (nie tylko męskie półgłówki), przedstawia się tedy jako znamienny objaw wzmagającego się osłabienia i przytępienia najistotniejszych kobiecych instynktów. Głupota jest w tym ruchu, samcza niemal głupota, której każda doborowa kobieta — będącą zawsze rozumną kobietą — do głębi wstydzić się winna. Postradać poczucie drogi, wiodącej najpewniej do zwycięstwa; zaniedbać doskonalenia się w właściwem sobie rzemiośle zapaśniczem; wobec mężczyzny zwolnić sobie wodzów, poniżyć się nawet »aż do książki«, kiedy pierwej trzymało się siebie w karbach, przestrzegało się subtelnej chytrej pokory; z cnotliwem zacietrzewieniem podkopywać wiarę mężczyzny w utajony w kobiecie wręcz odmienny ideał, w coś wiekuiście i nieod-

parcie kobiecego; wmawiać w mężczyznę dosadnie i gadatliwie, iż kobieta bynajmniej nie potrzebuje opieki, ochrony, obrony na podobieństwo jakiegoś delikatniejszego, cudnie dzikiego, a nieraz miłego zwierzęcia domowego; gromadzić zawzięcie a nieudolnie dowody niewolniczości i poddańczości, co znamionowały i znamionują jeszcze stanowisko kobiety w do tychczasowym ustroju społecznym (jak gdyby niewolnictwo było przeciw-argumentem, nie zaś warunkiem wszelkiej wyższej kultury, każdego wywyższenia kultury); — i czem-że jest to wszystko, jak nie nadwątleniem instynktów kobiecych, wyzuwaniem się z kobiecości? Nie brak, co prawda, idyotycznych przyjaciół i zauszników kobiecych śród uczonych osłów płci męskiej, namawiających kobietę, by się wyzuwała w ten sposób z kobiecości i małpowała wszystkie te głupstwa, na które »męskość« europejska, na które chorzeje dziś w Europie »mężczyzna«,— chcieliby oni zepchnąć kobietę aż na poziom »ogólnego wykształcenia«, ba nawet aż do czytania dzienników i zajmowania się polityką. Tu i ówdzie chcianoby nawet, by kobieta została wolnomyślną i literatką: jak gdyby kobieta niepobożna nie była dla głębokiego i bezbożnego mężczyzny czemś wręcz odrażającem lub śmiesznem —; wszędzie niemal rozstraja się jej nerwy muzyką najchorobliwszego i najzgubniejszego rodzaju (naszą najnowszą muzyką niemiecką), z dnia na dzień czyni się ją coraz histeryczniejszą, do pierwszego i ostatniego jej powołania, mianowicie do rodzenia krzepkich dzieci, coraz niezdolniejszą. Naogół chcianoby ją jeszcze więcej »kultywować« i, jak to się powiada, »płeć słabą« za pomocą kultury wzmocnić: jak gdyby historya nie

dowodziła nad wyraz niezbicie, iż »kultywowanie« człowieka oraz osłabianie jego — mianowicie osłabianie, rozpraszanie, nadwątlanie siły woli — chodziło zawsze ze sobą w parze, i że najpotężniejsze i najwpływowsze kobiety świata (ostatnio jeszcze matka Napoleona) swą moc, swą nad mężczyznami przewagę zawdzięczały właśnie swej sile woli — nie bakałarzom! — Tem, czem kobieta wzbudza dla siebie cześć a nieraz trwogę jest jej natura, »naturalniejsza« od natury męskiej, jej iście drapieżna przebiegła gibkość, jej szpon tygrysi pod rękawiczką, naiwność jej egoizmu, jej zawziętość i wnętrzna dzikość, nieuchwytność, bezbrzeżność, błędność jej cnót i żądz... Prócz lęku, piękne to i niebezpieczne kocię »kobieta« budzi dla siebie współczucie, gdyż zda się bardziej cierpiącem, łacniej uraźliwem, więcej miłości potrzebującem i na boleśniejsze rozczarowania skazanem od każdego innego zwierzęcia. Z temi uczuciami stawał dotychczas mężczyzna wobec kobiety, zawsze jedną nogą już w tragedyi, co, czarując, rozdziera —. Jakto? I miałożby to teraz się skończyć? Nie zatracaż kobieta swego czaru? Nie stajeż się kobieta zwolna coraz nudniejszą? Oh, Europo, Europo! Znamy to rogate zwierzę, które po wszystkie czasy było ci najmilsze, od którego zawsze zagrażało ci niebezpieczeństwo! Prastara baśń o tobie może przedzierzgnąć się kiedyś w »historyę«, — raz jeszcze może cię uwieść i porwać potworna głupota! A żaden w niej nie tai się bóg, nie! jeno »idea«, » nowoczesna idea«!

ROZDZAŁ VIII.

LUDY I OJCZYZNY



239.

Znów po raz pierwszy zdarzyło mi się słyszeć — Ryszarda Wagnera Uwerturę do *Meistersinger*'ów Wspaniała to, przeładowana, ciężka i źrała sztuka, dumna z tego, iż, by ją zrozumieć, trzeba przyjąć dwieście lat żywej jeszcze muzyki: — chluba to Niemców, iż duma taka się nie zawiodła! Co za skojarzenie sił i soków, pór roku i stref! Wrażenie starodawności, to znów nastrój czegoś niezwykłego, cierpkiego i przemłodocianego; samowola łączy się z tradycyjną pompatycznością; częste przebłyski pustoty ustępują miejsca częstszej jeszcze szorstkości i prostactwu, — jest w tem żywość i ogień, lecz zarazem zwioczczenie i spłowiałość nabłonka owoców, dojrzewających zapóźno. Toczy się fala pełna i szeroka: wtem nagle chwila niepojętego wahania ni to szczelina, ziejąca między przyczyną a skutkiem, jakiś ucisk, pogrążający nas w marzeniu, nieledwie zmora senna —, lecz już roztacza, rozlewa się znów dawny nurt błogości, przerozmaitej błogości, dawnego i nowego szczęścia, w którem przewija się najwyraźniej dobrowolnie nietajony zachwyt artysty ze siebie samego, jego zdumione szczęsne współprze-

świadczenie o mistrzostwie w użyciu tutaj swych środków, nowych nowonabytych niewypróbowanych środków artystycznych, jak nam mówić się zdaje. Naogół niema w tem piękna, niema Południa, ani śladu subtelnej jaśni południowych niebiosów, ani śladu gracyi, brak pląsu, jest zaledwie wola logiczna; nawet jakowaś niezgrabność, podkreślana jeszcze w dodatku, jak gdyby artysta chciał nam rzec: » wywołałem ją umyślnie«; jakaś ociężała powłóczystość, coś rozmyślnie barbarzyńskiego i uroczystego, mżenie uczonych i czcigodnych kosztowności i koronkowości; coś niemieckiego w najlepszem i najgorszem znaczeniu tego słowa, coś na niemiecką modłę różnorakiego; niekształtnego i niewyczerpanego, jakowaś niemiecka wielmożność i szczodrość duszy, która nie boi się ukrywać pod *raffinements* upadku, — która dopiero tam najlepiej snadź się czuje; szczere prawe znamię niemieckiej duszy, przestarzałej i razem młodej, przejrzałej a przebogatej w przyszłość. Ten rodzaj muzyki wyraża najlepiej to, co myślę o Niemcach: są oni przedwczorajsi i pojutrzejsi, — lecz nie mają jeszcze swego dzisiaj.

240.

My »dobrzy europejczycy«: mamy i my chwile, gdy pozwalamy sobie roztkliwiać się swojskością, pławić i nurzać się znów w dawnych czułostkach i cieśniach — dałem właśnie dowód tego —, chwile swojskich zachwytów, »patryotycznych« trosk oraz wszelkich innych staroświeckich przypływów uczuciowych. Ociężalsze od nas duchy potrzebują snadź na pokonanie tego, co u nas na godziny się liczy i z go-

dżinami kresu swego dobiega, dłuższego czasu, jedne pół roku, inne pół życia ludzkiego, zależnie od siły i chyżości, z jaką trawienie i »przemiana materyi« u nich się odbywa. Ba, mógłbym wyobrazić sobie tępe opieszałe rasy, które nawet w naszej lotnej Europie potrzebowałyby całych półwieczy, by otrząsnąć się z takich dziedzicznych napadów parafiańszczyzny i zaściankowości i powrócić znów do rozumu, chcę rzec, do »prawej europejskości«. Rozmyślając nad tą możliwością, miałem sposobność być świadkiem rozmowy dwóch starych »patryotów«: — widocznie nie dosłyszeli obaj, więc rozmawiali tem głośniej. »o filozofii niema on pojęcia i zna się na niej tyle, co chłop lub bursz niemiecki — mówił jeden —: to jeszcze niewiniątko. Ale to mniejsza! Żyjemy w epoce tłumów: te padają na twarz przed wszystkiem tłumnem. Tak samo *in politicis*. Mąż stanu[1]), który napiętrzy im nową wieżę Babel, jakiś ogrom państwowy i mocarstwowy, jest dla nich »wielkim«: — cóż stąd, iż my przezorniejsi i powściągliwsi nie możem zaprzeć się jeszcze dawnej wiary, że jedynie wielka myśl stanowi o wielkości jakiegoś czynu i sprawy. Dajmy na to, iż jakiś mąż stanu postawi lud swój w tem położeniu, że ten będzie musiał uprawiać odtąd »wielką politykę«, acz nie jest do niej z natury uzdolniony i przygotowany: dla nowej wątpliwej mierności trzeba więc będzie poświęcić swe stare pewne cnoty, — dajmy na to, iż jakiś mąż stanu skaże wogóle lud swój na »politykowanie«, acz tenże miał dotychczas coś lepszego do czynienia i do myślenia

---

*) Aluzya do Bismarcka i »napiętrzonej przezeń wieży Babel« — Rzeszy Niemieckiej. *(Przyp. tłóm.)*.

ślenia i w głębi swej duszy nie wyzbył się przezornego wstrętu do niepokoju, próżni i zgiełkliwej kłótliwości istotnie politykujących ludów: — dajmy na to, iż ów mąż stanu rozbudzi uśpione namiętności i pożądliwości swego ludu, że z jego nieśmiałości i skłonności do stania na uboczu uczyni zmazę, z jego cudzoziemczyzny i tajnej bezkresności winę, że poniży jego najserdeczniejsze popędy, spaczy jego sumienie, zacieśni jego ducha, »znacyonalizuje« smak jego, — jakto! mąż stanu, któryby tego wszystkiego dokonał, za którego lud w całej swej przyszłości, o ile ma przyszłość przed sobą, pokutować by musiał, byłżeby taki mąż stanu wielkim?« »Bezsprzecznie! odparł popędliwie drugi stary »patryota«: toć nie dokazałby tego! A może było szaleństwem czegoś takiego pragnąć? Ale czyż wszystko wielkie nie było w początkach jeno szalonem!« — »Nadużycie słów! wrzasnął towarzysz na to: — silny! silny! silny i szalony! Nie wielki!« — Staruszkowie roznamiętnili się widocznie, wykrzykując sobie w oczy swe prawdy; ja zaś, w swem szczęściu i zaświeciu, rozmyślałem nad tem, jak rychło silnym zawładnie jeszcze silniejszy; i że duchowe spłyczczenie jednego ludu wyrównywa się przez pogłębienie innego ludu. —

241.

Nazwiemy-li to, w czem europejczyk dzisiejszy widzi swą chlubę, »cywilizacyą« lub »uczłowieczeniem« lub »postępem«; czy określimy po prostu, nie chwaląc i nie ganiąc, polityczną formułą jako demokratyczny ruch Europy: poza wszystkiemi

temi moralnemi i politycznemi tłami, ujmowanemi w takie formuły, dokonywa się olbrzymi proces fizyologiczny, roztaczający się coraz bardziej, — proces upodobniania się europejczyków, stopniowe ich wyjarzmianie się z warunków, w których powstają więzami klimatu i stanów skrępowane rasy, wzrastająca ich niezależność od wszelkiego określonego *milieu,* co na całe wieki pragnęłoby wyryć w ciele i duszy ślady swych żądań, — zatem powolne wyłanianie się istotnie nadnarodowej i tułaczej odmiany człowieka, której typowem znamieniem, fizyologicznie się wyrażając, jest *maximum* siły i umiejętności przystosowywania się do warunków. Proces ten stającego się europejczyka, opóźniany w swem *tempie* wielkiemi cofaniami się, lecz snadź dlatego właśnie rosnący i nabierający skupienia i głębi — należy tu srożąca się dziś jeszcze walka i nawałnica »uczuć narodowych« tudzież nurtowania anarchistyczne —: proces ten zmierza prawdopodobnie do wyników, nie przewidywanych snadź bynajmniej przez naiwnych jego krzewicieli i chwalców, apostołów »nowoczesnych idej«. Też same nowe warunki, w których naogół odbywać się pocznie zrównanie i zmiernienie człowieka — do rzędu pożytecznego, roboczego, zdatnego nieraz i obrotnego zwierzęcia stadnego człowieka —, sprzyjają również w najwyższym stopniu powstawaniu wyjątkowego człowieka najgroźniejszego i najbardziej pociągającego pokroju. O ile bowiem owa zdolność przystosowywania się wystawiana wciąż na próbę zmiennych warunków, z każdem pokoleniem, z każdem niemal dziesięcioleciem nową poczynająca pracę, uniemożliwia wręcz krzepkość typu; o ile ogólne tło takiego przy-

szłego europejczyka będzie prawdopodobnie tworzył różnorodny, gadatliwy, pozbawiony woli i nadzwyczaj obrotny wyrobnik, potrzebujący pana, rozkazodawcy, jak powszedniego chleba; o ile zatem demokratyzowanie Europy zmierza ku wytworzeniu typu w najsubtelniejszem znaczeniu przygotowanego do niewolnictwa: o tyle, w poszczególnych i wyjątkowych razach, człowiek silny będzie musiał pienić się potężniej i wspanialej, niż pienił się snadź dotychczas, — dzięki wolnemu od przesądów swemu ukształceniu, dzięki olbrzymiej różnorodności ćwiczenia, sztuki i maski. Chciałem powiedzieć: demokratyzowanie Europy jest zarazem niedobrowolnem przygotowywaniem podłoża pod posiew tyranów, — słowo pojęte w każdem znaczeniu, nawet najbardziej duchowem.

242.

Dowiaduję się z zadowoleniem, iż nasze słońce podąża chyżo ku konstelacyi Herkulesa: i mam nadzieję, że człowiek na tej ziemi pójdzie za przykładem słońca? A my, my dobrzy europejczycy, przodem! —

243.

Był czas, kiedy wyróżniano Niemców określeniem »głęboki«: dziś, gdy najudatniejszy typ nowego Niemca całkiem innych łaknie zaszczytów i we wszystkiem, co głębokie, widzi snadź brak »tężyzny«, patryotyczną i niemal w duchu czasu jest wątpliwość, czy pochwałą ową nie oszukiwano się ongi: słowem,

czy głębokość niemiecka nie jest w istocie czemś innem i gorszem — czemś, z czego, Bogu dzięki, z powodzeniem otrząsnąć się zamierzamy. Spróbujmyż zatem co do głębokości niemieckiej zmienić zdanie: nie trzeba do tego nic więcej okrom pobieżnej wiwisekcyi duszy niemieckiej. — Dusza niemiecka jest przedewszystkiem różnorodna, z różnych poczęta źródeł, raczej poskładana i nawarstwiona niż istotnie zbudowana: jest to następstwem jej pochodzenia. Niemiec, co śmiałby utrzymywać »dwie dusze kryję, ach! w piersi mej«, rozminąłby się fatalnie z prawdą, a raczej pozostałby o wiele dusz za prawdą. Jako lud utworzony z najpotworniejszego pomieszania i zespolenia się ras, w którym snadź przeważa nawet żywioł przedaryjski, jako »lud środka« w każdem znaczeniu, są Niemcy dla siebie samych do ujęcia trudniejsi, rozleglejsi, sprzeczniejsi, mniej znani, bardziej nieobliczalni, bardziej zastanawiający, nawet bardziej zastraszający niźli inne ludy: — urągają wszelkiej definicyi i już dla tego doprowadzają do rozpaczy Francuzów. Znamionuje to Niemców, iż pytanie »co jest niemieckiem?« nie zamiera u nich nigdy. Kotzebue znał jużcić dobrze swych Niemców: »jesteśmy poznani« wykrzykiwali radośnie — lecz Sand'owi zdawało się także, że ich zna. Jean Paul snadź wiedział, co czyni, gdy karcił z gniewem kłamliwe ale patryotyczne pochlebstwa i przesady Fichtego, — jest to jednak prawdopodobnem, iż Goethe innego był o Niemcach zdania niż Jean Paul, acz co do Fichtego przyznawał mu słuszność. Co Goethe myślał właściwie o Niemcach? — Lecz wielu rzeczy nie poruszał on w rozmowie nigdy i przez całe życie posiadał dar subtelnego milczenia: — snadź miał

ku temu powody. To pewna, że nie »wojny o niepodległość« i nie rewolucya francuska napawały go otuchą, — zdarzeniem, dla którego całego Fausta, ba nawet cały problemat »człowieka« przemyślał nanowo, było pojawienie się Napoleona. Zachowały się słowa Goethego, któremi z jakąś niecierpliwą surowością, gdyby z zagranicy, potępił to, co Niemcy uważają za swoją chlubę: słynne niemieckie *Gemüth* określił raz jako »pobłażliwość na słabości własne i cudze«. Nie miał-że słuszności? — znamionuje to Niemców, iż rzadko co do nich nie ma się słuszności. Dusza niemiecka ma w sobie labirynty i krużganki, są w niej jaskinie, kryjówki, sklepione podziemia; nieład jej ma jakiś urok tajemniczości; Niemiec zna manowce, wiodące do Chaosu. A jak każda rzecz lubi swe podobieństwo, tak też Niemiec lubi obłoki i wszystko, co niejasne, stające się i majaczące, wilgotne i zakryte: wszystko, co niepewne, nie wykrystalizowane, przesuwające się, rosnące, zda się mu »głębokiem«. Niemiec nie istnieje nawet, on staje się, »rozwija się«. Dlatego »rozwój« jest istotnie niemieckim pomysłem i nabytkiem w wielkiej dziedzinie formuł filozoficznych: — pojęciem rządzącem, co wraz z niemieckiem piwem i niemiecką muzyką pracuje nad zniemczeniem całej Europy. Cudzoziemcy stają z podziwem i ciekawością wobec zagadki, zadawanej im przez sprzeczność natury w istocie duszy niemieckiej (sprzeczność tę Hegel ujął w system, zaś Ryszard Wagner przełożył w końcu nawet na muzykę). »Dobroduszny i zdradliwy« — połączenie takie niedorzeczne co do innego ludu, sprawdza się, niestety, zbyt często w Niemczech: dość żyć czas jakiś śród Szwabów! Ociężałość

niemieckich uczonych, ich towarzyskie nieokrzesanie godzi się straszliwie łatwo z jakowemś wnętrznem linoskoctwem i lekką śmiałością, której wszyscy bogowie lękać się już nauczyli. Chcąc zbadać *ad oculos* duszę niemiecką, dość zajrzeć w niemiecki smak, w niemieckie sztuki i obyczaje: co za chamska na »smak« obojętność! Co za mieszanina najszlachetniejszego i najpospolitszego! Jak-że nierządnem i bogatem jest to całe gospodarstwo duchowe! Niemiec *wlecze* swą duszę: wlecze za sobą wszystko, czego dozna w życiu. Trawi swe doświadczenia licho, nie »kończy« z niemi nigdy; głębokość niemiecka nieraz bywa li ciężkiem opieszałem »trawieniem«. A jak wszyscy nałogowo chorzy, jak wszyscy dyspeptycy lubią wygody, tak też Niemiec lubi »otwartość« i »zacność« : to tak *wygodnie* być otwartym i zacnym! — Jest to snadź najniebezpieczniejsze i najfortunniejsze przebranie, w jakiem celuje Niemiec, ta ufność, ta uprzedzająca gotowość, to rozkrywanie kart, znamionujące *prawość* niemiecką: jest to właściwa mu mefistofeliczna chytrość, z którą »daleko zajść« jeszcze może! Niemiec opuści ręce, spojrzy swemi dobremi błękitnemi czczemi niemieckiemi oczyma — a zagranica widzi zaraz jego szlafrok! — Chciałem powiedzieć: niechaj »głębokość niemiecka« będzie sobie, czem chce, — toć między nami wolno zadrwić z niej po cichu? — rzecz mimo to chwalebna, iż chcemy zachować nadal jej pozory i nieskazitelność, że chlubnego zakorzenionego uznania dla głębokości naszej nie chcemy oddać za cenę »tężyzny« pruskiej, konceptów i tumanów berlińskich. Świadczy to dobrze o roztropności jakiegoś ludu, gdy wyrobi sobie opinię, gdy *chce* mieć opinię głębokiego, niepo-

radnego, dobrodusznego, prawego, nieroztropnego: świadczyłoby to nawet — o głębokości jego! Naostatek: dbajmyż o chwałę swego imienia, — niedarmoż zowiemy się -»*tiusche Volk«,* zwodnym ludem. —

244.

Przeminął »dawny dobry« czas, wyśpiewał się w Mozarcie: — jakież to szczęście dla nas, iż rokoko jego przemawia do nas jeszcze, że jego »dobre towarzystwo«, jego pieściwe rojenia, jego dziecinne lubowanie się chińszczyznami i floresami, jego serdeczna uprzejmość, jego upodobanie do ładności, czułości, taneczności, błogiej łzawości, jego wiara w Południe do jakiegoś w nas szczątka zakołatać jeszcze może! Ach, kiedyś i to minie; — lecz któż śmiałby wątpić, iż jeszcze rychlej przestaniemy przejmować i lubować się Beethovenem! — toć był on jeno echem przełomowego i przejściowego stylu, nie zaś, jak Mozart, odzewem wielkiego wiekowego europejskiego smaku. Beethoven jest epizodem między starą spróchniałą duszą, co wciąż się kruszy, a przyszłą przemłodocianą duszą, co wciąż przybywa; muzykę jego zalega pomrok wiekuistej utraty i wiekuiście Wyjarzmiającej się nadziei, — ten sam pomrok, w którym pławiła się Europa, snując marzenia z Rousseau'em, pląsając dokoła rewolucyjnego drzewa wolności, a wkońcu ubóstwiając niemal Napoleona. Aliści jak szybko wygasa dziś właśnie to uczucie, jak trudno znać bodaj to uczucie, — jak obcą jest dla naszego ucha mowa takich Rousseau'ow, Schillerów, Shelleyów, Byronów, a u nich to wszystkich przejawiła się w słowie ta sama dola Europy,

co rozśpiewała się w Beethovenie! Późniejsze dzieła muzyki niemieckiej należą do romantyki, to znaczy, z historycznego stanowiska, do jeszcze krótszego, jeszcze pierzchliwszego, jeszcze powierzchowniejszego prądu, niźli ów wielki okres przełomowy, owo przejście Europy od Rousseau'a do Napoleona i do wyłonienia się demokracyi. Weber: lecz czem-że jest dziś dla n a s *Freischütz* i *Oberon!* Albo Marschner'a *Hans Heiling* i *Vampyr!* Lub nawet *Tannhäuser* wagnerowski! To muzyka przebrzmiała, acz jeszcze nie zapomniana. Cała ta muzyka romantyczna była przytem niedość dostojną, niedość muzyką, by także gdzieindziej zachować dla siebie uznanie, nie tylko w teatrze i wobec tłumu; była ona z założenia muzyką drugorzędną, z którą niezbyt się liczyli prawdziwi muzycy. Inaczej rzecz się miała z Feliksem Mendelssohnem, owym halkyońskim mistrzem, który dla swej lżejszej, czystszej, bardziej uszczęśliwionej duszy rychło zasłynął i równie rychło zapomniany został: jako piękny muzyki niemieckiej e p i z o d. Co zaś tyczy Roberta Schumanna, co mozolił się ciężko i od samego początku mozolnie też pojmowanym bywał — ostatni to twórca szkoły —: nie zdajeż się nam szczęściem, odetchnieniem, wyswobodzeniem, przezwyciężenie tej właśnie romantyki schumanowskiej? Schumann, pierzchający do »saskiej Szwajcaryi« swej duszy, nastrojony napoły werther’ycznie napoły jean-paul’icznie, napewno zaś nie beethoven’icznie! napewno nie byronicznie! — jego muzyka do *Manfreda* jest pomyłką i niezrozumieniem, posuniętem do niesprawiedliwości —, Schumann ze swym smakiem, co był w istocie m a l u c z k i m smakiem (mianowicie niebezpieczną, zaś śród Niemców podwój-

nie niebezpieczną skłonnością do cichego liryzmu i opiłości uczuciowej), wciąż się odsuwający, lękliwie się wymykający i zamykający, szlachetny pieszczoch bezimiennem szczęściem i bólem rozkoszujący się jedynie, ni to dziewczyna i *noli me tangere* od samego początku: Schumann był w muzyce zjawiskiem jeno niemieckiem, nie zaś europejskiem jak Beethoven, jak, w wyższym jeszcze stopniu, Mozart, — przez niego zagrażało muzyce niemieckiej największe niebezpieczeństwo, mianowicie iż postrada głos, wstrząsający duszą Europy, i znijdzie do rzędu zwykłej parafiańszczyzny. —

245.

— Jaką męką są po niemiecku pisane książki dla człowieka, co ma trzecie ucho! Z jakąż niechęcią stoi on obok tego zwolna przewracającego się bagna dźwięków bez dźwięku, rytmów bez pląsu, które Niemcy zwą »książką«! A dopiero Niemiec czytający książki! Jak leniwie, jak obrzydliwie, jak licho on czyta! Iluż to Niemców wie i wymaga od siebie tej wiedzy, że w każdem dobrem zdaniu kryje się sztuka, — sztuka, którą odgadnąć trzeba, jeżeli zdanie to ma być zrozumianem! Niezrozumienie naprzykład jego *tempa:* i samo zdanie jest już niezrozumiane! Iżby co do rytmicznie ważkich zgłosek nie miał czytelnik żadnej wątpliwości, iżby odczuł rozmyślność i urok w przełamaniu nazbyt surowej symetryi, iżby wsłuchiwał się subtelnie i cierpliwie w każde *staccato* i każde *rubato,* iżby pojął znaczenie następstwa samogłosek i dwugłosek, oraz jak pieściwie i szczodrze mogą one kolejno barwami tęczować

i barwy zmieniać: któż śród Niemców, czytających książki, ma ochotę uznać obowiązki i wymagania tego rodzaju, przysłuchiwać się tak wielkiej sztuce i celowości w mowie? Toć ostatecznie »nie ma się słuchu«: więc najpotężniejsze kontrasty stylowe przechodzą mimo uszu a najwykwintniejsze mistrzostwo marnuje się bezowocnie jak wobec głuchych. — Przyszło mi to na myśl, gdym zauważył, jak nieudolnie i niewrażliwie mylono się w rozróżnianiu dwóch mistrzów w sztuce prozy: jednego, u którego słowa spadają chłodne i nieskore, ni to ze sklepienia wilgotnej jaskini — chodzi mu o to, by dźwięczały i oddźwiękiwały głucho — i drugiego, który włada swą mową gdyby gibkim brzeszczotem i od ramienia aż po same stopy doznaje groźnego szczęścia drgającej, wyostrzonej stali, co chciałaby syczeć, gryść i ciąć. —

246.

Jak mało styl niemiecki ma wspólnego z dźwiękiem i uchem, świadczy ta okoliczność, iż właśnie najlepsi muzycy nasi piszą licho. Niemiec nie czyta głośno, nie czyta dla ucha, lecz tylko oczyma: uszy swe chowa przy czytaniu do szuflady. Człowiek starożytny odczuwał coś, gdy czytał — a działo się to dość rzadko — na głos; dziwiono się, gdy ktoś czytał po cichu i zapytywano o powody. Na głos: ma to znaczyć, ze wszystkiemi falowaniami, wygięciami, zwrotami tonu i zmianami *tempa,* w których lubował się starożytny świat publiczny. Podówczas prawidła stylu pisarskiego były te same, co stylu krasomówczego; a prawidła te zależały po części od zdumiewają-

cego wykształcenia tudzież wybrednych wymagań ucha i krtani, po części zaś od siły, wytrwałości i hartu płuc starożytnych. Okres w znaczeniu starożytnem jest przedewszystkiem całością fizyologiczną, ile że zawiera się w jednym oddechu. Okresy takie, jakie zdarzają się u Demostenesa lub Cicerona, dwukrotnie wzbierające i dwukrotnie opadające, zaś to wszystko w zakresie jednego tchu: oto rozkosze ludzi starożytnych, którzy z własnego doświadczenia umieli ocenić zalety, niezwykłość i trudność w wygłoszeniu takiego okresu: — my właściwie nie mamy prawa do wielkiego okresu, my ludzie nowocześni, o krótkim w każdem znaczeniu oddechu! Lecz ci starożytni byli wszyscy w wymowie sami dyletantami, a więc znawcami, a więc krytykami, — zmuszali zatem swych mówców do wysiłków; podobnie jak w ubiegłym stuleciu, gdy wszystkie Włoszki i wszyscy Włosi ćwiczyli się w śpiewie, mistrzostwo w śpiewie (a zarazem sztuka melodyki —) dosięgnęło u nich szczytu. W Niemczech istniała (do ostatnich czasów, gdy coś w rodzaju krasomówstwa publicznego doić lękliwie i nieudolnie rozpina do lotu nieupierzone swe skrzydła) właściwie jedna tylko odmiana publicznej i w przybliżeniu zgodnej z prawidłami sztuki wymowy: mianowicie wymowa kaznodziejska. Jeno kaznodzieja wiedział w Niemczech, jaką wagę ma zgłoska i słowo, jak zdanie smaga, zrywa się, rzuca, bieży, wybiega, jeno on miał sumienie: w uszach niejednokrotnie nieczyste sumienie: nie brak bowiem dowodów na to, iż właśnie Niemiec celuje w wymowie rzadko, nieomal zawsze po niewczasie. Dlatego arcydziełem niemieckiej prozy było oczywiście arcydzieło największego kaznodziei. Najlepszą książką niemiecką była

dotychczas B i b l i a. W porównaniu z Biblią Lutra jest wszystko inne niemal jeno »literaturą« — czemś, co nie wyrosło na niemieckiej ziemi i dlatego też nie wrosło i nie wrasta w niemieckie serca: jak to się stało z Biblią.

247.

Są dwa rodzaje geniuszu: jeden, co przedewszystkiem płodzi i chce płodzić, drugi, co chętnie zapładniać się pozwala i rodzi. Śród genialnych ludów są też takie, którym przypadło w udziale kobiece zadanie brzemienności tudzież tajny obowiązek kształtowania, rozwijania, doskonalenia — Grecy byli, naprzykład, ludem tego rodzaju, także Francuzi — oraz takie, które muszą zapładniać i stawać się przyczyną nowego ładu życia — na podobieństwo Żydów, Rzymian i, jeśli skromnie zapytać wolno, Niemców? — Ludy dręczone i upajane nieznaną gorączką, niepowstrzymanie prące się na zewnątrz, rozkochane i pożądające lubieżnie ras obcych (takich, co »zapładniać się dają« —) a przytem władcze, jak to wszystko, co ma świadomość pełni swych sit męskich i przeto mniema, że jest »z bożej łaski«. Oba te rodzaje geniuszu szukają się wzajem jak mężczyzna i kobieta; ale też nie rozumieją się nawzajem, — jak mężczyzna i kobieta.

248.

Każdy lud ma swą własną tartuferyę i zwie ją swemi cnotami. — Nie znamy tego, co w nas najlepsze, — znać nie możemy.

249.

Co Europa zawdzięcza Żydom? — Wiele rzeczy dobrych i złych, zaś przedewszystkiem jedną, która jest razem najlepszą i najgorszą: wielki styl w morale, grozę i majestat nieogarnionych żądań, nieogarnionych znaczeń, całą romantykę i szczytność zagadkowości moralnych — zatem właśnie najponętniejszą, najwyborowszą i najbardziej zwodniczą cząstkę owych gier barw i pokuszeń do życia, których poświata żarzy się dziś — i snadź już dożarza — na niebie naszej europejskiej kultury, na jej wieczornem niebie. My artyści śród widzów i filozofów jesteśmy za to Żydom — wdzięczni. —

250.

Trzeba być ostrożnym, gdy ducha jakiegoś ludu, który na grączkę nacyonalną i ambicyę polityczną cierpi, c h c e cierpieć —, przyćmią różne chmury i tumany, słowem gdy pojawią się maluchne napady ogłupienia: naprzykład u Niemców dzisiejszych głupota antyfrancuska, to antyżydowska, to antypolska, to chrześciańsko-romantyczna, to wagneryańska, to teutońska, to pruska (przyjrzyjmyż się tym biednym historykom, tym Syblom i Treitschkom i ich łbom zakutym —), i jak tam zwać się mogą maluchne kołowacizny niemieckiego ducha i sumienia. Proszę mi wybaczyć, iż i ja także, zabłąkawszy się nieoględnie w nader zakażone środowisko, nie ustrzegłem się zupełnie tej choroby i, za przykładem całego świata, zacząłem snuć już sobie myśli o rzeczach, które zgoła mnie nie obchodzą: pierwsza politycznego

zakażenia oznaka. Naprzykład o Żydach: posłuchajcież! — Nie spotkałem jeszcze Niemca, coby sprzyjał Żydom: i aczkolwiek wszyscy ludzie przezorni, wszyscy politycy występują bezwzględnie przeciw właściwemu antysemitnictwu, to jednak ta przezorność i polityka zwraca się nie tyle przeciwko rodzajowi uczucia, ile przeciw groźnemu nieumiarkowaniu jego, zwłaszcza przeciw niesmacznym i haniebnym objawom tego nieumiarkowanego uczucia,— nie oddawajmyż się pod tym względem złudzeniom! Iż Rzesza Niemiecka ma Żydów pod dostatkiem, iż żołądek niemiecki, krew niemiecka mozoli się (i długo jeszcze mozolić się będzie), by uporać się bodaj z tą dawką »Żyda« — jak, dzięki swemu energiczniejszemu trawieniu, uporał się z nim Włoch, Francuz, Anglik — : stwierdza to wymownie i świadczy o tem powszechny instynkt, na którym polegać, wedle którego postępować trzeba. »Nie wpuszczać więcej Żydów! A zwłaszcza od Wschodu (także od Austryi) zaprzeć wrota!« tak nakazuje instynkt ludu, którego indywidualność jest jeszcze tak wątła i nieokreślona, iż łatwo zatartą, łatwo przez jakąś silniejszą rasę zniweczoną być może. Żydzi zaś są bez wątpienia najsilniejszą najodporniejszą i najczystszą rasą, jaka istnieje obecnie w Europie: w najniepomyślniejszych okolicznościach (lepiej nawet niż w pomyślnych) umieją poradzić sobie dzięki jakowymś cnotom, które dziś jako występki chętnie napiętnować by chciano — dzięki przedewszystkiem rezolutnej wierze, która bynajmniej nie ma powodu się wstydzić wobec »nowoczesnych idej«; zmieniają się oni, jeżeli się zmieniają, zawsze wedle zasady »możliwie wolno!« Myśliciel, któremu przyszłość Europy

leży na sumieniu, snując co do przyszłości tej plany, będzie się liczył z Żydami i Słowianami jako z najpewniejszymi i w najbliższym czasie najprawdopodobniejszymi czynnikami w wielkiej grze tudzież zmaganiu się sił. To, co w Europie zowie się dziś »narodem«, a jest właściwie raczej *res facta* niż *nata* (ba, *res ficta et pieta* łudząco przypomina niekiedy —), bądź co bądź jest czemś stającem się, młodocianem, łatwo zmiennem, nie jest jeszcze rasą, a tem mniej takiem *aere perennius,* jakiem jest szczep żydowski: »narody« te powinnyby unikać starannie wszelkich czupurnych rywalizacyj i zatargów! Że Żydzi, gdyby zechcieli — lub gdyby zmuszono ich do tego, co snadź jest zamiarem antysemitów —, już teraz mogliby zdobyć przewagę, ba, zawładnąć dosłownie Europą, to pewna; że nie to jest celem ich pracy i dążeń, również. Na teraz chcą i pragną, z niejaką nawet natarczywością, rozpłynąć się w Europie, dać się jej wchłonąć, gdzieś wreszcie na stałe osiąść, zjednać sobie poważanie i względy, kres swemu tułaczemu życiu, swemu »wiecznemu żydostwu« położyć; ten prąd, to parcie (co samo przez się zda się już oznaką złagodnienia instynktów żydowskich) należałoby mieć na względzie i przychodzić mu z pomocą: w tym celu byłoby snadź rzeczą godziwą i pożyteczną antysemickich krzykaczy wyświecić z kraju. Przychodzić mu z pomocą nader przezornie, przestrzegać doboru; mniej więcej jak to czyni szlachta angielska. Leży to jak na dłoni, iż wchodzić z nimi w związki mogłyby bezkarnie tylko krzepsze i silniej już skrystalizowane typy niemieckie, naprzykład szlacheccy oficerowie z Kresów: z wielu względów byłoby rzeczą nader zajmującą przekonać się

czy z dziedziczną sztuką rozkazywania i posłuchu — wymieniony kraj jest obecnie klasyczną ojczyzną jednego i drugiego — da się skojarzyć, czy da się na niej zaszczepić geniusz cierpliwości i pieniądza (a przedewszystkiem nieco duchowości, na której tam przeraźliwie zbywa —). Lecz wypadnie mi przerwać wesołą mówkę i o niemieckich sprawach pogawędkę: gdyż potrąciłem właśnie o rzecz wielkiej wagi, o »problemat europejski«, jak go pojmuję, o hodowlę nowej Europą rządzącej kasty. —

251.

Niefilozoficzna to rasa — ci Anglicy: Bacon oznacza zamach na filozoficznego ducha wogóle, Hobbes, Hume i Locke obniżenie i poniżenie pojęcia »filozof« przeszło na całe stulecie. Przeciw Hume'mu dźwignął się i wydźwignął Kant; o Locke'u miał prawo powiedzieć Schelling: »*je méprise Locke*«: w walce z angielsko-mechanistycznem ogłupieniem świata szli zgodnie Hegel i Schopenhauer (z Goethem), dwa te we filozofii wrogie sobie geniusze bratnie, co, dążąc ku przeciwległym biegunom niemieckiego ducha, krzywdziły się przytem, jak krzywdzą się tylko bracia. — Czego w Anglii niema i nie było nigdy, wiedział o tem wcale dobrze ów nawpół aktor i retor, niesmaczny rozwichrzeniec Carlyle, który pod namiętnymi grymasami starał się ukryć, co wiedział o sobie: mianowicie czego brakowało w Carlyle'u — właściwej mocy duchowości, właściwej głębi duchowego wzroku, słowem, filozofii. — Znamiennym rysem takiej niefilozoficznej rasy jest jej przywiązanie do chrześcian-

stwa: potrzebuje ona jego karności dla »moralizowania« i uczłowieczania. Anglik posępniejszy, bardziej zmysłowy, silniejszą obdarzony wolą i brutalniejszy od Niemca, — jest też, jako typ pospolitszy, pobożniejszym od niego: i dlatego właśnie trudniej mu obyć się bez chrześciańśtwa. Dla subtelniejszych nozdrzy nawet to chrześciaństwo angielskie zalatuje jeszcze iście angielskimi wyziewami *spleen'*u i nadużyć alkoholicznych, na które nie bez słuszności jako środek leczniczy stosowane bywa, — trucizna subtelniejsza niweczy mianowicie truciznę pospolitszą: zatrucie subtelniejsze jest u nieokrzesanych ludów istotnie już postępem, szczeblem do uduchowienia. Najznośniejszą jeszcze osłonką chamstwa i prostactwa angielskiego, lub raczej najznośniejszem jego przeistoczeniem i upozorowaniem są praktyki chrześciańskie, modły i śpiewania psalmów; a dla tej trzody opojów i hultajów, co niegdyś pod wpływem metodyzmu, w nowszych zaś czasach jako »armia zbawienia« moralnie chrząkać się uczy, spazmy pokutne są snadź istotnie stosunkowo najświetniejszym popisem »uczłowieczenia«, do jakiego jest zdolna: zaprzeczyć temu nie można. Jednakże w najbardziej nawet uczłowieczonym Angliku obraża brak gędźby, mówiąc w przenośni (i bez przenośni —): w ruchach jego duszy i ciała niema taktu i pląsu, ba, nie pragnie on nawet taktu i pląsu, nie pragnie »muzyki«. Dość posłuchać, jak mówi; dość przypatrzyć się, jak najpiękniejsze Angielki chodzą — w żadnym kraju na ziemi niema piękniejszych gołębi i łabędzi, — naostatek: dość posłuchać, jak śpiewają one! Lecz żądam za wiele — —

252.

Bywają prawdy, które najlepiej przyswajają sobie mierne głowy, gdyż są dla nich najodpowiedniejsze, bywają prawdy, co jeno dla miernych duchów posiadają urok i ponętę: — tego snadź niemiłego przeświadczenia nabywa się teraz, odkąd duch zacnych, lecz miernych Anglików — takiego Darwina, John'a Stuart'a Mill'a i Herberta Spencera — w średnich europejskiego smaku warstwach jął brać górę. Bo i któżby zaprzeczał użyteczności chwilowego t a k i c h duchów panowania? Byłoby mylnem, właśnie wyszczytnionym i lecącym opodal duchom przypisywać szczególniejsze zdolności do ustalania, gromadzenia i ujmowania we wnioski licznych drobnych pospolitych faktów: — owszem, jako wyjątki, z założenia nie posiadają one warunków, badaniu »reguł« sprzyjających. Nadto ich celem jest coś więcej niźli poznanie — mianowicie mają b y ć czemś nowem, coś nowego o z n a c z a ć, nowe p r z e d s t a w i a ć wartości! Przepaść między w i e d z i e ć a m ó d z jest snadź większa i straszliwsza, aniżeli się zdaje; i możliwem jest przypuszczenie, że mogący w wielkim stylu, iż geniusz twórczy musi być nie wiedzącym, — z drugiej zaś strony do naukowych odkryć w rodzaju darwinowskich usposabiałaby nieźle jakowaś cieśń, oschłość i pilna staranność, słowem, coś angielskiego. — Nie zapominajmyż naostatek Anglikom, iż głęboka ich poziomość była już raz przyczyną ogólnego upadku ducha europejskiego: To, co się zowie »nowoczesnemi i d e a m i« lub ideami »osiemnastowiecza« lub też »francuskiemi ideami«, — to zatem, przeciw czemu z głębo-

kim wstrętem dźwignął się duch niemiecki, — było angielskiego pochodzenia, nie ma żadnej wątpliwości. Francuzi byli tylko małpami i aktorami tych idej, najdzielniejszymi ich bojownikami, tudzież, niestety, ich pierwszemi i najzupełniejszemi ofiarami: gdyż skutkiem przeklętej anglomanii »nowoczesnych idej« *âme française* tak wkońcu wyschła i zwątlała, iż omal z niedowierzaniem wspominamy obecnie jej głęboką namiętną moc, jej wynalazczą dostojność w szesnastym i siedemnastym wieku. Tej wszakże zasady historycznej słuszności oburącz trzymać się, wbrew pozorom i teraźniejszości bronić należy: europejska *noblesse* — uczucia, smaku, obyczajów, słowem, w każdem wysokiem znaczeniu — jest dziełem i wynalazkiem francuskim, europejska pospolitość i gminność nowoczesnych idej — angielskim. —

253.

I dziś jest jeszcze Francya siedzibą najbardziej uduchowionej najwykwintniejszej kultury europejskiej i szkołą główną smaku: lecz trzeba umieć znaleść tę »Francyę smaku«. Starannie ukrywa się, kto do niej należy: — w niewielu snadź działa i żywie, do tego będą to ludzie niezbyt krzepko stojący na nogach, po części fataliści, sposępnieni, chorzy, po części przedelikaceni i przerafinowani, ukrywający się z ambicyi. Wszyscy mają coś wspólnego; zatykają uszy na rozhukaną głupotę i zgiełkliwe trajkotanie demokratycznego *bourgeois*. Istotnie, na tle przedniem przewala się dziś ogłupiała i spospoliciała Francya, — niedawno, grzebiąc Wiktora

Hugo, święciła istną orgię niesmaku i samo-uwielbienia. I jeszcze coś innego znamionuje ich pospołu: szczera chęć, by ustrzedz się duchowej germanizacyi — i jeszcze szczersza niezdolność do tego! Snadź już obecnie w tej Francyi ducha, co jest także Francyą pessymizmu, tak rozgościł się i zadomowił Schopenhauer, jak nigdy w Niemczech; nie mówiąc już o Henryku Heinem, który oddawna przeszedł w krew i kość subtelniejszych i wykwintniejszych liryków paryskich, lub o Heglu, co w osobie Taine'a — to znaczy, p i e r w s z e g o żyjącego historyka — wywiera dziś tyrański niemal wpływ. Co zaś dotyczy Ryszarda Wagnera: im bardziej muzyka francuska kształtuje się wedle rzeczywistych potrzeb *âme moderne,* tem bardziej będzie-»wagneryzowała«, przepowiedzieć to łatwo — czyż nie »wagneryzuje« już obecnie! Trzy są wszelako rzeczy, któremi Francuzi i dziś jeszcze jako swą spuścizną i własnością tudzież jako niezatartem znamieniem dawnej przewagi kulturalnej nad Europą mimo całej dobrowolnej lub niedobrowolnej germanizacyi i obniżenia smaku, z dumą pochlubić się mogą: po pierwsze, zdolność do namiętności artystycznych, do lubowania się »formą«, dla którego wynaleziono hasło *l'art pour l'art* obok tysiąca innych: — od trzech wieków krzewiły się zamiłowania te we Francyi i, dzięki kornej czci dla »nielicznych«, umożliwiały wciąż niejako kameralną w literaturze muzykę, której w innych krajach europejskich szukałoby się nadaremno —. Wtóry wzgląd, którym Francuzi swą nad Europą przewagę uzasadnić mogą, polega na ich prastarej różnorodnej kulturze m o r a l i s t y c z n e j; dzięki jej nawet u pośledniejszych *romanciers* dzien-

nikarskich oraz przygodnych *boulevardiers de Paris* spotyka się naogół taką psychologiczną wrażliwość i ciekawość o jakiej, w Niemczech naprzykład, nie ma się nawet pojęcia (nie mówiąc już o rzeczy samej!). Niemcom brak do tego kilku stuleci moralistycznej pracy, której, jak wspomniano, nie zaniedbała Francya; kto zwie dlatego Niemców »naiwnymi«, ten schlebia ich wadom. (Przeciwieństwem do tego niemieckiego niedoświadczenia i niemowlęctwa *in voluptate psychologica,* spowinowaconego dość blisko z nudziarstwem niemieckiego towarzystwa, — oraz najznamienitszym wyrazem iście francuskiej ciekakawości i wynalazczości w tej subtelnych dreszczów dziedzinie jest snadź Henri Beyle, ów dziwny dalekowidzący i wyprzedzający człowiek, co w napoleońskiem *tempie* przebiegł swą Europę, kilka stuleci europejskiej duszy, jako jej badacz i wynalazca: — i trzeba było dwóch pokoleń, by go niejako dopędzić, by domyślić się niektórych zagadek, które dręczyły i zachwycały tego dziwnego epikurejczyka i zagadkowego człowieka, tego ostatniego wielkiego psychologa francuskiego —). Istnieje jeszcze trzeci powód wyższości: w naturze francuskiej dokonała się napoły pomyślnie synteza Północy i Południa: dzięki jej pojmują Francuzi wiele rzeczy i robią różne rzeczy, których Anglik nie pojmie nigdy; ich temperament zwracający i odwracający się okresowo od Południa, kipiąca w nich od czasu do czasu prowansalska i liguryjska krew chroni ich przed przeraźliwą szarzyzną północną, przed bezsłoneczną upiornością i niedokrwistością pojęciową, — tą naszą niemiecką chorobą smaku, przeciw nadmiarowi której zapisuje się obecnie z wielką sta-

nowczością krew i żelazo, chcę rzec: »wielką politykę« (wedle wskazań niebezpiecznej sztuki leczniczej, co każe czekać i czekać, ale żadnej dotychczas nie wzbudza jeszcze nadziei —). I dziś jeszcze rozumie i garnie się Francya do owych najzwyklejszych i rzadko zadowalnianych ludzi, którzy są za rozlegli, by mogli się pomieścić w jakimś swojskim zaścianku i umieją kochać na Północy Południe a na Południu Północ, — do owych urodzonych śródlądowców, do »dobrych europejczyków«. — Dla nich to stworzył muzykę Bizet, ten ostatni geniusz, któremu objawiała się nowa zwodniczość i krasa, — co odkrył cząstkę muzycznego Południa.

254.

Wobec muzyki niemieckiej z niejednego względu trzeba się mieć na baczności. Jeżeli ktoś lubi tak Południe, jak ja je lubię, jako wielką szkołę uzdrawiania w rzeczach najbardziej duchowych i najbardziej zmysłowych, jako nieskiełznaną pełnię słoneczności i pogody, rozpostartą nad świetniejącym własną chwałą, wierzącym w siebie bytem: no, to stanie się on nieco ostrożniejszym wobec muzyki niemieckiej, gdyż, psując znów smak jego, psuje mu ona zarazem zdrowie. Południowiec taki, nie z pochodzenia lecz z wiary, jeżeli marzy o przyszłości muzyki, musi też marzyć o wyzwoleniu muzyki z więzów Północy, musi mieć w uszach gędźbę jakiejś głębszej potężniejszej, może bardziej złowrogiej i tajemniczej muzyki, jakiejś muzyki nadniemieckiej, co na widok modrego lubieżnego morza i śródlądowej błękitów jaśni nie przebrzmi, nie zblednie, nie spło-

wieje, jak to bywa z całą muzyką niemiecką, — jakiejś muzyki nadeuropejskiej, co zachowa swój przepych nawet wobec śniadych zachodów słońca na pustyni, której dusza pokrewna jest palmie i śród wielkich, pięknych, samotnych drapieżców gościć i błąkać się umie — —. Mógłym wyobrazić sobie muzykę, której najniezwyklejszy czar polegałby na tem, iż nie wiedziałaby już o dobrem i złem, jeno że tu i ówdzie snułyby się po niej może jakieś tęsknice tułacze, jakieś cienie złociste i słabostki pieściwe: sztukę, co widziałaby z wielkiej oddali, jak pierzchają ku niej barwy jakiegoś ginącego, niezrozumiałego już niemal, moralnego świata i byłaby dość gościnną i głęboką, by przyjąć takich zapóźnionych zbiegów. —

255.

Dzięki chorobliwemu rozbratowi, który śród ludów europejskich wywołał i wywołuje jeszcze szał nacyonalistyczny, dzięki politykom o krótkim wzroku i skorej ręce, co przy jego pomocy ujęli ster w swe dłonie i nie przeczuwają zgoła, do jakiego stopnia ta uprawiana przez nich rozluźniająca polityka li tymczasową polityką z konieczności być musi, — dzięki temu wszystkiemu tudzież niejednej jeszcze rzeczy, o której mówić obecnie niepodobna, przeoczą się lub umyślnie i kłamliwie przeinacza się najniedwuznaczniejsze oznaki dowodzące, iż Europa pragnie zjednoczenia. U wszystkich głębszych i rozleglej szych bieżącego stulecia ludzi właściwą gwiazdą przewodnią tajemnej dusz ich pracy było utorowanie drogi do nowej tej syntezy

oraz próbne przygotowania do europejczyka przyszłości: jeno w chwilach słabości, w podeszłym naprzykład wieku, jeno na plan przedni wysuwali »swojskość«, — pogrążali się w niej, by wypocząć po sobie samych. Mam na myśli ludzi takich, jak Napoleon, Goethe, Beethoven, Stendhal, Henryk Heine, Schopenhauer: niech-że mi to nie będzie poczytane za winę, że zaliczę do nich także Ryszarda Wagnera, acz innego był o sobie mniemania, — geniusze jego rodzaju rzadko mają prawo rozumieć siebie samych. Tem mniej przeczy temu nieprzystojna wrzawa, z jaką obecnie wyklina się i wyświeca z Francyi Wagnera: — gdyż jest rzeczą pewną, iż imię Wagnera najbliżej i najściślej jest złączone z *późniejszą ro-romantyką francuską* czwartego dziesięciolecia. Na wszystkich wyżniach, we wszystkich głębiach ich potrzeb przejawia się pokrewieństwo, najistotniejsze pokrewieństwo: to dusza Europy, jednej Europy, tęskni, przedziera się, wydziera się z ich różnorodnej burzliwej sztuki — dokąd? ku nowemuż światłu? ku nowemu słońcu? Lecz któż dokładnie wysłowić to zdoła, czego nie umieli wypowiedzieć wyraźnie wszyscy ci nowego języka mistrze? To pewna, że udręczał ich jednaki pęd i szał, że w jednaki *szukali* sposób ci ostatni wielcy poszukiwacze! Wszyscy społem opętani przez literaturę wyżej oczu i uszu — pierwsi to artyści o wszechstronnem literackiem wykształceniu —, po większej części sami nawet piszący, hołdujący poezyi, pośrednicy i kojarzyciele sztuk i zmysłów (Wagner jako muzyk należy do malarzy, jako poeta do muzyków, jako artysta wogóle do aktorów): wszyscy społem fanatycy *wyrazu* »za każdą cenę« — że wspomnę Delacroix, najbliżej spowi-

nowaconego z Wagnerem —, wszyscy społem wielcy odkrywcy w dziedzinie wzniosłości tudzież szpetności i okropności, zaś jeszcze więksi odkrywcy efektów, popisów, wystawności; wszyscy społem talenty wybiegające daleko poza rubieże swego geniuszu —, wirtuozi do rdzenia i głębi z tajemnymi dostępami do wszystkiego, co zwodzi, nęci, zmusza, obala, urodzeni wrogowie logiki i prostolinijności, żądni wszystkiego niezwykłego, egzotycznego, potwornego, krętego, sobie samemu sprzecznego; jako ludzie, Tantale woli, wywyższeni plebejusze, co w twórczości i w życiu czuli się niezdolnymi do dostojnego *tempo,* do dostojnego *lento* — przypomnijmyż sobie naprzykład Balzac'a —, nieuskromieni pracownicy, zabijający się niemal pracą; antynomiści i rokoszanie w obyczajach, ambitni i nienasyceni bez równowagi i rozkoszy; wszyscy społem słaniający i łamiący się wkońcu u stóp krzyża (i całkiem słusznie: któryż z nich bowiem był dość głęboki i pierwotny do filozofii Antychrysta? —) naogół zapamiętale śmiała, przedziwnie potężna, wysokolotna i wzwyż porywająca odmiana szczytniejszych ludzi, która dopiero musiała wpajać swemu stuleciu — a jest to stulecie tłumu! — pojęcie »szczytniejszego człowieka« ... Niemieccy przyjaciele Ryszarda Wagnera niechaj rozważą, czy w sztuce wagnerowskiej istnieje li tylko coś niemieckiego, lub czy jej chluba nie polega właśnie na tem, że poczęła się z bodźców i źródeł nadniemieckich: przyczem lekceważyć nie można, jak bardzo do wykształcenia jego typu był niezbędnym Paryż, dokąd w rozstrzygającej chwili parła go głębia jego instynktów, i do jakiego stopnia cały sposób

jego występowania, jego samo-apostolstwa mógł wydoskonalić się dopiero na wzorach socyalistów francuskich. Przy subtelniejszem porównaniu okazałoby się może na chlubę niemieckiej natury Ryszarda Wagnera, iż brał on wszystko krzepciej, zuchwałej, twardziej, górniej, aniżeli mógłby brać Francuz dziewiętnastego wieku — dzięki tej okoliczności, iż my Niemcy bliżsi jesteśmy barbarzyństwa od Francuzów — ; być może nawet iż to, co jest najznamienitszym tworem Ryszarda Wagnera, dla całej przepóźnej łacińskiej rasy na zawsze i nie tylko do dzisiaj jest niedostępne, nie do odczucia, nie do naśladowania: mianowicie postać Zygfryda, tego b a r d z o w o l n e g o człowieka, co w istocie jest snadź za wolny, za twardy, za pogodny, za zdrów, zbyt a n t y k a t o l i c k i dla smaku starych, próchniejących kultur. I może grzechem przeciwko romantyce był ten antyromański Zygfryd: wprawdzie Wagner w późniejszem smutnem swem życiu grzech ten sowicie okupił, gdyż — naginając się do smaku, który stał się tymczasem polityką — nie wstąpił jużcić sam na d r o g ę, w i o d ą c ą do R z y m u, lecz z właściwą sobie żarliwością religijną nawoływać do niej zaczął. By słowa te należycie zrozumiane zostały, zawezwę ku pomocy kilka krzepkich rymów, które wyjawią nawet mniej subtelnym uszom, o co mi chodzi, co mam przeciwko »Wagnerowi u s c h y ł k u« oraz jego parsifalowej myzyce:

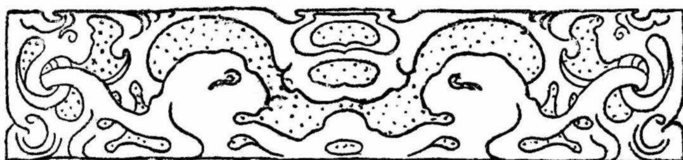
Niemieckież to ? —
Niemieckie serce zgrzyty te wydało ?
Niemieckie tak się odcieleśnia ciało ?
Niemieckie są te mnisze rąk składania,
Te kadzidelne zmysłów opętania ?

I czyż niemieckie są te rwane tony,
Te ekstatycznie rozjęczane dzwony,
Na Ave grania, oczu przewracania,
Świętoszkowate wniebowstepowania ?
— Niemieckież to ? —
Rozważcie! Jeszcze stoicie u bram : —
To Rzym, to wiarę rzymską bez słów — słychać tam!



ROZDZIAŁ IX.

DUSZA DOSTOJNA



256.

Wszelkie wywyższenie typu »człowiek« było dotychczas dziełem społeczeństw arystokratycznych, — i tak będzie po wszystkie czasy: gdyż społeczeństwa takie wierzą w długą drabinę hierarchii społecznej, wierzą w różnice, zachodzące między wartością tego i owego człowieka, a niewolnictwo w jakiemkolwiek znaczeniu uważają za rzecz potrzebną. Bez patosu odległości, który bierze początek z głęboko wkorzenionego rozdziału warstw społecznych, który jest następstwem nieustannego rozglądania się i patrzenia z góry, właściwego kastom władającym w stosunku do swych poddanych i narzędzi, i wynikiem ciągłego ćwiczenia w posłuszeństwie i rozkazywaniu, w spychaniu i odpychaniu, — nie mógłby się rozwinąć ów inny, nierównie bardziej tajemniczy patos, nie mogłoby wzróść owo pożądanie coraz nowego rozprzestrzeniania oddaleń w dziedzinie własnej duszy, wykształcania coraz to wyższych, niezwyklejszych odleglejszych, ku wszelkim dalom i przestworom wzmożonych stanów duszy; krótko mówiąc, nie byłoby możliwe wywyższenie typu »człowiek«, nie mogłoby się odbywać nieustające »przezwyciężanie człowieka w sobie samym«. Ostatnie słowa są formułą moralną, którą

się posługuję w znaczeniu o wiele wyższem. Bezsprzecznie: badając genezę społeczeństw arystokratycznych (które są założeniem każdego wywyższenia typu »człowiek«), niepodobna oddawać się humanitarnym złudzeniem: prawda jest surowa. Bez ogródek przeto powiedzmy sobie, w jaki sposób poczynała się dotychczas na ziemi wszelka wyższa kultura! Oto ludzie z niewypaczoną jeszcze naturą, barbarzyńscy w całej pełni straszliwego znaczenia tego słowa, drapieżnicy, władający jeszcze niczem niezłamaną siłą woli i pożądaniem potęgi, rzucali się na słabsze, społeczniejsze i spokojniejsze rasy, zajmujące się handlem lub chowem bydła, albo też na stare, przeżyte kultury, których ostatki siły życiowej dogasały w świetnych rozblaskach przeduchowienia i zepsucia. W początkach, kasta najdostojniejsza i kasta barbarzyńców to jedno; przewaga barbarzyńców polegała w pierwszym rzędzie nie na sile fizycznej, lecz na sile duchowej, — byli zupełniejszymi ludźmi (co na każdym stopniu rozwoju jest równoznaczne z »zupełniejszemi zwierzętami« —).

257.

Korupcya, będąca oznaką, że w dziedzinie instynktów grozi anarchia, i że posady afektów, które nazywamy »życiem«, uległy wstrząśnieniu: korupcya może być czemś zasadniczo rożnem, zależnie od formy życiowej, w jakiej się przejawia. Jeżeli naprzykład jaka arystokracya, jak to uczyniła arystokracya francuska w początkach rewolucyi, z wykwintnym wstrętem odrzuci precz swe przywileje i złoży siebie samą w ofierze rozuzdaniu swego uczucia moralnego, to

taki czyn jest korupcyą: — właściwie był to tylko epilog, trwającej od wieków korupcyi, przez którą arystokracya francuska wyzbyła się swych praw przodowniczych i zniżyła się na poziom funkcyi w stosunku do władzy królewskiej (a wkońcu stała się nawet jej ozdobą i błyskotką). A przecież istotną cechę dobrej i zdrowej arystokracyi stanowi poczucie, że nie jest ona funkcyą (czy to władzy królewskiej czy gminowładztwa), lecz ich sensem i najwyższą racyą istnienia, — że może przeto z czystem sumieniem przyjmować ofiarę mnóstwa ludzi, którzy dla niej muszą być ukróceni i zepchnięci do rzędu ludzi niezupełnych, do rzędu niewolników i narzędzi. Zasadniczą jej wiarą musi być przeświadczenie, że społeczeństwo, nie powinno istnieć dla społeczeństwa, lecz po to tylko, aby być podwaliną i rusztowaniem, na którem wyborowy gatunek istot może się wznieść do swych wyższych zadań i — ogólniej mówiąc — na poziom wyższego istnienia: na podobieństwo owych, tęsknoty do słońca pełnych pnączów na Jawie — zwą je *Sipo Matador* — co tak długo i tak często oplatają ramionami swemi dęby, aż wreszcie, wysoko ponad nimi, ale na nich wsparte, mogą rozchylić swe korony i ukazać się w przepychu swego szczęścia.

258.

Unikać nawzajem wszelkiej krzywdy, przemocy i wyzysku, wolę swą stawiać na równi z wolą drugiego: takie postępowanie w najpospolitszem rozumieniu rzeczy może się stać między jednostkami kwestyą dobrych obyczajów, jeżeli są ku temu warunki (to

znaczy, jeżeli te jednostki przedstawiają istotne podobieństwo co do zasobów sił i osądów wartości i jeżeli wchodzą w skład tego samego społecznego ciała). Przyznając atoli tej zasadzie szersze znaczenie, lub, co więcej, czyniąc z niej zasadnicze założenie społeczeństwa, spostrzega się natychmiast, czem jest ona w istocie rzeczy: oto wolą, mającą na celu zaprzeczenie życia, zasadą rozkładu i upadku. Należy bardzo głęboko nad tem się zastanowić, nie dając do siebie przystępu żadnym czułostkowym słabostkom: życie samo w sobie nie jest niczem innem jak przywłaszczaniem, krzywdzeniem, przezwyciężaniem wszystkiego, co obce i słabsze, uciskiem, srogością, narzucaniem własnych form, pochłanianiem, a już bardzo łagodnie rzecz biorąc, co najmniej wyzyskiem, — lecz poco posługiwać się ustawicznie takiemi właśnie słowy, które od wieków noszą na sobie oszczercze piętno? To też, owo ciało społeczne, w zakresie którego jednostki mogą między sobą postępować jak równi z równymi — a taki przypadek przyjęliśmy powyżej i tak dzieje się w łonie każdej zdrowej arystokracyi, — owo ciało, jeżeli jest zdrowem, nie zaś obumierającem, musi w stosunku do innych ciał społecznych czynić to wszystko, czego wystrzegają się względem siebie jednostki w skład jego wchodzące: musi być ucieleśnioną wolą mocy, musi róść, szerzyć się, przyciągać do siebie, dążyć do uzyskania przewagi, — nie z jakichkolwiek pobudek moralnych czy immoralnych, lecz dlatego, że żyje i że życie jest wolą mocy. Lecz może w żadnym innym punkcie nie tak trudno jest trafić do ogólnego przeświadczenia europejczyków, jak właśnie w tym; wszędzie marzenia i to nawet

pod płaszczykiem nauki, o przyszłych ustrojach społecznych, pozbawionych »cech wyzysku«: — w moich uszach brzmi to tak, jak gdyby ktoś obiecywał wynaleźć życie pozbawione wszelkich funkcyj organicznych. »Wyzysk« nie jest cechą zepsutego, czy też niedoskonałego i pierwotnego społeczeństwa: jest on istotną właściwością wszystkiego, co żyje, jako jego organiczna zasadnicza funkcya: jest wynikiem właściwej woli mocy, a ta znowu jest po prostu wolą życia. — Przypuśćmy, że, jako teorya, takie pojmowanie rzeczy jest czemś nowem, — jako rzeczywistość jest ono zasadniczym objawem historyi po wszystkie czasy: przecież o tyle trzeba być względem siebie uczciwym! —

259.

W wędrówce śród mnóstwa wytworniejszych i mniej wytwornych morałów, co dotychczas panowały na ziemi lub na niej panują, zauważyłem, iż regularnie powtarzają się pewne rysy, nierozdzielnie ze sobą połączone: ostatecznie wykryłem dwa zasadnicze typy i zasadniczą typów tych różnicę. Oto istnieje morał władców i morał niewolników; — niezwłocznie dodaję, że we wszystkich wyższych i bardziej złożonych kulturach nie zbywa na usiłowaniach połączenia tych dwóch morałów, lub, co jeszcze częściej się zdarza, że zachodzi ich pomieszanie i obustronne niezrozumienie, ba, bezpośrednie ich zetknięcie — i to nawet w jednym i tym samym człowieku, w jednej i tej samej duszy. Rozróżnienia wartości moralnych powstawały albo wśród warstw panujących, którym nie zby-

wało błogiego przeświadczenia, co mianowicie dzieli je od poddanych — albo też wytwarzały się wśród podwładnych, niewolników i ludzi na różnym stopniu zależności. W pierwszym razie, to znaczy, gdy władający oznaczają pojęcie »dobra«, — jako coś wyróżniającego i określającego stopień godności odczuwa się wzmożone, dumne wzloty duszy. Człowiek dostojny odsuwa precz od siebie istoty, u których zachodzą objawy sprzeczne z owymi dumnymi, wzmożonymi stanami duszy; gardzi nimi. A trzeba pamiętać, że w tej pierwszej odmianie morału przeciwieństwo: »dobre« i »liche« znaczy tyle, co: »dostojne« i »nikczemne«: — przeciwieństwo »dobre« i »złe« innego jest pochodzenia. Pod wzgardę podpada wszystko, co tchórzliwe, lękliwe, małostkowe, wszystko, co zdąża do ciasno pojętej pożyteczności: pogardy również godzien jest człowiek podejrzliwy o niewolniczem spojrzeniu, i pozwalająca poniewierać sobą psia odmiana człowieka, i żebrzący pochlebca a przedewszystkiem kłamca: — zasadniczym dogmatem wszelkiej arystokracyi jest przeświadczenie o kłamliwości gminu pospolitego. »My prawdomówni« — tak zwali siebie ludzie szlacheckiego pochodzenia w starożytnej Grecyi. Leży to jak na dłoni, że określenia wartości moralnych odnosiły się przedewszystkiem do człowieka, zaś dopiero w drugim rzędzie i znacznie później poczęto je przykładać także do postępków: i dlatego w grube błędy podpadają historycy moralności, którzy przyjmują za punkt wyjścia takie pytanie jak: dlaczego litościwe uczynki bywają chwalone?« Człowiek odmiany dostojnej czuje, że od niego zależy naznaczanie wartości; nie potrzebuje niczyjego przyzwolenia, rozumuje bowiem:

»co dla mnie szkodliwe, to samo w sobie jest szkodliwe, i wie, że w jego mocy jest nadawać wagę rzeczom, że dano mu tworzyć wartości. Czci to wszystko, co w sobie dostrzega; taki morał jest uświetnieniem siebie samego. Nad wszystkiem góruje poczucie pełni, potęgi, co pragnie się przelać, szczęścia, jakie daje wielkie wzmożenie, świadomość bogactwa, które chciałoby się rozdarować i rozdać: — gdyż człowiek dostojny również pomaga nieszczęśliwemu, nigdy wszakże lub prawie nigdy z litości, lecz z popędu, poczętego z nadmiaru mocy. Człowiek dostojny czci w sobie mocarza i tego, co ma władzę nad sobą samym, który umie mówić i milczeć, który z rozkoszą potrafi być dla siebie surowym i twardym i ma cześć dla wszystkiego, co surowe i twarde. »Twarde serce włożył mi Wotan w piersi«, brzmi jeden wiersz w prastarej skandynawskiej Sadze: ten okrzyk wydobył słusznie poeta wprost z duszy dumnego Wikinga. Ludzie tego rodzaju chlubią się tem, że nie są stworzeni, by powodować się litością: dlatego bohater Sagi, ostrzegając, dodaje: »kto nie ma za młodu twardego serca, u tego ono nigdy nie będzie twardem«. Ludzie dostojni i chrobrzy, ludzie tak myślący stoją nadalej od owego morału, co znamię etyki widzi przedewszystkiem czy to we współczuciu, czy w działaniu dla drugich, czy wreszcie w *désintéressement* : wiara w siebie samego, duma z siebie samego, głęboka niechęć i ironia dla »zaparcia się siebie samego«, — oto cechy morału dostojnego, równie dla niego istotne, jak odcień lekceważenia i niedowierzanie względem objawów współczucia i »dobrego serca«. — Tylko potężni umieją czcić: to ich sztuka, to ich wynalazek. Głę-

boka cześć dla wieku i pochodzenia — całe prawodawstwo opiera się na tej dwojakiej czci —, wiara i uprzedzenie na korzyść pokoleń minionych i na niekorzyść przyszłych są typowemi znamionami morału ludzi silnych; i odwrotnie — jest to już dostatecznym dowodem gminnego pochodzenia »nowoczesnych idej«, że zwolennicy ich żywią prawie instynktową wiarę w »postęp« i »przyszłość«, a coraz bardziej wyzbywają się czci dla wieku. W morale ludzi władców niema nic przykrzejszego i nic bardziej obcego dla współczesnych pojęć od zasady, że człowiek ma obowiązki tylko względem siebie równych; że z istotami niższego rzędu, ze wszystkiem, co obce, może postępować, jak mu się podoba, »jak mu serce każe«, w każdym razie »poza dobrem i złem«: — do nich zaś zaliczyć należy wpółczucie i uczucia jemu podobne. Poczuwać się do obowiązku i umieć przez długie czasy dochować wdzięczności oraz zemsty — ale jednej i drugiej tylko wobec równych sobie —, umieć wytwornie się odwzajemnić, kierować się subtelnym zmysłem w przyjaźni i uznawać konieczność posiadania nieprzyjaciół (jak gdyby po to, aby byli korytami, odprowadzającemi uczucia zawiści, zawadyactwa i zuchwalstwa — w istocie po to, iżby mogło się być dobrym przyjacielem): oto typowe znamiona morału dostojnego, który nie jest morałem »nowoczesnych idej«, i dlatego w naszych czasach tak trudno go odczuć, tak trudno go się dokopać i doszukać. — Inaczej przedstawia się drugi typ morału, morał niewolników. Przypuśćmy, że zasady moralne tworzą uciemiężeni, uciśnieni, cierpiący, zależni, siebie samych niepewni i znużeni: cóż będzie tedy odpowiadało ich poję-

ciom wartości moralnych? Prawdopodobnie objawi się pessymistyczna nieufność do warunków, od których człowiek zależy, a może potępienie człowieka i tychże warunków. Niewolnicy mają niechętne spojrzenia dla cnót ludzi możnych: są sceptyczni i nieufni, posiadają subtelność nieufności względem wszystkiego, co »dobre«, co czczą potężni —, chcieliby wmówić w siebie, że nawet szczęście tamtych nie jest prawdziwe. I odwrotnie: wywyższają i blaskiem otaczają właściwości przeznaczone, by nieść ulgę istnieniu cierpiących: żywią przeto cześć dla współczucia, dla przyjaznej, pomocnej dłoni, dla dobrego serca, cierpliwości, pilności, pokory i serdeczności —, gdyż dla nich te właściwości są najpożyteczniejsze i stanowią prawie jedyny środek, dzięki któremu można znieść brzemię istnienia. Morał niewolniczy jest w istocie rzeczy morałem pożyteczności. Oto źródło, z którego wypłynęło owo słynne przeciwieństwo »dobrego« i »złego«: — w złe przeradza się potęga i niebezpieczeństwo, złem staje się w odczuwaniu niewolników wszelki odcień grozy, pomysłowości i siły, nie podpadającej pod wzgardę. Zatem, wedle morału niewolników, »złe« wzbudza trwogę; wedle morału władców, to właśnie jest »dobre«, co wzbudza i chce wzbudzać trwogę, zaś człowiek »lichy« zasługuje na pogardę. Przeciwieństwa te dosięgają szczytu, gdy w następstwie morału niewolniczego okazuje się wreszcie, że do »dobrych« wedle tego morału przylgnęło coś, jakby cień lekceważenia — bardzo lekkiego zresztą i życzliwego lekceważenia —, a to dlatego, że w sferze pojęć niewolników człowiek dobry musi przedewszystkiem nie być człowiekiem niebezpiecznym: według nich jest on dobro-

duszny, łatwo dający się oszukiwać, może nawet nieco głupi, *un bonhomme*. Wszędzie, gdzie morał niewolniczy ma przewagę, objawia się skłonność do zbliżenia słów »dobry« i »głupi«. — Wreszcie ostatnia i zasadnicza różnica: pożądanie swobody, instynkt szczęścia i subtelność w odczuwaniu swobody stanowią równie dobrze niezbędne cechy moralności i morału niewolników, jak artyzm i entuzyazm w uczuciu czci i oddania się są niezmiennymi objawami arystokratycznego sposobu myślenia i osądzania wartości. — Z tego łatwo już wyrozumieć, dlaczego miłość spotęgowana aż do męki — nasza wyłącznie europejska właściwość — znakomitego niewątpliwie jest pochodzenia: powstała ona, jak wiadomo, dzięki prowansalskim rycerzom-poetom, owym wspaniałym, pomysłowym ludziom »radosnej wiedzy« *(gai saber)*, którym Europa tak wiele i nieomal siebie samą zawdzięcza. —

260.

Do rzeczy, które człowiekowi dostojnemu najtrudniej może pojąć przychodzi, należy próżność: gotów przeczyć jej istnieniu nawet tam, gdzie innego rodzaju człowiek wytyka ją palcem. Dla niego nielada zagadnieniem jest wyobrazić sobie istoty, co chcą rozbudzić dobre mniemanie o sobie, chociaż same go nie podzielają — a więc nie »zasługują« też na nie —, i które ostatecznie w to dobre mniemanie same wierzą. Wydaje się mu to w połowie tak niesmacznem i siebie samego niegodnem, w drugiej zaś do tego stopnia barokowo niemądrem, że radby widzieć w próżności wyjątek, że powątpiewa o jej

istnieniu prawie zawsze, gdy się o niej mówi. Powie naprzykład: »mogę mieć mylne wyobrażenie o swej wartości, a mimo to żądać, aby inni oceniali ją tak samo, jak ja — lecz nie jest to próżnością (raczej pychą, a najczęściej tem, co ludzie zwą »pokorą« czy »skromnością«)«. Albo też: »z wielu powodów mogę się cieszyć, gdy ludzie mają o mnie dobre mniemanie; czy to dlatego, że ich czczę i kocham i każdą ich radość podzielam, czy dlatego, że ich dobra o mnie opinia utwierdza i wzmacnia moje własne o sobie wyobrażenie, czy wreszcie dlatego, że przynosi lub zapowiada mi ona pożytek nawet w takich razach, gdy sam tego mniemania nie podzielam — lecz to wszystko nie jest próżnością«. Człowiek dostojny dopiero pod przymusem, zwłaszcza z pomocą historyi zdoła zrozumieć, że od niepamiętnych czasów, i to we wszystkich w jakimbądź stopniu zależnych warstwach ludu, człek pospolity *był tylko tem, za co uchodził*: — że, nie nawykłszy, by sam naznaczać wartości, nie przypisywał też sobie żadnej innej wartości okrom tej, jaką mu przyznawali jego panowie, (gdyż istotą *praw przysługujących władcom* jest tworzyć wartości). I musimy uważać to za następstwo potwornego atawizmu, że człek pospolity nawet w obecnych czasach *czeka* przedewszystkiem na opinię o sobie, a potem jej instynktownie się poddaje: i to nie tylko »dobremu« mniemaniu, ale także złemu i niesłusznemu (wystarczy naprzykład przypomnieć, jak wierzące kobiety pod wpływem spowiedników oceniają siebie lub niedoceniają, jak zresztą czyni to wogóle każdy wierzący chrześcianin pod wpływem nauki swego kościoła). Ów pierwotnie dostojny i rzadki

popęd do samoistnego osądu własnej wartości i do »dobrego mniemania o sobie«, wobec powolnego rozwielmożnienia demokratycznego ładu rzeczy (a także przyczyny tego ładu, mianowicie krzyżowania się rasy władców z rasą niewolników), staje się znowu coraz śmielszym i powszechniejszym: lecz będzie miał zawsze przeciw sobie nawyknienie dawniejsze, ogólniejsze i głębiej zakorzenione, — i w zjawisku, zwanem »próżnością«, owo nawyknienie dawniejsze weźmie górę nad nowszem. Człowiek próżny cieszy się z każdego dobrego mniemania, jakie o sobie usłyszy (zupełnie niezależnie od tego, czy to mniemanie wyjdzie mu na korzyść i czy jest słuszne lub niesłuszne), podobnie jak cierpi z powodu każdej złej opinii: gdyż człowiek próżny poddaje się jednemu i drugiemu mniemaniu, czuje, że musi im się poddać, zniewolony odzywającym się w nim najdawniejszym instynktem uległości. — W krwi człowieka próżnego odzywa się »niewolnik«, reszta przebiegłości niewolniczej, — a ileż to z »niewolnika« pozostało jeszcze po dziś dzień naprzykład w kobietach! — co chciałyby wyłudzić dobre mniemanie o sobie; i w tem także jest coś z niewolnika, że człowiek próżny zaraz pada przed opinią na twarz, jak gdyby jej sam nie wywołał. — Powtarzam raz jeszcze: próżność jest atawizmem.

261.

Każda odmiana wytwarza się, każdy typ wzmacnia się i potężnieje w długiej walce z tymi samymi niepomyślnymi warunkami. I na odwrót

wiadomo z doświadczenia hodowców, że gatunki, które mają zbytnią obfitość pożywienia, i wogóle bywają otaczane nadmierną troskliwością i opieką, objawiają natychmiast gwałtowną skłonność do tworzenia nowych odmian swojego typu i obfitują w dziwy i potworności (w potworne również wady). Przyjrzyjmy się teraz arystokratycznemu gminowładztwu, naprzykład którejkolwiek starogreckiej Polis albo Wenecyi, co nie były niczem innem, jak mniej lub więcej dobrowolnemi instytucyami, zmierzającemi do wyhodowania pewnego rodzaju ludzi: znajdujemy tam ludzi, którzy mogą liczyć tylko na siebie, ludzi, którzy chcą zapewnić przewagę swej odmianie, a chcą najczęściej dlatego, że muszą pod straszliwą grozą wytępienia. Tu brak owej pomyślności, tu niema tego nadmiaru i tej opieki, co tak bardzo sprzyjają tworzeniu nowych odmian; istniejąca w takich warunkach odmiana ludzka czuje potrzebę niezmienności, jako coś, co właśnie li tylko dzięki swej surowości, jednolitości i prostocie formy może ostać się i utrwalić w nieustannych walkach z sąsiadami i ze zbuntowanymi albo grożącymi buntem ujarzmionymi ludami. Najróżnorodniejsze doświadczenia uczą ją, jakim to przed innemi właściwościom zawdzięcza, że na przekór wszystkim bogom i ludziom jeszcze istnieje, że jeszcze zwycięża: właściwości te zwie cnotami i wyłącznie te cnoty krzewi. A czyni to z nieubłaganą surowością, ba, żąda surowości; wszelki morał arystokratyczny nie zna pobłażania w wychowaniu młodzieży, w rozporządzaniu kobietami, w zwyczajach małżeńskich, w stosunku ludzi młodych do starszych wiekiem, w prawodawstwie karnem (które zwraca się tylko przeciw wyrodniejącym): dla niego

nawet brak pobłażliwości jest cnotą, której daje nazwę »sprawiedliwości«. W ten sposób utrwala się przez pokolenia typ o nielicznych lecz niezmiernie wyrazistych rysach, odmiana ludzi surowych, wojowniczych, roztropnych i milczących, stanowczych i skrytych (a co za tem idzie, najsubtelniej wrażliwych na czar i wszelkie *nuances* towarzyskości). Jak już wyżej powiedziano, nieustanna walka z tymi samymi niepomyślnymi warunkami jest przyczyną wzmagania się i potężnienia typu. Wkońcu nastaje jednak chwila niczem niezamąconej pomyślności, niezmierne wytężenie zwalnia się; zabrakło, dajmy na to, nieprzyjaciół wśród sąsiadów, a środków do życia, nawet do używania życia, jest nieprzebrana obfitość. Naraz rozluźniają się pęta i przymus dawniejszej dyscypliny: nie jest już nieodzowną, nie jest koniecznym warunkiem istnienia, — gdyby nadal miała trwać jednak, to chyba jako forma zbytku, jako zamiłowanie do archaizmu. I nagle jawią się na widowni w nieprzebranem mnóstwie i wspaniałości nowe odmiany, z których jedne zdążają ku wszystkiemu, co wyższe, wytworniejsze i niezwyklejsze, inne zaś ukazują się pod formami zwyrodnienia i potworności; jednostka poważa się być jednostką i wyróżniać się wśród innych. W takich zwrotnych momentach dziejowych występują obok siebie, często zaś zwikłane i splątane wzajem ze sobą, przedziwne różnorodne objawy wybujałości i rozrostu, przypominające dziewicze prabory; współzawodnictwo w rozrastaniu się w tropikalnem bieży *tempie,* poczyna się straszliwie szerzyć zagłada i dobrowolne dążenie ku niej, a to dzięki dzikiemu ścieraniu się gdyby wybuchających egoizmów, co wśród wzajemnych

zapasów o »słońce i światło« nie znajdują już w dotychczasowym morale ani kresu, ani hamulca, ani zmiłowania. Morał ten był właśnie przyczyną olbrzymiego nagromadzenia siły, powodującej owo groźne napięcie łuku, — teraz jest, teraz staje się on »przeżytym«. Nastaje chwila niebezpieczna i tajemnicza, w której pełniejsze, różnorodniejsze i rozlewniejsze życie usuwa ze swej drogi dawny morał; w takich warunkach istniejąca »jednostka« widzi się zniewoloną do stworzenia swego własnego prawodawstwa, do wynalezienia własnych pomysłów i fortelów gwoli zachowaniu, wywyższeniu i wybawieniu siebie samej. Na każdym kroku nowe poco? i nowe jak? — już niema formuł ogólnych; nieporozumienie i pogarda idą z sobą w parze; upadek, zepsucie i rozpasane żądze wiążą się w straszliwe sploty; geniusz rasy przelewa się ze wszystkich rogów obfitości dobrego i złego; następuje złowrogie spotkanie wiosny i jesieni, pełne nowych ponęt i tajemniczości, właściwej poczynającemu się i jeszcze niewyczerpanemu, nieznużonemu zepsuciu. I znów pojawia się niebezpieczeństwo, ta macierz moralności, znów grozi wielkie niebezpieczeństwo, tym razem przeniesione na jednostkę; przejawia się wszędzie: w bliźnim i przyjacielu, na ulicy, we własnem dziecku, we własnem sercu, we wszystkich najosobistszych, najtajniejszych drgnieniach chcenia i woli. Cóż tedy mają głosić moraliści, współcześni takiej epoce? Oto odkrywają ci bystrzy spostrzegacze i stróże, że wszystko ma się ku końcowi, że wszystko dokoła nich psuje się i swem zepsuciem zakaża, że nic nie ostoi się do pojutrza, prócz jednej jedynej odmiany człowieka, nieuleczalnie miernego człowieka. Tylko mierni mają

widoki dalszego trwania, dalszego rozmnażania się, — oni jedni są ludźmi przyszłości, oni jedni pozostaną; »bądźcie jako oni! bądźcie miernymi!« staje się odtąd jedynym morałem, co jeszcze ma sens, który jeszcze znajduje posłuch. — Lecz to tak trudno go głosić, ten morał mierności! — toć przyznać się nie wolno mu nigdy, czem jest i czego chce! musi kazać o umiarkowaniu, o godności, o obowiązkach, o miłości bliźniego, — i trudno mu, zaiste, ukryć ironię! —

262.

Istnieje instynkt godności, co przed wszystkiem innem jest już dostateczną oznaką wysokiej godności własnej; istnieje rozkosz, polegająca na *nuances* poszanowania, która pozwala się domyślać dostojnego pochodzenia i dostojnych nawyknień. Wytworność, dobroć i wzniosłość duszy ludzkiej bywają wystawione na niebezpieczną próbę, gdy obok niej przesuwa się coś, co jest najpierwszej godności, ale jeszcze nie otoczone grozą powagi, chroniącej przed natrętnemi zetknięciami i potrąceniami: coś, co jak żywy kamień probierczy idzie swą drogą, niewyróżnione, nieodkryte, doświadczające i może umyślnie utajone za zasłoną i pod przebraniem. Dla kogo badanie dusz ludzkich stało się przedmiotem studyów i ćwiczenia, ten niejednokrotnie posłuży się świadomie następującym fortelem, aby ustalić ostateczną wartość jakiejś duszy ludzkiej, by oznaczyć nieodmienny, wrodzony jej stopień godności: oto wystawi na próbę jej instynkt poszanowania. *Différence engendre haine:* pospolitość niektórych na-

tur tryska nagle jak brudna woda na widok jakiegoś świętego naczynia, jakiejś kosztowności z zamknionych skrzyń, jakiejś księgi ze znamionami wielkiego losu; i na odwrót zdarza się zauważyć z mimowolnego zmilknienia, z wahającego spojrzenia i powstrzymania wszelkich gestów, iż czyjaś dusza c z u j e bliskość rzeczy najczcigodniejszych. Sposób, w jaki dotychczas utrzymuje się w Europie poszanowanie dla Biblii, jest może najprzedniejszą cząstką kultury i wyszlachetnienia obyczajów, jaką Europa zawdzięcza chrześciańśtwu; takie księgi głębi i ostatecznej doniosłości potrzebują na swą ochronę płynącej od zewnątrz tyranii powagi, potrzebują jej, aby t r w a ć przez tysiąclecia, konieczne do ich wyczerpania i zgłębiania. I wiele osiągnięto, skoro wreszcie udało się wykształcić w szerokich tłumach (w płytkich głowach i wiercipiętach wszelkiego rodzaju) owo poczucie, że nie wszystkiego dotykać im wolno: że są święte zdarzenia, przed któremi powinny zzuć obuwie i nie zbliżać się do nich z nieczystemi rękoma; — w tem objawia się nieledwie najwyższe ich podniesienie w sfery człowieczeństwa. Na odwrót, niemasz może nic wstrętniejszego w tak zwanej inteligencyi, w zwolennikach »nowoczesnych idej«, niż ich wyzucie ze wstydu tudzież nieskrępowana bezczelność oczu i rąk, któremi wszystkiego dotykają, wszystko badają, wszystko ślinią; i kto wie, czy u prostego ludu, u chłopów, nie przejawia się dzisiaj w z g l ę d n i e wyższa wytworność smaku i taktu w poszanowaniu, niż u inteligencyi, u czytającego dzienniki półświatka ducha.

263

Z niczyjej duszy niepodobna zetrzeć tego, czemu przodkowie najchętniej i najczęściej się oddawali: czy to tego, że byli skrzętnymi, oszczędnymi pracownikami i stanowili sprzęt nieodłączny od biurka i skrzyni z pieniądzmi, po mieszczańsku skromni w swych żądzach i równie skromni w swych cnotach; czy tego, że życie ich upływało od świtu do wieczora na rozkazywaniu i że całą duszą byli oddani twardym rozrywkom, a przytem niemniej może twardej odpowiedzialności i obowiązkom; czy wreszcie tego, że, złożywszy w dani prastare przywileje rodu i dziedzictwa, poświęcili życie wyłącznie swej wierze — swemu »Bogu«, — zniewoleni przez nieubłagane i subtelne sumienie, wzdragające się przed wszelkim kompromisem. Wprost niepodobna przypuścić, aby w człowieku nie tkwiły właściwości i upodobania jego rodziców i antenatów: chociażby oczywistość przeczyła pozornie temu. I to jest problematem rasy. Wiedząc cośkolwiek o rodzicach, można już snuć wnioski o dziecku: dajmy na to, plugawa niewstrzemięźliwość, pokątna zawiść, prostackie wdzieranie się w nieswoje prawa — ta łączna trójca, stanowiąca po wszystkie czasy istotę gminnego typu, musi przejść na dziecko z taką samą pewnością, jak zepsuta krew; i z pomocą najlepszego wychowania i wykształcenia udaje się osiągnąć zaledwie pozory, przysłaniające dziedziczność tego rodzaju. — A do czegóż innego zamierza dzisiejsze wychowanie i wykształcenie! W naszej wielce demokratycznej, chcę powiedzieć, gminnej epoce, » wychowanie« i »wykształcenie« musi być w istocie rzeczy sztuką pozorów — by łu-

dzić co do pochodzenia i dziedzicznego chamstwa ciała i duszy. W naszych czasach, nawet pedagog, co nauczałby przedewszystkiem szczerości, któryby swych wychowanków nieustannie nakłaniał: »bądźcie szczerzy! bądźcie naturalni! nie chciejcie wydawać się innymi, niż jesteście!« — nawet taki cnotliwy i dobroduszny osieł nauczyłby się po pewnym czasie uciekać do owej horacyuszowskiej *furca,* aby *naturam expeliere:* a z jakim skutkiem? »motłoch« *usque recurret.* —

264.

Pod grozą obrażenia niewinnych uszu utrzymuję, że egoizm stanowi istotne znamię duszy dostojnej; a przez egoizm rozumiem ową niewzruszoną wiarę, że takiej istocie, jaką »my jesteśmy«, inne istoty z natury rzeczy muszą podlegać, i że powinny dla niej się poświęcać. Dusza dostojna przyjmuje ten rys znamienny swego egoizmu bez najlżejszego powątpiewania tudzież bez uczucia srogości, przymusu czy samowoli, raczej jako coś, co znajduje uzasadnienie w przedwiecznym ładzie wszechrzeczy: — i gdyby szukała nazwy dla tej swojej właściwości, pewnoby rzekła, że »to prosta sprawiedliwośc«. Pod naciskiem skrupułów, utrzymujących ją z początku w niepewności, wyznaje przed sobą, że są ludzie, zrównani z nią prawami; lecz załatwiwszy się raz z tem zagadnieniem godności, zachowuje się śród sobie równych i równouprawnionych z tą samą pewnością w odcieniach skromności i subtelnego poszanowania, z jaką postępuje wobec siebie samej, — zgodnie z przyrodzoną mechaniką ciał niebieskich,

którą się rządzą wszystkie gwiazdy. Ta wytworność, to ograniczenie własnej istoty w stosunkach z równymi sobie jest u niej li jednym więcej objawem egoizmu — każda gwiazda jest takim egoistą —: w nich i w prawach, które im przyznaje, czci ona siebie samą i nie wątpi, że wymiana praw i grzeczności, jako istota wszelkich stosunków towarzyskich, należy również do naturalnego ładu rzeczy. Dusza dostojna kieruje się w dawaniu i przyjmowaniu leżącym na jej dnie namiętnym i drażliwym instynktem wzajemności. Pojęcie »łaska« nie ma *inter pares* sensu i nie cieszy się dobrą opinią; istnieje podobno subtelny sposób ni to poddawania się darom, spływającym z góry, i spijania ich jak kropel deszczu spragnionemi usty: lecz do takiej sztuki i postępowania dusza dostojna nie posiada zupełnie zdolności. Jej egoizm stanowi w takich razach przeszkodę: wogóle niechętnie spogląda ona »w górę«, — patrzy albo przed siebie zwolna i poziomo, albo też z góry: — czuje, że sama jest na wyżynach. —

265.

»Tylko ten może poważać naprawdę, kto siebie samego nie szuka«. — Goethe w liście do radcy Schlossera,

266.

Chińczycy mają przysłowie, które matki wpajają dzieciom zawczasu: *siao-sin,* »umniejsz swe serce!« W tem objawia się charakterystyczny pociąg, właściwy starzejącym się kulturom: nie wątpię, że

Grek starożytny także i w nas, dzisiejszych europejczykach, rozpoznałby przedewszystkiem umniejszenie własnej naszej istoty, — i już dla tego samego nie przypadlibyśmy mu »do smaku«. —

267.

Czemże wreszcie jest pospolitość? — Słowa są głosowymi znakami pojęć, pojęcia zaś mniej lub więcej dokładnymi znakami obrazowymi często i społem powtarzających się wrażeń, grup tych wrażeń. Używanie tych samych słów jeszcze nie wystarcza, by nawzajem się rozumieć: prócz tego potrzeba posługiwać się także temi samemi słowami na określenie tego samego rodzaju doświadczeń duchowych, wreszcie potrzeba wzajemnej *wspólności* doświadczenia. Dlatego ziomkowie rozumieją się snadniej, niż przedstawiciele różnych narodowości, którzy się posługują jednakim językiem; czyli, gdy ludzie przez długi czas żyją obok siebie w podobnych warunkach (klimatu, ziemi, niebezpieczeństw, potrzeb i pracy), *tworzy* się coś, co »się rozumie«, naród. We wszystkich duszach jednaka ilość często powtarzających się wrażeń wzięła górę nad wrażeniami, które zdarzają się rzadziej: w zakresie wrażeń pierwszego rodzaju porozumienie odbywa się szybko i z biegiem czasu coraz szybciej — historya mowy ludzkiej, to historya procesu skracania —; ta szybkość porozumiewania się sprawia, że ludzie łączą się coraz ściślejszymi węzłami. Im większa groza niebezpieczeństwa, tem większa potrzeba szybkiego i łatwego porozumienia się co do rzeczy grożących; unikać nieporozumienia w chwili niebezpieczeństwa, oto waru-

nek, bez którego ludzie we wzajemnych stosunkach żadną miarą obyć się nie mogą. Jeszcze każdy stosunek przyjazny czy miłosny daje sposobność do następującej próby: żadnemu z nich nie można przepowiadać dłuższego trwania, o ile się spostrzeże, że z dwóch przyjaciół czy dwojga kochanków jedno, przy tych samych słowach, czuje, myśli, przewiduje, pragnie i obawia się inaczej niż drugie. (Ów dobroczynny geniusz, co tak często osoby różnej płci powstrzymuje od przedwczesnych związków wbrew podszeptom zmysłów i serca, to obawa »wiekuistego nieporozumienia« — a nie jakiś tam schopenhauerowski »geniusz rodzaju« —!). Jakie grupy wrażeń w pewnej duszy najwcześniej się budzą, odzywają i nad innemi górę biorą, to rozstrzyga o całkowitej hierarchii jej wartości, to określa ostatecznie jej pojęcie dobrego. Z ocen i sądów człowieka można domyślać się poniekąd s t r u k t u r y jego duszy, tudzież tego, co uznaje ona za warunek swego istnienia, za istotną swą potrzebę. A jeżeli teraz przyjmiemy, że niebezpieczeństwo po wszystkie czasy zbliżało do siebie tylko takich ludzi, którzy mogli wyrazić za pomocą podobnych znaków podobne potrzeby i podobne wrażenia, to, okaże się ostatecznie, że ze wszystkich mocy, które dotychczas powodowały człowiekiem, zdolność łatwego u w i a d a m i a n i a się o niebezpieczeństwie, czyli w istocie rzeczy zdolność doznawania jeno zwyczajnych i p o s p o l i t y c h wrażeń, musiała być najpotężniejszą. Ludzie podobniejsi, ludzie zwyklejsi mieli i mają zawsze przewagę, natomiast niezwyklejsi, doborowsi, niepospolitsi, trudniej zrozumiali, popadają łatwo w osamotnienie, ulegają dla swojego odosobnienia zagładzie i rozradzają się tylko w rzad-

kich wypadkach. Należałoby użyć niesłychanych sił hamujących, by powstrzymać ten naturalny arcynaturalny *progressus in simile,* ten postępowy rozwój rodzaju ludzkiego w kierunku wszystkiego, co podobne, zwyczajne, poziome, stadne — pospolite!

268.

Im częściej psycholog — psycholog z urodzenia, z musu, znawca dusz ludzkich — podejmuje się badania niezwyklejszych wypadków i niezwyklejszych ludzi, tem większe grozi mu niebezpieczeństwo zadławienia się współczuciem: i trzeba mu więcej niż innym ludziom hartu i wesołości. Gdyż skażenie i zagłada ludzi wyższych, dusz niezwykłej ukształtowanych jest prawidłem: straszne to, mieć wiecznie prawidło takie przed oczyma. Przeróżne udręczenia psychologa, który to prawidło zagłady odkrył, który tę zbiorową wnętrzną »nieuleczamość« wyższego człowieka, to wiekuiste »za późno!« w każdem znaczeniu tego słowa, najpierw w jednym wypadku, a potem z kolei prawie wszędzie odnalazł i to po przez wszystkie epoki dziejowe, — mogą sprawić, że pewnego dnia zwróci się on, pełen goryczy, przeciw własnemu losowi i pokusi się o zniszczenie własnej istoty, — że sam »się zepsuje«. Prawie u wszystkich psychologów można zauważyć zdradliwą skłonność i zamiłowanie do obcowania z ludźmi powszednimi, ludźmi porządnymi: przez to wyjawia się, że im samym potrzeba ukojenia, że trzeba im czegoś w rodzaju zapomnienia i ucieczki od wszystkiego, do czego ich własne spostrzeżenia i analizy oraz własne przyniewala »rzemiosło«. Taki psycholog lęka się swej

pamięci. Zdanie innych ludzi przywodzi go łatwo do milczenia: z niewzruszonem obliczem przysłuchuje się, jak inni czczą, podziwiają, kochają i przebóstwiają tam, gdzie on w i d z i a ł, — albo stara się ukryć jeszcze swą oniemiałość, przechylając się stanowczo na stronę pierwszego lepszego powierzchownego sądu. A paradoksalność jego stanowiska może się stać niesłychaną do tego stopnia, że właśnie w takich razach, w jakich nauczył się wielkiego współczucia i razem wielkiej pogardy, ogół wykształcony i marzyciele uczą się głębokiego poszanowania, — poszanowania dla »wielkich mężów« i przedziwnych istot, gwoli którym ludzie błogosławią i dochowują czci ojczyźnie, światu całemu, godności człowieczeństwa, sobie samym, i których stawia się młodzieży jako przykład, jako wzór... I kto wie, czy we wszystkich niezwyczajnych wypadkach nie bywało zawsze tak samo: że tłum korzył się przed bożyszczem, a to »bożyszcze« było jeno biednem zwierzęciem ofiarnem! Powodzenie było zawsze największem kłamstwem, — a nawet »dzieło« jest powodzeniem; wielki mąż stanu, zdobywca czy odkrywca występuje w twórczości swej przebrany do niepoznania: »dzieło« artysty, »dzieło« filozofa wynajduje dopiero tego, który jest jego twórcą, który miał je stworzyć; »wielcy mężowie«, ci sami, którzy stanowią przedmiot uwielbienia, są poza tem małymi lichymi poematami; w świecie wartości historycznych p a n u j e fałszerstwo monety. Ci wielcy poeci, naprzykład w rodzaju Byron'a, Musset'a, Poe'go, Leopardi'ego, Kleista, Gogola (nie śmiem wymienić większych imion, lecz mam je na myśli), — tacy, jakimi są lub może być muszą: ludzie chwili, entuzyastyczni, zmysłowi, dziecinni, lekko-

myślni i skwapliwi równie w podejrzliwości jak w ufności; ludzie chcący zazwyczaj utaić jakieś pęknięcie swej duszy; niejednokrotnie mszczący się swojemi dziełami za wewnętrzne splamienie, niejednokrotnie w swych wzlotach szukający ucieczki przed nazbyt wierną pamięcią, niejednokrotnie zbłąkani na błotach i prawie w nich zakochani, aż stają się wreszcie czemś na podobieństwo błędnych ogników nad bagnami a udają gwiazdy — lud nazywa ich wówczas idealistami —; niejednokrotnie walczący z przewlekłym wstrętem, z powracającem widziadłem niewiary, co ich ostudza, zmusza łaknąć *glorii* i paść się »wiarą w siebie« z rąk upojonych pochlebców: — jakiem-że udręczeniem są ci wielcy artyści i wogóle ludzie wyżsi dla tego, który ich wreszcie odgadł! Stąd, takie to zrozumiałe, że właśnie kobiety — kobiety, które mają dar jasnowidzenia w świecie bólu i, niestety, ponad swe wątłe siły pragną nieść pomoc i ratunek — darzą ich tak łatwo owymi wybuchami bezgranicznego ofiarnego współczucia, którego tłum, przedewszystkiem tłum czcicieli, nie rozumie i prześciga się w pełnych zaciekawienia i dowolności komentarzach. To współczucie przecenia zawsze swoje siły: kobieta sądzi rada, że miłość wszystko może, — to jej charakterystyczny przesąd. Ah, ten tylko kto zna serce ludzkie, domyśla się, jak biedną, bezsilną, pretensyonalną, omylną i raczej niszczącą niż ocalającą jest nawet najlepsza, najgłębsza miłość! — Być może, iż pod świętą legendą i przebraniem o życiu Chrystusowem kryje się przebolesne męczeństwo odgadnionej miłości: męczeństwo najniewinniejszego i najpożądliwszego serca, co żadną miłością ludzką nasycić się nie mogąc, chciało

być kochanem, domagało się miłości i nic ponadto, zaś przeciwko tym, którzy mu jej odmawiali, wzbierało okrucieństwem, szałem, zapamiętaniem; może to dzieje nienasyconego i niedosyconego miłością: by ukarać tych, którzy go kochać nie chcieli, musiał wynaleść piekło, — wkońcu, poznawszy miłość ludzką, musiał wynaleść bóstwo, które całe jest miłością, zdolnością miłowania, — które lituje się nawet nad miłością ludzką, że taka biedna i niewiedząca! Kto tak czuje, kto tyle wie o miłości —, ten szuka śmierci.— Lecz poco rozmyślać o takich bolesnych rzeczach? Oczywiście, jeśli się nie musi —

269.

Duchowa wyniosłość i wstręt każdego człowieka, co głęboko cierpiał — a z tego, jak głęboko człowiek cierpieć zdolen, oznaczyć można do pewnego stopnia szczebel jego dostojeństwa —, właściwa mu okropna pewność, która jego duszę do rdzenia przepaja i zabarwia, że dzięki swemu cierpieniu więcej wie, niż najrozumniejsi i najmędrsi wiedzieć mogą, że jest znany i był kiedyś »jak u siebie« w mnogich, dalekich, straszliwych światach, o których »wy nic nie wiecie!« — ta duchowa milcząca wyniosłość cierpiącego, ta duma wybrańca poznania, »wtajemniczonego«, omal przeznaczonego na ofiarę, potrzebuje wszystkich form przebrania, by uchronić się przed dotknięciem natrętnych i litościwych rąk i wogóle przed wszystkiem, co mu nie dorównywa bólem. Wielkie cierpienie wydostojnia, oddziela. Jedną z najwytworniejszych form przebrania jest epikureizm i pewnego rodzaju niedbale okazywane męstwo upodobań,

które lekko zbywa cierpienie i opiera się wszystkiemu, co smutne i głębokie. Bywają »ludzie weseli«, którzy się posługują wesołością, gdyż dzięki jej mogą być mylnie rozumiani; — oni chcą, by ich mylnie rozumiano. Są »ludzie nauki«, którzy posługują się nauką, bo nauka użycza im pozorów pogody, bo naukowość upoważnia do wniosku, iż człowiek jest powierzchowny: — a oni chcą, aby o nich wyprowadzano fałszywe wnioski. Bywają harde bezczelne duchy, co chciałyby ukryć i zaprzeczyć, że są pękniętemi, dumnemi, nieuleczalnemi sercami (cynizm Hamleta — przykład Galiani'ego), a niekiedy nawet niedorzeczność może się stać maską dla nieszczęsnej, nazbyt przeświadczonej świadomości. — Z tego wypływa, iż rzeczą szlachetniejszej dobroci jest mieć poszanowanie »dla maski« i w niewłaściwych razach nie pozwalać sobie na psychologię i ciekawość.

270.

Nic dwóch ludzi nie dzieli tak głęboko, jak rozmaity zmysł i poziom czystości duchowej. Na nic nie zda się w tym razie ani poczciwość, ani wzajemna użyteczność, ani wzajemna życzliwość: ostatecznie okazuje się, że »nie mogą się znieść!« Najwyższy instynkt czystości pogrąża tego, kto go posiada, w najdziwniejszem i najniebezpieczniejszem osamotnieniu, czyniąc zeń świętego: albowiem świętość polega właśnie na najwyższem przeduchowieniu tego instynktu. Coś, jak gdyby przeświadczenie nieopisanie pełnej błogości, jaką daje kąpiel, coś, gdyby żądza i pragnienie, które nieustannie żeną duszę z ciemności nocy w światłość poranku, z zamrocza, z »zasępienia«,

w światy jasności, świetności, głębi i wytworności—: taki popęd nie tylko wyróżnia — gdyż popęd to dostojny —, lecz i oddziela. — Współczucie świętego to współczucie dla brudu we wszystkiem, co ludzkie arcyludzkie. Ale są szczeble i wyżyny, na których współczucie nawet przez niego samego odczuwane bywa jako zmaza i brud...

271.

Znamiona dostojności: nigdy o tem nie myśleć, aby swe obowiązki zepchnąć do rzędu obowiązków pierwszego lepszego; nie chcieć się wyrzec ni podzielić swą odpowiedzialnością; swe przywileje i praktykowanie tychże zaliczać do swych obowiązków.

272.

Człowiek dążący do wielkości uważa każdego, spotkanego na swej drodze, albo za środek, albo za zwłokę i przeszkodę — albo za tymczasowe wezgłowie. Właściwa mu, wysoce rozwinięta dobroć względem bliźnich jest dopiero wtedy możliwą gdy stanie na swej wyżynie i włada. Niecierpliwość i przeświadczenie, że do tej chwili zawsze był skazany na granie komedyi — gdyż wojna nawet jest komedyą i ukrywa w sobie coś innego, podobnie jak każdy środek ukrywa w sobie cel —, psują mu wszelki stosunek towarzyski: ta odmiana człowieka zna samotność oraz najstraszliwsze jej trucizny.

273.

P r o b l e m a t o c z e k u j ą c y c h. — Trzeba do tego szczęśliwych okoliczności i wielu rzeczy nieobliczalnych, aby człowiek wyższy, w którym śpi rozwiązanie jakiegoś problematu, we właściwą porę przystąpił do działania, aby w porę »wybuchnął«, jakby rzec można. Zazwyczaj to n i e następuje, we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej siedzą oczekujący, którzy ledwie wiedzą, że oczekują, zaś prawie nie zdają sobie sprawy, że czekają napróżno. Niekiedy także pobudka, ów przypadek, który »z e z w a l a« na działanie, przybywa zapóźno, — kiedy bezczynność strawiła już najlepsze lata młodości i siły; a czyż to jeden — właśnie, gdy się »zerwał« — przekonał się z przerażeniem, że członki jego posnęły, a dusza już za ciężka! »Zapóźno« — powiedział, zwątpiwszy o sobie, i od tej chwili stał się na zawsze nieużytecznym. — Czyżby w dziedzinie geniuszu, »Rafael bez rąk«, powiedzenie pojęte w najszerszem znaczeniu, miał być nie wyjątkiem, lecz regułą? Geniusz nie jest snadź wcale taką rzadkością; rzadkiemi są tylko owe pięćset rąk, których potrzeba, aby καιρός, »stosowną porę« — ujarzmić, aby przypadek wziąć za łeb!

274.

Kto nie c h c e widzieć wielkości jakiegoś człowieka, ten tem baczniej dopatruje się w nim wszystkiego poziomego i powierzchownego, — i sam przez to się odsłania.

275.

Wszelkiego rodzaju urazy i poszkodowania znosi o wiele lepiej dusza niższa, pospolitsza, niż dusza dostojniejsza. Niebezpieczeństwa tej ostatniej muszą być większe, a prawdopodobieństwo, że spotka ją nieszczęście i zagłada, dla różnorodności jej warunków życiowych, jest wprost ogromne. — Jaszczurce odrasta ucięty palec; — człowiekowi nie. —

276.

— Fatalnie! Znowu ta sama historya! Gdy wybudujemy dom, mimowoli robimy spostrzeżenie, że nauczyliśmy się przy nim czegoś, co koniecznie należało wiedzieć, zanim rozpoczęło się budować. Wiecznie niemiłe »zapóźno!« — Melancholia wszystkiego dokonanego!

277.

— Ktoś ty, wędrowcze? Widzę, jak idziesz swoją drogą, bez szyderstwa, bez miłości, z nieodgadnionemi oczyma, wilgotny i smutny jak ołowianka, która nienasycona powraca z każdej głębi na światło dzienne — czegóż szukała na dnie? — z piersią, co nie wzdycha, z usty, skrywającemi odrazę, z ręką, co już tylko zwolna sięga: ktoś ty? coś czynił? Wypocznij tutaj: to miejsce każdego darzy gościnnością, — odetchnij! A choćbyś był nie wiedzieć kim: czego pragniesz teraz? Co może ci przynieść ulgę? Powiedz tylko: wszystko, co mam, oddam ci! — »Ulgę? ulgę? Oh, ciekawski, co też ty mówisz! Lecz daj mi,

proszę — — « Co? co? powiedz! — »Jeszcze jedną maskę! Drugą m a s k ę!« —

278.

Ludzie bardzo smutni zdradzają się, gdy są szczęśliwi: mają właściwy sobie sposób przyjmowania szczęścia, jakby je chcieli z zazdrości zadławić i zdusić, — ach, wiedzą aż nadto dobrze, że ich odbiegnie!

279.

»Źle, bardzo źle! Jakto? czyż on się nie — c o f a?« — Tak jest! Lecz wasze skargi dowodzą, że źle go rozumiecie. Cofa się jak człowiek, biorący rozpęd do wielkiego skoku. — —

280.

— »Czy mi kto uwierzy? — lecz żądam, by mi wierzono: zawsze myślałem o sobie tylko źle, i to bardzo rzadko, tylko z przymusem, zawsze bez zapału »do rzeczy«, zawsze z myślą skłonną do poniechania »siebie«, zawsze bez wiary w wynik, a to dzięki nieprzezwyciężonej niewierze w m o ż n o ś ć poznania siebie samego, niewierze, co zawiodła mnie tak daleko, iż nawet w pojęciu »bezpośredniego poznania«, na które pozwalają sobie teoretycy, odczuwam *contradictio in adjecto:* — ten fakt jest omal najgruntowniejszym pewnikiem w rzędzie wiadomości mych o sobie. Musi być we mnie coś w rodzaju odrazy do wiary w o k r e ś l o n e mniemania o sobie. —

A może tai się w tem jaka zagadka? Prawdopodobnie; lecz na szczęście jest to orzech nie dla mych własnych zębów. — A może w ten sposób wyjawia się *species,* do której należę? — Lecz nie przede mną: acz byłoby to niezmiernie dla mnie samego pożądane« — .

281.

— »Cóż ci się stało?« — »Czyż ja wiem — odrzekł wahająco — może mi Harpie przeleciały nad stołem«. — Zdarza się dzisiaj niekiedy, że człowiek łagodny, umiarkowany i panujący nad sobą, nagle wpada w szał, tłucze talerze, wywraca stół, krzyczy, wścieka się, obraża wszystkich — i wkońcu odchodzi zawstydzony, zły na siebie, — dokąd? poco? Aby opodal umrzeć z głodu? Aby zadławić się własnemi wspomnieniami? — Kto ma żądze wysokiej i wybrednej duszy, kto nieczęsto znajduje stół dla siebie nakryty i przygotowane pożywienie, temu po wszystkie czasy grozi wielkie niebezpieczeństwo: lecz w naszych czasach jest ono wprost niesłychane. Wrzucony w hałaśliwą i gminną epokę, z którą nie potrafi jeść z jednej misy, może bardzo łatwo umrzeć z głodu i pragnienia! albo — jeżeli ostatecznie przecież »się dorwie« — zginąć z nagłego wstrętu. — Prawdopodobnie wszyscy siadywaliśmy już przy stołach, za którymi nie wiedzieliśmy, co począć ze sobą; a właśnie najwyżsi duchem między nami, których najtrudniej wyżywić, znają ową niebezpieczną *dyspepsia,* wynikającą z nagłego przejrzenia i rozczarowania do strawy i sąsiedztwa przy stole — ów w s t r ę t p o o b i e d n i.

282.

Jest to objawem wytwornego i razem dostojnego panowania nad sobą, chwalić, jeśli wogóle chce się chwalić, tylko w takich razach, gdy się na coś nie zgadzamy: — w innym razie znaczyłoby to chwalić siebie samego, co jużcić sprzeciwia się dobremu smakowi. — Wprawdzie tego rodzaju panowanie nad sobą daje przewyborny powód i pobudkę do tego, aby nas ustawicznie źle rozumiano. Zatem, by pozwolić sobie na ten istny zbytek smaku i moralności, trzeba żyć nie pośród ciemięgów duchowych, lecz śród ludzi, między którymi nawet nieporozumienia i pomyłki dzięki swej subtelności rozweselić jeszcze mogą — inaczej coś podobnego ciężko odpokutować można! — »On mnie chwali: a więc przyznaje mi słuszność« — idyotyczne to wnioskowanie psuje nam samotnikom połowę życia, gdyż ułatwia osłom nawiązywanie z nami sąsiedzkich i przyjacielskich stosunków.

283.

Żyć z niezmierną i dumną niedbałością; zawsze poza wszystkiemi rubieżami. — Swe uczucia, swe »za« i »przeciw« dowolnie mieć lub nie mieć, polegać na nich, lecz tylko chwilami; wsiadać na nie jak na konia, często jak na osła: — trzeba bowiem umieć korzystać równie dobrze z ich głupoty, jak z ich zapału. Zachować swych trzysta zewnętrzności, jednocześnie czarne okulary, gdyż bywają wypadki, gdy nikt nam w oczy, a tem mniej w »powody« zajrzeć nie powiniem. A do towarzystwa dobrać sobie ów łobuzowski i wesoły

grzech: grzeczność. I być panem swych czterech cnót: odwagi, wyrozumiałości, współczucia i samotności. Gdyż samotność jest w nas cnotą jako wzniosła skłonność i popęd do czystości, który odgaduje, że przy zetknięciu dwóch ludzi — że w »towarzystwie« — koniecznie niezbyt czysto być musi. Wszelka pospólność czyni człowieka, we wszystkich warunkach i okolicznościach, — »pospolitym«.

284.

Największe wypadki i myśli — toć największe myśli są największymi wypadkami — bywają najpóźniej pojmowane: pokolenia im współczesne nie przeżywają wypadków tego rodzaju, — rozmijają się z nimi. Dzieje się tu podobnie jak w dziedzinie gwiazd. Światło najdalszej gwiazdy dochodzi do ludzi najpóźniej; a zanim dojdzie, ludzie przeczą, jakoby tam — gwiazdy istniały. »Ile stuleci potrzebuje jakiś duch, by zostać pojętym?« — To także miara, w ten sposób można także oznaczać hierarchię i znamiona, stosownie do potrzeby: dla ducha i dla gwiazdy. —

285.

»Tu widok rozległy i duch wyszczytniony«. — Istnieje jednakowoż odmienny rodzaj ludzi, którzy także znajdują się na wyżynie i mają widok rozległy — lecz patrzą na dół.

286.

— Co to jest dostojność? Jakie znaczenie ma jeszcze dla nas słowo »dostojny«? Co wyjawia, po czem można poznać pod niskiem, zaciągniętem niebem rozpoczynającego się panowania pospólstwa, wskutek którego wszystko zatraca swą przejrzystość i przysłania się ołowianemi chmurami, człowieka dostojnego? — Nie świadczą o nim uczynki, — uczynki są zawsze wieloznaczne, zawsze niezgłębione —; nie świadczą też o nim »dzieła«. Wśród współczesnych artystów i uczonych jest wielu takich, którzy objawiają w dziełach swoich nader głębokie pożądanie dostojności: lecz właśnie ta potrzeba dostojności jest z gruntu rzeczy sprzeczna z potrzebami duszy dostojnej, oraz jest wielce wymownem i niebezpiecznem znamieniem jej braku. Nie dzieła tu rozstrzygają, lecz wiara, co w takich razach oznacza hierarchię, jeżeli tę dawną formułkę religijną zastosujemy w nowem i głębszem rozumieniu; jakoweś niewzruszone przeświadczenie, które dusza dostojna ma o sobie, coś, czego ni szukać, ni znaleść, a może także ni stracić niepodobna. — Dusza dostojna ma cześć dla siebie samej. —

287.

Bywają ludzie, którzy w żaden sposób nie mogą ukryć swej głębi duchowej; mogą się wywijać i wykręcać do woli, mogą rękoma przysłaniać zdradzieckie oczy (— jak gdyby ręka nie była także zdrajcą!—): ostatecznie zawsze się okaże, że posiadają coś, co skrywają, a co jest głębią duchową. Jeden z najsubtelniejszych środków, by przynajmniej jak najdłużej

łudzić i z powodzeniem przedstawiać się głupszym, aniżeli jest się w istocie — co w życiu codziennem jest częstokroć niemniej pożądane od parasola —, zwie się entuzyazmem: z dodaniem wszystkiego, co do niego należy, naprzykład cnoty. Albowiem, jak powiada Galiani, który to wiedzieć musiał —: *vertu est enthousiasme.*

288.

Z pism pustelnika rozbrzmiewa zawsze coś gdyby odgłos pustkowia, coś, co przypomina szepty i trwożliwe rozglądanie się w samotności; z jego najdonośniejszych słów, z jego krzyku nawet, odzywa się jeszcze nowy i niebezpieczniejszy sposób milczenia i przemilczania. Kto całemi latami dnie i noce spędzał sam ze swą duszą na poufnych poswarkach i pogawędkach, kto w swej pieczarze — a może być ona labiryntem lub kopalnią złota — stał się niedźwiedziem jaskiniowym, albo górnikiem szukającym skarbów, albo też stróżem klejnotów i smokiem: u tego nawet pojęcia nabierają wkońcu właściwego sobie zabarwienia mrocznego, przesiąkają zapachem głębi, lecz niemniej wyziewami pleśni, i mają w sobie coś odstręczającego i odrażającego, co każdego przechodnia przejmuje chłodem. Pustelnik — jeżeli przyjmiemy, że każdy filozof był zawsze pierwej pustelnikiem — nie daje wiary, by jaki filozof wypowiedział w książkach swe ostateczne i właściwe mniemania: czyż nie pisze się książek właśnie po to, aby ukryć swe tajemnice? — ba, nawet powątpiewa, czy filozof wogóle może mieć »ostateczne i właściwe«

mniemania, czy u niego za jedną jaskinią nie leży i nie musi leżeć druga jeszcze głębsza — czy ponad powierzchnią niema jakiegoś dziwniejszego, przestrzenniejszego, bogatszego świata, czy poza każdym argumentem, pod każdem »uzasadnieniem« nie tai się bezdeń. Wszelka filozofia jest filozofią powierzchni — mniema pustelnik: »jest w tem coś dowolnego, że właśnie tu się zatrzymał, spojrzał za siebie, rozejrzał się, że w tem miejscu głębiej nie kopał i odłożył precz rydel, — lecz jest w tem zarazem coś podejrzanego«. Wszelka filozofia ukrywa również jakąś filozofię; wszelkie mniemanie jest także kryjówką, a wszelkie słowo maską.

289.

Każdy głęboki myśliciel bardziej się lęka, że go zrozumieją, aniżeli by go nie zrozumiano. Być może, iż z ostatniego powodu cierpi jego próżność, lecz z pierwszego — jego serce, jego dobroć, co ustawicznie powtarza: »ah, czemuż chcecie uginać się pod tem samem brzemieniem, pod którem ja się uginam?«

290.

Człowiek, to złożone, kłamliwe, kunsztowne i nieprzeniknione zwierzę, groźniejsze dla innych zwierząt raczej z powodu swej chytrości i roztropności niż z powodu swej siły, wynalazł czyste sumienie po to, aby rozkoszować się wreszcie swą duszą, jako czemś niezłożonem; zaś cały morał jest ciągłem zuchwałem fałszerstwem, dzięki któremu rozkoszowanie

się poznaniem duszy jest wogóle możliwe. Z tego punktu widzenia w zakres pojęcia »sztuki« wchodzi o wiele więcej, niźli pospolicie się mniema.

291.

Filozof: to człowiek, który ustawicznie widzi, słyszy, podejrzywa niezwykłe rzeczy, marzy o nich, doświadcza i spodziewa się ich; w którego własne jego myśli biją gdyby od zewnątrz, gdyby od góry i dołu, ni to właściwego jemu rodzaju wypadki i pioruny; który, kto wie, czy sam nie jest nawałnicą, nowymi gromami brzemienną. Jest to człowiek przeznaczenia, dokoła którego wszystko wre, szemrze i rozpada się, dokoła którego dzieją się rzeczy straszne. Filozof: ah, to istota, która często siebie odbiega, często siebie się lęka, — lecz nazbyt jest ciekawa, by znowu »do siebie nie wrócić«. —

292.

Człowiek, który powie: »to mi się podoba, to biorę sobie na własność, będę strzegł i przed wszystkimi bronił«: człowiek, który potrafi swą sprawą pokierować, swe postanowienie przeprzeć, jakiejś myśli dochować wiary, kobietę okiełznać, zuchwalca pokonać i ukarać; człowiek, który włada swym mieczem i swym gniewem, do którego garnie się i któremu podlega wszystko, co słabe, cierpiące, uciśnione, nawet zwierzęta; słowem, człowiek, który urodził się władcą, — gdy taki człowiek współczuje, no, to takie współczucie coś warto! Lecz cóż po współczuciu tych, którzy sami cierpią! Albo tych, którzy

na domiar współczucie głoszą! Dziś prawie w całej Europie objawia się chorobliwe przeczulenie i wrażliwość na ból, wstrętna niewstrzemięźliwość w skargach, rozdelikacenie jakieś, które za pomocą religii i filozoficznych bredni chcianoby wystrychnąć na coś wyższego, — istnieje po prostu kult cierpienia. W tem, co marzyciele ci ochrzcili imieniem »współczucia« rzuca się przedewszystkiem w oczy, jak mi się zdaje, niemęskość. Ten nowy objaw złego smaku zasługuje na dosadne i gruntowne napiętnowanie i chciałbym, by, jako amulet przeciwko tej słabości, *gai saber,* — czyli, dla lepszego zrozumienia, »radosną wiedzę« zawieszano sobie na sercu i szyi.

293.

Wada olimpijska. — Na przekór owemu filozofowi, który, jako prawy Anglik, chciał oczernić śmiech przed wszystkiemi myślącemi głowami — »śmiech jest wielką ułomnością ludzkiej natury i każdy myślący człowiek będzie usiłował otrząsnąć się z tej ułomności« (Hobbes) —, pozwoliłbym sobie nawet na hierarchię filozofów, zależną od hierarchii ich śmiechu — najwyżej staliby ci, którzy byliby zdolni do złotego uśmiechu. A jeżeli i bogowie filozofują, na co mnie różne naprowadzały już myśli —, to nie wątpię, że umieją śmiać się przytem w nadludzki i nowy sposób — kosztem wszystkich poważnych rzeczy! Bogowie lubią drwić: i jak się zdaje, nawet przy świętych czynnościach nie mogą się wstrzymać od śmiechu.

294.

Geniusz serca, właściwy owemu wielkiemu Utajonemu, owemu bogu-kusicielowi, urodzonemu uwodzicielowi sumień, którego glos ma władzę sięgania aż w najgłębsze podziemia każdej duszy, u którego z każdego słowa, z każdego spojrzenia wychyla się podstęp i chętka opętania, w którego mistrzostwie mieści się zdolność, że umie wydawać się — nie tem, czem jest, lecz tem, co dla zwolenników jego będzie jednym przymusem więcej, by do niego tem bliżej się garnęli, by tem serdeczniej i usilniej za nim podążali: — geniusz serca, który wszystko, co głośne i w sobie samem rozlubowane, ucisza i słuchać uczy, który chropawe dusze wygładza i daje im zakosztować nowego pożądania, — mieć cichość zwierciadła, aby się odbijało w nich głębokie niebo — ; geniusz serca, który prostacką i nazbyt skorą rękę uczy powściągliwości i wdzięczniejszego ujęcia; który utajone i zapomniane skarby, krople dobroci i słodkiego uduchowienia odgaduje pod mętnym grubym lodem i jest różdżką czarodziejską dla każdego ziarnka złota, więzionego oddawna w mnóstwie namułu i piasku; geniusz serca, od którego każdy, kogo on tknie, odchodzi bogatszy, nie na podobieństwo człowieka ułaskawionego i zdumionego i nie na podobieństwo kogoś, kto się czuje uszczęśliwionym, zarazem wszakże obarczonym dobrocią cudzą, lecz bogatszy sam w sobie, świeższy niż był dawniej, wstrząśnięty, owiany i wysłuchany przez wiatry odwilżne, może niepewniejszy, może delikatniejszy, kruchszy i bardziej skruszony, lecz pełen bezimiennych jeszcze nadziei, pełny nowych chceń i przypływów, pełny nowych wzdragań i odpły-

wów — —lecz cóż ja czynię, przyjaciele moi? O kim-że do was mówię? Czyliż zapomniałem się do tego stopnia, że nawet imienia jego wam nie wymieniłem? To niepodobna wszakże, abyście dotychczas sami nie odgadli, kto jest owym zagadkowym duchem i bogiem, który na tę modłę chce być chwalonym. Albowiem, jak to się zdarza ludziom, którzy od dziecka są bezustannie w drodze i na obczyźnie, tak też i mnie przebiegł drogę niejeden duch dziwny i niezbyt bezpieczny, ale przed innymi ten, o którym tylko co mówiłem, i z którym ciągle się spotykałem, bóg Dionyzos, ów wielki dwuznaczny bóg-kusiciel, któremu niegdyś, jako wiecie, w cichości i czci ofiarowałem moje pierwociny — (i byłem, jak mi się zdaje, ostatnim, który mu złożył ofiarę: gdyż nie spotkałem nikogo, ktoby zrozumiał, co wówczas uczyniłem). Od tego czasu dowiedziałem się jeszcze wiele, arcywiele o filozofii tego boga, i to, jak już wspomniałem, bezpośrednio od niego samego, — jako ostatni uczeń i wtajemniczony boga Dionyzosa: powinienbym więc może zacząć wreszcie od tego, by wam, moim przyjaciołom, dać zakosztować nieco, o ile mi wolno, tej filozofii? Półgłosem, jak się godzi: gdyż trzeba przytem tknąć niektórych rzeczy tajnych, nowych, obcych, dziwnych i upiornych. Już to samo, że Dionyzos jest filozofem, oraz, co stąd wynika, że i bogowie filozofują, wydaje mi się nowiną, nie pozbawioną zagadkowych myśli, nowiną, która właśnie wśród filozofów może obudzić niedowierzanie, — śród was, przyjaciele moi, mniej ma ona przeciw sobie, choćby dlatego, że przychodzi zapóźno i w niewłaściwej porze: gdyż wy, jak mi wyjawiano, podobno dziś niezbyt chętnie wierzycie w Boga i bogi.

A może też dlatego, że w nieokiełznaniu opowieści swojej muszę posunąć się dalej, aniżeli zwykły przyzwalać surowe uszu waszych nawyknienia? To pewna, że bóg ów w rozmowach takich szedł dalej, znacznie dalej, i zawsze mnie o wiele kroków wyprzedzał... Zaiste, gdyby mi było wolno, nadałbym mu ludzkim zwyczajem piękne, uroczyste, pełne świetności i cnotliwości imiona, sławiłbym szeroko jego odwagę badacza i odkrywcy, jego nieustraszoną prawość, prawdomówność i umiłowanie mądrości. Ale dla takiego boga na nic te wszystkie czcigodne rupiecie i błyskotliwości. »Zachowaj to dla siebie, rzekłby, dla równych sobie i tych, którym to potrzebne. Ja — nie mam zgoła powodu do zakrywania nagości swojej!« — Tu nasuwa się domysł: snadź tego pokroju bóstwa i filozofowie wyzuci są ze wstydu?— Innym razem rzekł znowu: »niekiedy miłuję ludzi — a mówiąc to, miał na myśli Aryadnę, która była obecną — : człowiek w moich oczach, jest miłem, dzielnem, przemyślnem zwierzęciem, któremu niemasz na ziemi równego i które umie sobie poradzić we wszystkich labiryntach. Lubię go: nieraz przemyśliwam nad tem, jakby mu nadal dopomódz w rozwoju, uczynić go silniejszym, gorszym i głębszym, aniżeli jest obecnie«. — »Silnielszym, gorszym i głębszym?« spytałem zalękniony. »Tak jest, powtórzył, silniejszym, gorszym i głębszym; a równocześnie piękniejszym« — przy tych słowach uśmiechnął się bóg kusiciel swym halkyońskim uśmiechem, jak gdyby wyrzekł ujmującą grzeczność. Oczywista: że temu bóstwu zbywa nie tylko na wstydzie — ; i niejedno przemawia za tem, że bogowie wogóle mogliby od nas ludzi nie-

mało się nauczyć. My ludzie jesteśmy — bardziej ludzcy. —

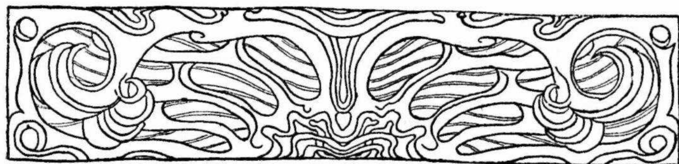
295.

Ah, czemżeście wy, moje pisane i malowane myśli! To tak niedawno, gdy byłyście jeszcze takie kraśne, młodzieńcze i złośliwe, tak pełne kolców i tajnych drażniących woni, że łaskotany przez was od śmiechu się zanosiłem — a teraz? Jużeście się wyzuły z nowości i są wśród was takie, które ku zatrwożeniu mojemu mogą stać się dogmatami: tak dalece wydają się nieśmiertelnemi, tak rozdzierająco rzetelnemi, tak bardzo nudnemi! I czyż kiedykolwiek było inaczej? I cóż bo wypisujemy i odmalowujemy my, mandaryni z chińskimi pendzlami, my uwieczniciele rzeczy, które d a j ą s i ę napisać, bo i cóż takiego jedynie możemy odmalować? Ah, zawsze tylko to, co chyli się ku uwiędnięciu i poczyna woń tracić! Ah, zawsze jeno mijające i wyczerpane wichrzyce, uczucia zżółkłe i przejrzałe! Ah, zawsze tylko ptactwo znużone i obłąkane lotem, dające się nakryć dłonią — i to n a s z ą dłonią! Uwieczniamy to, co już nie może żyć ni latać dłużej, jeno rzeczy zrysowane skazami znużenia i spróchniałości. Dla waszego o d w i e c z e r z a jeno, wy moje pisane i malowane myśli, mam ja kolory, może nawet mnogo kolorów, mnogo pieszczotliwości kraśnych i pięćdziesiąt odcieni żółci, brunatu, zieleni i czerwieni: —

ale niech mi nikt stąd nie sądzi, jak wyglądałyście w swych rozbrzaskach, wy niespodziewane skry i cudy samotności mojej, wy moje dawne, umiłowane — —
złe myśli!

Z WYSOKICH GÓR

ZAKOŃCZENIE



Południe życia! Uroczysty czas!
Lato dostojne!
Oczekiwania szczęście niespokojne: —
O każdej porze czuwam, czekam was,
Gdzieście, druhowie? Pójdźcie! Czas już! Czas!

Nie dla was-że to dzień na lodach bladł,
Spowity w róże?
Was szuka strumień, w głębokim lazurze
Zawisły wichry śród obłoków stad,
Tęsknie was śledząc z swoich orlich czat.

Na wysokościach zastawion mój stół: —
Gdzież chwała gwiezdna
Bliższa, gdzie zieją otchłanniejsze bezdna?
Królestwo moje — niczem świata pół!
A miody moje — któż ich słodycz czuł?...

— Witajcie, druhy! — Przebóg, czym nie wasz?
Szliście nie do mnie?
Mówcież! — Nie patrzcie na mnie nieprzytomnie!
Nie poznajecie? Inna dłoń, chód, twarz?
I sobą będąc — nie jestem już wasz?

Czym inny, obcy? Zalim sobie wróg,
Co się rozkował?
Zapaśnik, który z sobą się mocował,
Aż się w zapasach z własną siłą zmógł,
Zwycięstwem złamał i powalił z nóg?

Szukałem, kędy wichr najostrzej dmie?
Myśl ma złowroga
Od klątw odwykła, od modlitw, od Boga?
W odludnej głuszy zwiłem gniazdo swe,
Jak upiór, co się po lodowcach pnie?

— Starzy druhowie! Ach, nie tłumiąż łkań
Struchlałe usta?
Idźcie! Przebaczcie! To kraina pusta:
By żyć w tych lodach, śród wichrów i grań,
Trzeba być łowcem, bratem górskich łań.

Jam groźny łowiec! — Patrzcie, ani drgnie
Łuku cięciwa,
Kiedy ją napnie moja dłoń straszliwa! — —:
Lecz biada teraz! Zgubne groty te,
Jak żadne, — — precz stąd, kto żyw zostać chce!...

Idziecież? — Serce, nie tobie się giąć,
Tracić nadzieje:
Dla nowych druhów otwórz swe wierzeje!
Zapomnij starych! Płonnych wspomnień zbądź!
Młodości pomne — szczytniej miodem bądź !

Mieliśmy niegdyś spólnych marzeń świat, —
Czem są dziś one,
Te głoski, ręką miłości skreślone?
To jak pergamin z niepamiętnych lat;
Dłoń go tknąć nie chce: — tak wyżółkł i zbladł.

To nie druhowie — jakże zwać ich już? —
To druhów zjawy!
Upiór, co nocą puka w okno łzawy
I pyta serca: »czy nie pomnisz już?« —
— Oh, zwiędłość słów, co tchnęły wonią róż!

Oh, jak mi tęsknot zawiedzionych żal!
Nie starce senne
Śniłem, lecz duchy bratersko odmienne;
Przetoż odeszli w niepowrotną dal:
Mym duchom bratnim dano zmienność fal.

Południe życia! Wtórej wiosny czas!
Lato dostojne!
Oczekiwania szczęście niespokojne:
O każdej porze czuwam, czekam was,
Nowi druhowie! Pójdźcie! Czas już! Czas!

Pieśń ta przebrzmiała, — tęskny okrzyk zgłuchł,
Ścichło wołanie:
Druh mój to zdziałał, — daremne pytanie,
Kto ten czarodziej, południowy druh —
Południe było, gdy stało się dwóch . . .

I święcim oto szczytnych godów dzień,
Tryumf nasz głoście:
Druh Zaratustra przybył, gość nad goście!
Świat się raduje, pierzchł upiorny cień,
Światła z ciemnością dziś zaślubin dzień . . .

KONIEC.

SPIS RZECZY.

Strona

Przedmowa 1
ROZDZIAŁ I. O przesądach filozofów 5
» II. Wolny duch 37
» III. Religijność 67
» IV. Zdania i potrącenia 93
» V. Do historyi naturalnej morału 115
» VI. My uczeni 145
» VII. Nasze cnoty 171
» VIII. Ludy i ojczyzny 205
» IX. Dusza dostojna 237
Z wysokich gór (Zakończenie) 283

WYDANIE CAŁKOWITE (BEZ SKRÓCEŃ)

Tom VIII — PRZEMIANA WSZYSTKICH WARTOŚCI Rb.

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.–
» » w oprawie 1.5
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach 1.5

Tom IX — NARODZINY TRAGEDYI

przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.6
» » w oprawie 2.1
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach 4.–

Tom X — LUDZKIE, ARCYLUDZKIE

Część pierwsza. Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.5
» » w oprawie 3.–
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach 6.–

Tom XI — WĘDROWIEC I JEGO CIEŃ

LUDZKIE, ARCYLUDZKIE. Część druga.
Przełożył KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 2.5
» » w oprawie 3.–
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach 6.–

Tom XII - WOLA MOCY

Przeł. STEFAN FRYCZ I KONRAD DRZEWIECKI

wydanie ozdobne 3.–
» » w oprawie 3.5
» wytworne w 15 numerowanych egzemplarzach 7.–

Suplement— ECCE HOMO (Autobiografia)

Przełożył LEOPOLD STAFF

wydanie ozdobne 1.5
» » w oprawie 2.–
» wytworne na czerpanym papierze.... 4.–

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH.

WACŁAW BERENT
ŹRÓDŁA I UJŚCIA NIETZSCHEANIZMU . . . . —.8

Portret FRYDERYKA NIETZSCHEGO, akwaforta oryginalna, Franciszka Siedleckiego, na

papierze grubym 1.–
na papierze japońskim 3.–

WARSZAWA 1911. - NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA. — SKŁADY GŁÓWNE: W KSIĘGARNI G. CENTNERSZWERA I SPÓŁKI W WARSZAWIE ORAZ H. ALTENBERGA WE LWOWIE.